

Bestseller autorki jednej z najlepszych powieści o miłości
wszech czasów i najlepszej powieści realistycznej dla młodzieży
Anna i pocałunek w Paryżu, według czytelniczek Goodreads

Lola i chłopak z sąsiedztwa



*Lola
i chłopak
z sąsiedztwa*

STEPHANIE PERKINS

Przekład
EWA SPIRYDOWICZ



Korekta
Barbara Cywińska
Bożena Hałuszczyńska

Zdjęcia na okładce
© Nicolesa/Shutterstock
© Alexander Demyanenko/Shutterstock

Tytuł oryginału
Lola and the Boy Next Door

Copyright © 2011 by Stephanie Perkins.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5408-1

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

*Jarrodowi,
najlepsznemu przyjacielowi
i prawdziwej miłości*

Rozdział 1

Mam trzy życzenia. To chyba nie tak dużo?

Po pierwsze – chciałabym pójść na zimowy bal przebrana za Marię Antoninę. W peruce tak wysokiej, że zmieściłaby się w niej klatka z kanarkiem, w sukni tak rozłożystej, że musiałabym wejść na salę balową przez podwójne drzwi. I wtedy uniosę suknię i odsłonię głany na platformach, żeby wszyscy widzieli, że pod koronkami jestem twarda i ostra jak punk rock.

Po drugie – żeby moi rodzice zaakceptowali mojego chłopaka. Nienawidzą go. Nienawidzą jego tlenionych włosów z wiecznymi ciemnymi odrostami, jego ramion wytatuowanych w pajęczyny i gwiazdy. Twierdzą, że jego uśmiech jest pogardliwy, a brwi unoszą się lekceważąco. I wkurza ich, że wiecznie słucham jego muzyki. Mają po dziurki w nosie kłótni o to, o której wrócę do domu, za każdym razem, kiedy wybieram się na koncert jego zespołu.

A po trzecie? Nigdy więcej nie widzieć bliźniaków Bell. Nigdy.

Ale wolałabym raczej pogadać o moim chłopaku. Tak, wiem, to nic fajnego, że zależy mi na aprobachie rodziców, ale szczerze mówiąc, moje życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby pogodzili się z faktem, że Max to ten jedyny. To byłby wreszcie koniec żenujących ograniczeń, tego, że dzwonią co godzinę na randce, i przede wszystkim – kres coniedzielných lunchów.

Takich jak ten.

– Jeszcze placków, Max?

Nathan, mój ojciec, podsuwa mojemu chłopakowi półmisek złotych placuszków przez stary wiejski stół. To nie jest pytanie, to rozkaz, żeby moi rodzice mogli dalej prowadzić przesłuchanie, zanim wyjdziemy. Nagroda za tę mękę? Luźniejsze niedzielne popołudnie z mniejszą ilością rodzicielskich kontroli.

Max nakłada sobie dwa, polewa domowym sosem brzoskwiniowo-malinowym.

– Dzięki. Pyszne jak zawsze. – Polewa je sosem ostrożnie, kropla po kropli. Wbrew pozorom Max jest bardzo ostrożny. I dlatego w sobotnie wieczory nigdy nie pije, nie pali trawy. Nie chce przyjść na niedzielny lunch skacowany, na co oczywiście liczą moi rodzice. Doszukują się śladów rozwiązłości.

– Podziękuj Andy'emu. – Nathan wskazuje głową mojego drugiego ojca, który pieczeniem zarabia na życie, tu, w naszej kuchni. – To jego dzieło.

– Pyszne. Bardzo panu dziękuję. – Max nawet okiem nie mrugnie. – Lola, najadłaś

się już?

Przeciągam się, aż uderzają o siebie plastikowe bransoletki na moich nadgarstkach.

– Tak, i to już dawno. Chodźmy. – Odwracam się i patrzę błagalnie na Andy’ego; są większe szanse, że akurat on pozwoli nam odejść od stołu. – Możemy?

Niewinnie trzepoczę rzęsami.

– Może jeszcze kropelkę soku pomarańczowego? Odrobinę frittaty?

– Nie. – Ręce opadają! Rozpaczliwie walczę z tym uczuciem. Nie wygląda się wtedy zbyt atrakcyjnie.

Nathan nabija placek na widelec.

– Powiedz, Max, co nowego w świecie liczników?

Kiedy akurat nie szaleje na rockowej scenie garażowej, Max pracuje w urzędzie miasta San Francisco. Nathana denerwuje, że nie planuje studiów. Nie pojmuje, że tak naprawdę Max i bez studiów jest genialny. Czyta trudne książki o filozofii, których autorów nawet nie potrafię wymówić, i ogląda tony zaangażowanych filmów dokumentalnych. Nie odważyłabym się z nim dyskutować.

Max uśmiecha się grzecznie. Jego ciemne brwi unoszą się odrobinę.

– To samo co w zeszłym tygodniu.

– A zespół? – włącza się Andy. – O ile pamiętam, w piątek miał przyjść ktoś z wytwórni?

Mój chłopak ściąga brwi. Facet z wytwórni się nie zjawiał. Max zamiast tego opowiada o mającym się wkrótce ukazać albumie Amfetaminy, a Nathan i ja wymieniamy gniewne spojrzenia. Mój ojciec jest pewnie zły, że po raz kolejny nie udało mu się znaleźć niczego na Maksa. Poza różnicą wieku, ma się rozumieć.

I to jest prawdziwy powód, dla którego moi rodzice nie znoszą mojego chłopaka.

Nie podoba im się, że ja mam siedemnaście lat, a Max dwadzieścia dwa.

Ja jednak naprawdę uważam, że wiek nie ma znaczenia. Poza tym różnica między nami wynosi tylko pięć lat, o wiele mniej niż między moimi rodzicami. Choć nie ma sensu im tego przypominać, podobnie jak tego, że mój chłopak ma teraz tyle samo lat, ile Nathan, gdy zaczęli spotykać się z Andym. To ich tylko rozdrażnia.

– Może i byłem w jego wieku, ale Andy miał trzydzieści lat – podkreśla zawsze Nathan. – Nie był nastolatkiem. I obaj przedtem mieliśmy innych chłopaków, byliśmy już doświadczeni. W coś takiego nie można pakować się na łeb, na szyję. Musisz być rozsądna.

Ale nie pamiętają już, jak to jest być młodym i zakochanym. Oczywiście, że można pakować się na łeb, na szyję. W przypadku kogoś takiego jak Max byłabym idiotką, gdybym tego nie zrobiła. Moja najlepsza przyjaciółka uważa, że to śmieszne, że moi

rodzice są tak surowi. Jakby nie było, czyż właśnie para gejów nie powinna rozumieć, jaką pokusę stanowi seksowny, nieco niebezpieczny chłopak?

Nic bardziej odległego od prawdy.

Nieważne, że jestem córką idealną. Nie piję, nie zażywam narkotyków, nigdy nawet nie zapaliłam papierosa. Nigdy nie rozbiłam ich samochodu – nie mam nawet prawa jazdy, więc nie muszą płacić wyższych stawek za ubezpieczenie. Mam niezłą pracę i dobre stopnie. Poza biologią, ale odmówiłam sekcji świńskiego płodu z przyczyn ideologicznych. I mam tylko po jednej dziurce w uchu i żadnych tatuaży. Na razie. Ba, nie wstydę się nawet publicznie okazywać rodzicom czułość.

Chyba że Nathan ma na czole opaskę do biegania. No bo już bez przesady.

Zbieram naczynia ze stołu w nadziei, że czas popłynie szybciej. Dzisiaj Max zabiera mnie do jednego z moich ulubionych miejsc, do japońskiej herbaciarni, a potem zawiezie mnie do pracy na wieczorną zmianę. A przy odrobinie szczęścia czekają nas też miłe chwile w jego wiekowym chevrolecie impala, rocznik 1964.

Rozmarzona, opieram się o kuchenny blat.

– Zdziwiający, że nie wystąpiła w kimonie – rzuca Nathan.

Co? Nie znoszę, gdy odpływam i nagle orientuję się, że inni rozmawiają o mnie.

– No jak to, chińska piżama w japońskiej herbaciarni? – Wskazuje moje czerwone jedwabne spodnie. – Co ludzie powiedzą?

Nie uznaję mody. Uznaję przebranie. Życie jest za krótkie, by codziennie być tą samą osobą. Przewracam oczami do Maksa, by dać mu do zrozumienia, że zdaję sobie sprawę, że moi rodzice plotą bzdury.

– Nasza kochana drag queen – rzuca Andy.

– Też mi nowina. – Wrywam mu talerz i wrzucam resztki jedzenia do miski Betsy. Oczy niemal wyłażą jej z orbit i jednym ruchem języka pochłania resztki placuszków.

Pełne imię Betsy brzmi Niebiańska Betsy. Kilka lat temu wzięliśmy ją ze schroniska. To kundel, ale wygląda jak złoty retriever, tylko że czarny. Uparłam się, że chcę czarnego psa, bo Andy wyciął artykuł z gazety. Andy wiecznie wycina jakieś artykuły, najczęściej o nastolatkach umierających po przedawkowaniu narkotyków, chorych na syfilis albo zachodzących w ciążę i rzucających szkołę. No więc Andy wyciął artykuł o tym, że czarne psy są najrzadziej adoptowane, a co za tym idzie, najczęściej usypiane. Co moim zdaniem jest przejawem psiego rasizmu w najczystszej formie, tak na marginesie. Betsy to chodząca miłość.

– Lola. – Andy ma poważną minę. – Jeszcze nie skończyłem.

– W takim razie weź sobie czysty talerz.

– Lola – mówi Nathan. Podaję Andy'emu czysty talerz. Obawiam się, że zrobią z

tego sprawę w obecności Maksa, ale wtedy zauważają, że Betsy prosi o placki.

– Nie – rzucam do niej.

– Byłaś z nią na spacerze? – pyta Nathan.

– Ja nie, Andy.

– Ale to było dawno, zanim zabrałem się do gotowania – zauważa Andy. – Już czas na kolejny spacer.

– Wyprowadź ją, a my tu sobie porozmawiamy z Maksem – rzuca Nathan. To rozkaz, nie propozycja.

Zerkam na Maksa. Zamyka oczy, jakby nie mógł uwierzyć, że po raz kolejny odstawiają ten sam stary numer.

– Ale tato...

– Żadnych ale. Chciałaś psa, musisz chodzić z nim na spacer.

To jedno z bardziej wkurzających powiedzonek Nathana. Niebiańska Betsy rzeczywiście miała być moja, ale bezczelnie zakochała się po uszy w Nathanie, co Andy'ego i mnie wciąż doprowadza do szału. To my ją karmimy, my wyprowadzamy na spacer. Sięgam po torebkę na psie skarby i smycz, tę, na której wyszyłam serduszka i rosyjskie lalki matryoski, i to wystarczy, żeby oszalała z radości.

– Tak, tak. No chodź.

Spoglądam na Maksa przepaszająco i wychodzimy.

Z naszego ganku do chodnika prowadzi dwadzieścia jeden schodków. W San Francisco wszędzie są schody i wzgórza. Na dworze jest zadziwiająco ciepło. Oprócz chińskich spodni i bransoletek mam na sobie podkoszulek, ogromne okulary słoneczne w białych oprawkach, w stylu Jackie Onassis, perukę z długimi ciemnymi włosami z zielonymi końcówkami i czarne baletki. Prawdziwe baletki, a nie pantofelki, które tylko je udają.

Moje postanowienie noworoczne – nigdy nie pokazać się dwukrotnie w tym samym stroju.

Miło jest poczuć słońce na ramionach. Nie szkodzi, że to sierpień; tu, nad zatoką, temperatura jest niemal taka sama przez cały rok. Zawsze jest chłodno. Dzisiaj jestem szczególnie wdzięczna za ciepło, bo nie muszę zabierać swetra na randkę.

Betsy siusia na miniaturowy skrawek trawy przed sąsiednim lawendowym domkiem wiktoriańskim – zawsze tam siusia, co mnie bardzo cieszy – i idziemy dalej. Jestem szczęśliwa mimo wkurzających rodziców. Mam dzisiaj cudowną randkę z chłopakiem, fajny grafik w pracy, a w perspektywie jeszcze tydzień wakacji.

Pokonujemy wzgórze, które dzieli naszą uliczkę od parku, a tam macha do nas Koreańczyk w aksamitnym dresie. Ćwiczy tai chi wśród palm.

– Cześć, Dolores! Jak urodziny? – Tylko pan Lim (nie licząc moich rodziców, kiedy są na mnie naprawdę wściekli) zwraca się do mnie pełnym imieniem. Jego córka Lindsey to moja najlepsza przyjaciółka; mieszkają kilka ulic dalej.

– Dzień dobry, panie Lim! Super! – Moje urodziny były w zeszłym tygodniu. Są najwcześniej ze wszystkich w mojej klasie i bardzo mi to odpowiada. Dzięki temu wydaję się dojrzała. – Jak tam restauracja?

– Bardzo dobrze, dziękuję. W tym tygodniu wszyscy zamawiają wołowinę galbi. Do zobaczenia, Dolores! Pozdrów ode mnie rodziców.

Mam na imię jak stara babcia, bo właśnie po niej je otrzymałam. Po mojej prababce, Dolores Deeks, która zmarła kilka lat przed tym, jak się urodziłam. Była babką Andy’ego i podobno była niesamowita. Taka dama, która nosiła kapelusze z piórami i uczestniczyła w marszach w obronie swobód obywatelskich. Dolores była pierwszą osobą, przed którą Andy się wyautował. Miał wtedy trzynaście lat. Byli sobie bardzo bliscy. Zapisła mu dom w testamencie. Mieszkamy w nim do dziś, w miętowo zielonym wiktoriańskim domku prababki Dolores w dzielnicy Castro.

Na co nie byłoby nas stać, gdyby nie jej hojność. Moi rodzice nieźle zarabiają, ale nawet w przybliżeniu nie tyle, co nas sąsiedzi. Zadbane domki na naszej ulicy z efektownymi wieżyczkami na dachach i ciekawych drewnianych zdobieniach to wszystko stare pieniądze. Dotyczy to także lawendowego domku tuż koło naszego.

To nie przypadek, że dzielę imię także z parkiem Dolores. Prababka Dolores zawdzięczała imię pobliskiej misji, którą z kolei nazwano od strumyka o nazwie *Arroyo de Nuestra Señora de los Dolores*, czyli Strumyk Naszej Pani od Cierpienia. Jasne, nie ma to jak nosić imię deprymującego zbiornika wodnego. A do tego w naszej dzielnicy jest spora ulica o tej nazwie. Trochę to dziwne.

I dlatego wolę być Lolą.

Niebiańska Betsy kończy i wracamy do domu. Mam nadzieję, że rodzice byli litościwi dla Maksa. Jak na kogoś, kto na scenie zachowuje się tak szorstko/arogancko/bezczelnie, w gruncie rzeczy jest introwertykiem i te cotygodniowe spotkania nie przychodzą mu z łatwością.

– Kiedyś wydawało mi się, że jeden nadopiekuńczy ojciec to już za wiele – rzucił któregoś dnia – ale dwaj? Twoi ojcowie wpędzą mnie do grobu, Lo.

Obok mnie przejeżdża wóz meblowy i nagle dzieje się coś dziwnego. W ułamku sekundy mój dobry humor znika, a jego miejsce zajmuje niepokój. Przyspieszamy z Betsy kroku. Max pewnie siedzi już jak na szpilkach. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale im bliżej domu jestem, tym bardziej się niepokoję. W mojej głowie układa się koszmarny scenariusz: moi rodzice do tego stopnia dręczą go pytaniami, że Max dochodzi do

wniosku, że już nie jestem tego warta.

Cały czas liczę, że pewnego dnia, gdy będziemy razem dłużej niż przez wakacje, rodzice zrozumieją w końcu, że to ten jeden, ten właściwy, i różnica wieku przestanie być takim problemem. Jednak choć teraz tego jeszcze nie dostrzegają, nie są głupi. Znoszą Maksa tylko dlatego, że obawiają się, że gdyby zabronili mi się z nim spotykać, uciekłabym z domu razem z nim, wprowadziła się do niego i zarabiała na życie, tańcząc nago albo handlując prochami.

Co za bzdura.

Ale teraz puszczam się biegiem, ciągnę za sobą Betsy w dół wzgórza. Coś jest nie tak. Nagle jestem niemal pewna, że w końcu do tego doszło, że Max wyszedł albo rodzice przyparli go do ściany, wypominając mu brak planów na przyszłość. I wtedy skręcam w naszą uliczkę i nagle wszystko staje się jasne.

Wóz meblowy.

Nie lunch.

Wóz meblowy.

To na pewno kolejny sublokator. Na pewno, jak zawsze. Poprzedni lokatorzy, dziwna para pachnąca dziecięcym mydłem, która kolekcjonowała medyczne dziwactwa, jak skurczone wątroby w formalinie i gigantyczne modele wagin, wyprowadzili się w zeszłym tygodniu. W ciągu minionych dwóch lat przez lawendowy dom przewinęło się mnóstwo sublokatorów i ilekroć jedni się wyprowadzają, nerwowo czekam na kolejnych.

Bo co będzie, jeśli tym razem wrócą oni?

Zwalniam, żeby dokładniej przyjrzeć się ciężarówce. Czy ktoś przy niej stoi? Kiedy wcześniej przechodziłam obok, nie widziałam samochodu w garażu, ale nauczyłam się celowo nie patrzeć w tamtą stronę. No i proszę, dwie osoby na chodniku. Wyteżam wzrok i z przejęciem i ulgą widzę, że to tylko tragarze. Betsy szarpie się na smyczy. Przyspieszam kroku.

Na pewno nie mam żadnych powodów do obaw. No bo przecież prawdopodobieństwo jest niemal zerowe, prawda?

No właśnie... Nieprawda. Tragarze wynoszą z furgonetki wielką białą kanapę, a moje serce przyspiesza. Rozpoznaję ją. Czy już kiedyś na niej siedziałam? Nie, jednak nie. Zaglądam do załadowanego po brzegi wozu, szukam czegoś znajomego i widzę surowe, nowoczesne meble, których w życiu nie widziałam.

To nie oni. To na pewno nie oni.

To nie oni!

Uśmiecham się od ucha do ucha – głupio, jak dziecko, na co sobie zazwyczaj nie

pozwalam – i macham do tragarzy. Chrząkają pod nosem i w odpowiedzi kiwiają głowami. Drzwi do garażu stoją otworem, choć jestem pewna, że jeszcze do niedawna były zamknięte. Zaglądam do środka i kamień spada mi z serca. Widzę mały srebrzysty samochód. Nie znam go.

Ocalona. Po raz kolejny. To naprawdę jest mój szczęśliwy dzień.

Wbiegamy z Betsy do środka.

– Już po lunchu! Idziemy, Max!

Wszyscy wpatrują się w okno naszego salonu.

– Zdaje się, że znowu mamy sąsiadów – zauważam.

Andy jest chyba zaskoczony, słysząc radosne nutki w moim głosie. Choć nigdy o tym nie rozmawialiśmy, wie, że dwa lata temu coś się stało. Wie, że boję się ich powrotu, że każda przeprowadzka budzi we mnie niepokój.

– No, co? – Uśmiecham się szeroko, ale zaraz przypominam sobie o Maksie i poważnieję.

– Lo? Czy ty ich przypadkiem nie widziałaś?

Troska Andy’ego jest wzruszająca. Spuszczam Betsy ze smyczy i wpadam do kuchni. Chcąc, by ranek minął jak najszybciej, by wreszcie nadszedł czas randki, zbieram naczynia ze stołu i niosę do zlewu.

– Nie. – Śmieję się. – A co? Mają kolejną plastikową pochwę? Wypchaną żyrafę? Średniowieczną zbroję rycerską? No, co?

Cała trójka przygląda mi się bacznie.

Coś boleśnie ściska mnie w gardle.

– No, o co chodzi?

Max przygląda mi się z nietypową intensywnością.

– Twój rodzice mówią, że znasz tę rodzinę.

O, nie. Nie.

Ktoś coś mówi, ale do mnie nie docierają słowa. Odruchowo podchodzę do okna, choć rozsądek podpowiada, że bym nie patrzyła. Niemożliwe, żeby to byli oni. Przecież to nie ich meble! Nie ich samochód! Ale ludzie kupują nowe rzeczy. Spoglądam na sąsiedni dom, na ganek, na który ktoś wychodzi. Naczynia, które trzymam – właściwie dlaczego nadal mam w rękach talerze po brunchu? – lecą na podłogę.

Bo to naprawdę ona.

Calliope Bell.

Rozdział 2

Jest równie piękna jak w telewizji. – Trącam miseczkę ciastek i chrupek, które podają tu do herbaty. – Równie piękna jak zawsze.

Max wzrusza ramionami.

– Jest w porządku. Niepotrzebnie się tak nakręcasz.

Choć pociesza mnie fakt, że mu nie imponuje, nie mogę się uspokoić. Opieram się ciężko o oparcie w starej herbaciarni. Od strony małego stawu koło nas nadciąga leciutka bryza.

– Nie rozumiesz. To jest Calliope Bell.

– Fakt, nie rozumiem. – Ściąga brwi nad masywnymi oprawkami à la Buddy Holly. Kiepski wzrok to coś, co nas łączy. Lubię, kiedy wkłada okulary; jest wtedy skrzyżowaniem zbuntowanego rockmana i seksownego kujona. Wkłada je tylko, gdy nie jest na scenie, chyba że grają bez prądu, wtedy dodają mu niezbędnej aury wrażliwości. Max jest bardzo świadomy swojego wyglądu, co niektórzy uznaliby zapewne za próżność, a co ja doskonale rozumiem. Pierwsze wrażenie można zrobić tylko raz.

– Od początku – zaczyna. – Kiedy poszłyście do liceum...

– Ja poszłam – poprawiam. – Ona jest rok starsza.

– No dobra, czyli kiedy poszłaś do liceum... co się wydarzyło? Była dla ciebie niemiała? I do tej pory cię to gryzie? – Ściąga brwi, jakby miał za mało danych, by rozwiązać tę zagadkę. I ma, to fakt, ale ja mu tego nie powiem.

– No.

Prycha.

– Chyba nieźle się wkurzyłaś, żeby natłuc tyle talerzy.

Sprzątanie zajęło cały kwadrans. Kawałki zastawy, resztki omletu w szczelinach drewnianej podłogi i lepki sos brzoskwiniowo-malinowy, który rozprysł się po pokoju jak krew.

– Nie masz pojęcia. – To mój cały komentarz.

Max dolewa sobie herbaty jaśminowej.

– Właściwie dlaczego tak ci imponowała?

– Wtedy mi nie imponowała, wcześniej. Była... piękna i utalentowana i tak się składało, że mieszkała w domu obok. No wiesz, jako małe dziewczynki bawiłyśmy się razem Barbie i tak dalej. I zabolalo, kiedy mnie olała, po prostu. Nie mieści mi się w

głowie, że o niej nie słyszałeś – dodaję.

– No niestety, rzadko oglądam łyżwiarstwo figurowe.

– Dwukrotnie brała udział w mistrzostwach świata. Srebrna medalistka? W tym roku jest naszą nadzieją na olimpiadzie.

– Niestety – powtarza.

– Była w reklamie płatków Wheaties na opakowaniu!

– Które dzisiaj chodzi na e-Bayu za dolara dziewięćdziesiąt dziewięć. – Pod stołem trąca mnie w kolano. – A kogo to obchodzi?

Wzdycham głośno.

– Uwielbiam jej kostiumy. Szyfonowe zakładki, koraliki, kryształki Svarowskiego, minispódniczki...

– Minispódniczki? – Max dopija herbatę do końca.

– I do tego wdzięk, gracia i pewność siebie. – Prostuję się. – I idealne, lśniące włosy. Doskonała cera.

– Doskonałość jest przereklamowana. I nudna.

Uśmiecham się.

– Według ciebie nie jestem doskonała?

– Nie. Jesteś cudownie popieprzona i wcale nie chciałbym, żebyś była inna. A teraz pij herbatę.

Pachnące kwiaty w kolorach klejnotów kontrastują z fantazyjnie przycinanymi krzewami w spokojnych odcieniach zieleni i błękitu. Ścieżki wiją się między świątynią Buddy, stawami z koi, czerwoną pagodą i drewnianym mostkiem w kształcie półksiężyca. Ciszę zakłóca jedynie szczebiot ptaków i trzask migawek aparatów fotograficznych. Jest spokojnie. Magicznie.

A najlepsze?

Zakątki, zakamarki, w których można się całować.

Znajdujemy idealną ławkę, z dala od ciekawskich spojrzeń, Max chwyta mnie za głowę i przyciąga do siebie. Właśnie na to czekałam. Jego pocałunki są zarazem czułe i szorstkie, smakują miętą i papierosami.

Spotykamy się od początku wakacji, a nadal się do tego nie przyzwyczaiłam. Max. Mój chłopak, Max. Tamtego wieczoru, gdy się poznaliśmy, rodzice po raz pierwszy pozwolili mi iść do klubu. Lindsey Lim poszła do łazienki, więc chwilowo byłam sama i nerwowo opierałam się o betonową ścianę klubu Verge. Podszedł do mnie bez wahania, jakby robił to już setki razy.

– Cześć – zagaił. – Pewnie widziałaś, że podczas koncertu cały czas się na ciebie gapilem.

To prawda. Przeszywał mnie wzrokiem, choć nie mogłam w to uwierzyć. W małym klubie było ciasno i niewykluczone, że wpatrywał się nie we mnie, ale jedną z rozpalonych dziewczyn tańczących koło mnie.

– Jak się nazywasz?

– Lola Nolan. – Poprawiłam tiarę na włosach, przestąpiłam z nogi na nogę na platformach.

– Lo-lo-lo-lo Lo-la. – Max zaśpiewał starą piosenkę The Kinks. Miał niski głos, ochrypły po koncercie. Miał na sobie zwykłą czarną koszulkę; wkrótce miałam się przekonać, że to jego codzienny strój. Pod opiętym materiałem widziałam szerokie barki, umięśnione ramiona i tatuaż, który od razu przypadł mi do gustu, ten na lewym łokciu. Jego imiennik z *Tam, gdzie żyją dzikie stwory*. Ten mały chłopiec w białej wilczej skórze.

Był najprzystojniejszym mężczyzną, który się do mnie kiedykolwiek odezwał. Kłębiły mi się w głowie nieskładne zdania, ale nie byłam w stanie zapamiętać żadnego na tyle długo, żeby powiedzieć je na głos.

– Jak ci się podobał koncert? – Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć grupę Ramones w głośnikach.

– Byliście super! – odkrzyknęłam. – Nigdy przedtem was nie widziałam.

To drugie zdanie starałam się wykrzyczeć nonszalancko, jakbym nigdy wcześniej nie widziała akurat ich zespołu. Nie musiał wiedzieć, że przedtem nie byłam na żadnym koncercie.

– Wiem, zauważyłbym cię. Masz chłopaka, Lola?

Joey Ramone wtórował mu z głośników:

Hey, little girl. I wanna be your boyfriend.

Chłopcy w szkole nie byli tak bezpośredni. Nie żebym była bardzo doświadczona, ale kilka razy spotykałam się z kimś przez miesiąc czy dwa. Większość chłopców albo się mnie boi, albo uważa, że jestem dziwna.

– A co cię to obchodzi? – Dumnie uniosłam głowę. Moja pewność siebie nagle poszybowała pod niebiosa.

Sweet little girl. I wanna be your boyfriend.

Max zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i jego usta wygięły się w uśmiechu.

– Jak widzę, czas na ciebie. – Skinął głową. Odwróciłam się i zobaczyłam Lindsey Lim z szeroko otwartą buzią. Tylko nastolatka może wyglądać tak niezdarnie z takim niedowierzaniem na twarzy. Czy Max domyślił się, że nadal chodzimy do szkoły? – Więc może dasz mi swój numer telefonu? – dorzucił. – Chciałbym cię jeszcze kiedyś zobaczyć.

Na pewno słyszał, jak wali mi serce, kiedy grzebałam w torebce: melonowa guma do życia, kawałek biletu do kina, paragon za wegańskie burrito i lakiery do paznokci we wszystkich kolorach tęczy. Wyjęłam marker i ponieważ uświadomiłam sobie, że tylko małolaty i psychofanki noszą ze sobą flamastry. Jemu na szczęście to nie przeszkadzało.

Wyciągnął rękę.

– Tutaj.

Czułam na karku jego ciepły oddech, gdy przyciskałam flamaster do jego nadgarstka. Ręka mi drżała, ale jakimś cudem udało mi się zapisać mój numer szybkimi, wyraźnymi cyframi na jego ręce, poniżej tatuaży. A potem uśmiechnął się, tym swoim charakterystycznym uśmiechem, unosząc jeden kącik ust, i odszedł leniwie, przeciskając się przez spocone ciała w kierunku kiepsko oświetlonego baru. Przez chwilę odprowadzałam go wzrokiem. Choć wziął ode mnie numer telefonu, byłam przekonana, że nigdy więcej go nie zobaczę.

Ale zadzwonił.

To jasne, że zadzwonił.

Doszło do tego dwa dni później, w drodze do szkoły. Max chciał się ze mną umówić w Haight na lunch. I mało mi serce nie pękło, kiedy mu odmawiałam. zaproponował następnego dnia. Wtedy też pracowałam. A kiedy zaproponował kolejny, nie mogłam uwierzyć, że ciągle nie zrezygnował. Tak, powiedziałam. Chętnie.

Miałam na sobie różową sukienkę w stylu retro, z lat pięćdziesiątych, a na głowie moje naturalne, przeciętne ciemne włosy zebrane w dwa koki, które wyglądały jak uszy Myszki Miki. Zamówiliśmy falafele i okazało się, że oboje jesteśmy wegetarianami. Powiedział mi, że nie ma matki. Przyznałam, że ja właściwie też nie. A potem, kiedy wycierał okruszki z ust, stwierdził:

– Nie wiem, jak zapytać o to delikatnie, więc walę prosto z mostu: ile ty właściwie masz lat?

Musiałam mieć okropną minę, bo Max wydawał się przerażony, gdy gorączkowo szukałam dyplomatycznej odpowiedzi.

– O cholera. Aż tak źle?

Uznałam, że najlepiej będzie grać na zwłokę.

– A ty? Ile masz lat?

– O nie. Ty pierwsza.

Kolejny unik:

– A jak myślisz?

– Myślę, że masz śliczną buzię, która wydaje się nieprawdopodobnie młodziutka. I

nie chcę cię urazić, przesadzając w którąkolwiek stronę. Więc musisz mi sama powiedzieć.

To fakt. Mam okrągłą buzię z policzkami, które aż się proszą o podszczypywanie, i uszy odstające bardziej, niżbym tego chciała. Radzę sobie z tym makijażem i ciuchami. Przydają się też kobiece kształty. Ale szczerze mówiąc, naprawdę się wkurzyłam, kiedy zaczął zgadywać:

– Dziewiętnaście?

Przecząco pokręciłam głową.

– Mniej czy więcej?

Wzruszyłam ramionami, ale Max wiedział już, do czego to zmierza.

– Osiemnaście? Błagam, powiedz, że masz osiemnaście lat.

– Oczywiście, że mam. – Odepchnęłam od siebie pusty plastikowy koszyczek. Pozornie byłam jak Królowa Śniegu, choć w duszy płonęłam. – Gdyby było inaczej, nie byłoby mnie tutaj.

Z niedowierzaniem zmrużył bursztynowe oczy. Poczułam, jak fala paniki we mnie narasta.

– A ty? Ile masz lat? – powtórzyłam.

– Więcej niż ty. Studiujesz?

– Tak. – Kiedyś.

– I nadal mieszkasz z rodzicami?

– Ile masz lat? – zapytałam po raz trzeci.

Skrzywił się.

– Dwadzieścia dwa, Lola. I chyba nie powinniśmy w ogóle rozmawiać. Przepraszam, gdybym wiedział...

– Nie jestem nieletnia. – I od razu poczułam się jak idiotka.

Długa chwila milczenia.

– Na pewno jesteś niebezpieczna – stwierdził Max.

Ale z uśmiechem.

Po kolejnym tygodniu niezobowiązujących spotkań namówiłam go w końcu, żeby mnie pocałował. Widać było, że ma na to ochotę, ale wyczuwałam też, że się denerwuje. Nie wiadomo dlaczego, to tylko dodało mi odwagi. Max był pierwszym chłopakiem, który mi się podobał, i to od lat. Od dwóch lat, mówiąc konkretnie.

To było w bibliotece publicznej. Umówiliśmy się tam, bo Max uznał, że to bezpieczne miejsce. Ale kiedy mnie zobaczył, w króciutkiej sukience i kozakach, szeroko otworzył oczy, co u niego, jak zdążyłam się zorientować, oznaczało zaskakującą demonstrację uczuć.

– Nawet porządnego faceta mogłabyś wpakować w tarapaty – stwierdził. Wyciągnęłam rękę po jego książkę, ale tak naprawdę chciałam dotknąć chłopca w wilczej skórze. Rozluźnił dłoń. – Lola – mruknął ostrzegawczo.

Spojrzałam na niego niewinnie.

I wtedy wziął mnie za rękę, odciągnął od stolików między regały. Oparł mnie o półkę z biografiami.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – zapytał z drwiną w głosie i powagą w oczach.

Dłonie mi się pociły.

– Oczywiście.

– Ja nie jestem porządnym facetem. – Podszedł bliżej.

– A ja może wcale nie jestem przyzwoitą dziewczyną.

– Och, owszem, jesteś. Jesteś bardzo przyzwoitą dziewczyną i właśnie to mi się w tobie podoba. – Jednym palcem odchylił mi głowę do tyłu i pocałował mnie.

Nasz związek rozwijał się szybko. To ja hamowałam. Moi rodzice wypyтали o wszystko. Nie dawali się już nabrać, że spędzam tyle czasu z Lindsey. A ja zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam dalej okłamywać Maksa, jeśli chcę, by sprawy posunęły się dalej, więc przyznałam mu się, ile naprawdę mam lat.

Był wściekły. Na tydzień przepadł bez śladu i już straciłam nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę, gdy zadzwonił. Powiedział, że się zakochał. Uprzedziłam, że będzie musiał poznać Nathana i Andy'ego. Nie najlepiej znosi rodziców; jego ojciec był alkoholikiem, a matka odeszła, gdy miał pięć lat, ale się zgodził. A potem wyznaczono nam surowe granice. A w zeszłym tygodniu, w moje siedemnaste urodziny, straciłam dziewictwo w jego mieszkaniu.

Moi rodzice myślą, że poszliśmy do zoo.

Od tej pory spaliśmy ze sobą jeszcze tylko raz. Nie jestem głupia, jeśli o to chodzi; nie mam romantycznych złudzeń. Czytałam sporo na ten temat i wiem, że trochę trwa, zanim dziewczynie też jest dobrze. Mam nadzieję, że wkrótce do tego dojdę.

Całowanie się jest super, więc na pewno do tego dojdę.

Tylko że dzisiaj nie mogę się skupić na jego ustach. Czekałam na to całe popołudnie, ale teraz jestem roztargniona. Gdzieś w oddali rozlega się dźwięk dzwonka – w pagodzie? A ja myślę tylko o jednym – dzwonek, czyli Bell. Bell. Bell.

Wrócili. Rano widziałam ich troje, Calliope i jej rodziców. Po jej rodzeństwie ani śladu. Nie żebym miała coś przeciwko Aleckowi. Nie, nie chodzi o niego, tylko o...

– Co?

Mrugam zaskoczona. Max wpatruje się we mnie. Kiedy przestaliśmy się całować?

– Co jest? – powtarza. – O czym myślisz?

Drga mi powieka.

– Przepraszam, myślałam o pracy.

Nie wierzy mi. Takie są skutki okłamywania chłopaka w przeszłości. Wzdycha nerwowo, wstaje, wsuwa rękę do kieszeni. Wiem, że bawi się zapalniczką.

– Przepraszam – powtarzam.

– Daj spokój. – Zerka na zegarek na wyświetlaczu telefonu. – I tak już musimy iść.

Jedziemy do Royal Civic Center 16 w ciszy, nie licząc zespołu The Clash w głośnikach. Max jest zły, ja mam wyrzuty sumienia.

– Zadzwoń później? – pytam.

Odjeżdżając, kiwa głową, ale wiem, że to jeszcze nie koniec problemów.

Jakbym i bez tego nie miała dość powodów, by nienawidzić Bellów.

Rozdział 3

Moja szefowa ustawia solniczki. Robi to zastraszająco często. W kinie panuje spokój, chwila przerwy między filmami, i korzystam z okazji, by starać się usunąć ze skóry okropne uczucie, że cała jestem w maśle z prażonej kukurydzy.

– Spróbuj tym. – Podaje mi nawilżaną chusteczkę dla dzieci. – Działa lepiej niż serwetka.

Dziękuję jej serdecznie. Mimo dziwaczných nawyków Anna to moja ulubiona współpracownica. Jest ode mnie trochę starsza, bardzo ładna i właśnie zaczęła studia w szkole filmowej. Ma pogodny uśmiech ze szczerbą między przednimi zębami i szeroki platynowy trójkąt w ciemnych włosach. Fajny drobiazg. A do tego zawsze nosi naszyjnik ze szklanym wisiorkiem w kształcie banana.

Podziwiam ludzi z charakterystyczną biżuterią.

– Skąd to się wzięło, do cholery? – pyta jedyna poza nami osoba za ladą. Czy raczej – na ladzie, bo właśnie tam siedzi jej idiotycznie przystojny chłopak z angielskim akcentem.

To kolejna rzecz, którą lubię w Annie. Jej chłopak towarzyszy jej na każdym kroku.

Wskazuje głową chusteczki.

– Co jeszcze masz w kieszeniach? Ściereczki do kurzu? Sprej do mebli?

– Uważaj, bo wyszoruję ciebie, Étienne.

Uśmiecha się pod nosem.

– Pod warunkiem że zrobisz to w cztery oczy.

Tylko Anna zwraca się do niego po imieniu, wszyscy inni – po nazwisku, St. Clair. Właściwie nie wiem dlaczego. Tak już jest. Zamieszkali tu niedawno, poznali się w zeszłym roku w Paryżu, w liceum. W Paryżu. Oddałabym wszystko, żeby chodzić do szkoły w Paryżu, zwłaszcza jeśli są tam chłopcy tacy jak Étienne St. Clair.

Nie żebym chciała zdradzić Maksa, tak tylko gadam. St. Clair ma cudowne piwne oczy i niesforną artystyczną czuprynę. Chociaż jak dla mnie jest trochę za niski, o dobrych kilka centymetrów niższy niż jego dziewczyna.

Studiuje w Berkeley i mimo bezrobocia spędza w naszym kinie tyle samo czasu co na uczelni. A ponieważ jest śliczny, bezczelny i pewny siebie, wszyscy za nim przepadają. Wystarczyło kilka godzin, by wkręcił się na zaplecze bez słowa sprzeciwu ze strony kierownika.

Taki urok osobisty robi wrażenie. Co jednak nie znaczy, że chcę słuchać o ich

szorowaniu.

– Za pół godziny kończę. Z łaski swojej wstrzymajcie się do tego czasu i nie rozwijajcie za bardzo tego tematu, póki stąd nie wyjdę.

Anna uśmiecha się do niego, a St. Clair odpina jej od brązowej pracowej kamizelki gigantyczny znaczek z napisem: „Klub filmowy! Nie wiesz? Zapytaj!”

– Przez Lolę przemawia zazdrość, i tyle. Pewnie znowu ma problem z Maksem.

Anna patrzy na mnie i w jej uśmiechu pojawia się gorycz.

– Pamiętasz, co ci mówiłam o muzykach? Ten typ tylko złamie ci serce.

– Są fatalni, bo są po prostu kiepscy – mamrocze St. Clair. Przypina znaczek do swojej wojskowej kurtki, cudownego czarnego cacka, w którym wygląda bardzo europejsko.

– Słuchajcie, tylko dlatego, że dawno, dawno temu mieliście problemy z kimś jego pokroju, nie znaczy, że ze mną będzie tak samo – zauważam. – Między nami wszystko jest w porządku. Nie... nie mówcie takich rzeczy. – Kręcę głową, patrząc na St. Claira. – Niszczysz tę piękną kurtkę.

– Sorry, chcesz ten znaczek? Pasuje ci do kolekcji. – Wskazuje moją brązową kamizelkę. Oprócz znaczków, które każą nam nosić w pracy, ozdobiłam ją kilkoma błyszczącymi broszkami. Na razie narzekał na to tylko jeden menedżer, ale wytłumaczyłam mu grzecznie, że moje ozdoby tylko przyciągają uwagę klientów i tym samym ściągają ich wzrok na znaczki reklamowe.

I wygrałam.

Na całe szczęście nikt nie skomentował samej kamizelki, którą zwęziłam i dopasowałam tak, że jest obcisła i wygląda nie tak strasznie. No wiecie, jak na kamizelkę z poliestru. Telefon wibruje mi w kieszeni.

– Chwileczkę – rzucam do St. Claira. Esemes od Lindsey Lim:

„Nie uwierzysz, kogo widziałam w parku. Przygotuj się na szok”.

– Lola! – Anna rzuca się mnie ratować, ale nie mdleję. Nie mdleję? Trzyma mnie za ramię, pomaga ustać na nogach. – Co się stało? Co jest?

Lindsey na pewno widziała Calliope. To Calliope zawsze ćwiczyła w parku w ramach treningu. Tak, to na pewno Calliope! Drugą możliwość odpycham od siebie ze wszystkich sił – na darmo. Ta myśl wiecznie jest ze mną, choćbym nie wiadomo ile razy powtarzała sobie, że muszę o tym zapomnieć. To już przeszłość, nic tego nie zmieni. A jednak nie mogę. Bo choć przerażająca jest wizja Calliope Bell, to nic w porównaniu z tym, co czuję, ilekroć pomyślę o jej bracie.

To będzie ich ostatni rok w szkole. A zatem, choć rano go nie widziałam, nie wyobrażam sobie, żeby jej brata bliźniaka nie było. Jedyne, na co mogę liczyć, to

jakieś małe opóźnienie. Muszę mieć czas, żeby przygotować się psychicznie.

W odpowiedzi wysłałam Lindsey tylko znak zapytania. Błagam, błagam, błagam, zaklinam opatrność. Niech to będzie Calliope.

– Chodzi o Maksa? – dopytuje Anna. – O twoich rodziców? O rany, a może o tego koleśia, którego wczoraj wyrzuciliśmy z kina? No wiesz, tego świra z wielkim telefonem i kubelkiem kurczaka! Skąd niby wziął twój numer...

– Nie o niego. – Ale nie jestem w stanie o tym mówić. Nie teraz, nie o tym. – Wszystko w porządku.

Anna i St. Clair patrzą na siebie z niedowierzaniem.

– Chodzi o to, że Betsy, mój pies... Andy obawia się, że jest chora, ale to na pewno tylko... – Telefon znowu wibruje. Niemal go upuszczam, tak gorączkowo zabieram się do odczytania wiadomości.

„Calliope. Śledztwo wskazuje nowego trenera. Wróciła na stałe”.

– No i? – dopytuje się St. Clair.

Calliope. Dzięki ci, Boże. Calliope. Podnoszę na nich wzrok.

– No i co?

– Co z Betsy?! – krzyczą jednocześnie.

– Ach, tak. – Uśmiecham się z ulgą. – Falszywy alarm. Przed chwilą zwymiotowała. Butem.

– Butem? – powtarza St. Clair.

– Jezu, ale mnie wystraszyłaś – mruczy Anna. – Chcesz jechać do domu?

– Jeśli tak, sami zamkniemy – dodaje St. Clair. Jakby tu pracował. Pewnie chce się mnie pozbyć, żeby dobrać się do swojej dziewczyny.

Oddalam się od nich, idę w stronę maszyny do robienia popcornu, zła na siebie, że publicznie okazałam uczucia.

– Betsy ma się dobrze, dzięki – dorzucam, a komórka znowu wibruje.

„Wszystko OK?”

„Tak. Widziałam ją dziś rano”.

„I nic mi nie powiedziałaś?”

„Miałam dzwonić po pracy. Nie widziałaś...?”

„Nie, ale badam sprawę. Ned, zadzwoń po 18”.

Lindsey Lim uważa się za detektywa amatora, a to za sprawą odwiecznej obsesji na punkcie powieści kryminalnych, odkąd na ósme urodziny dostała pierwszą książkę z serii o Nancy Drew. Stąd „Ned”. Usiłowała nazywać mnie Bess, na cześć rozflirtowanej zakupoholiczki i przyjaciółki Nancy, ale nie byłam tym zachwycona, bo ta Bess w kółko powtarza, że sytuacja jest zbyt niebezpieczna i Nancy powinna dać

sobie spokój.

Jaka przyjaciółka mówi coś takiego?

A już na pewno nie jestem jak George, drugą przyjaciółką Nancy, bo George to umięśniona chłopczyca z nosem jak bokser. George w życiu nie włożyłaby sukni à la Maria Antonina, nawet z glanami. Został więc Ned Nickerson, chłopak Nancy. Ned jest nawet przydatny, często towarzyszy Nancy w mroźnych krew w żyłach sytuacjach. To mi pasuje. Nawet jeśli to chłopak.

Wyobrażam sobie Lindsey przed komputerem. Pewnie od razu weszła na jakieś forum o łyżwiarstwie figurowym i stąd wie o nowym trenerze. Choć niewykluczone, że zwróciła się z pytaniem do samej Calliope. Lindsey niełatwo zastraszyć i stąd wiem, że kiedyś będzie świetnym detektywem. Jest rozsądna, bezpośrednia i szczerza do bólu.

W tym sensie idealnie się uzupełniamy.

Przyjaźnimy się od... no cóż, odkąd nie przyjaźnię się z Bellami. Odkąd poszłam do przedszkola, a oni uznali, że jednak nie tak fajnie jest bawić się z dziewczyną z sąsiedztwa, która jest w szkole tylko przez pół dnia. Ale ta część tej historii nie jest nawet w połowie tak przykra, jak się wydaje. Bardzo szybko poznałam Lindsey i odkryłyśmy wspólne pasje: turkusową kredkę, kulanki pospolite i ciasteczka w kształcie choinek. A później, kiedy rówieśnicy nabijali się ze mnie, gdy wkładałam baletowe spódniczki i czerwone balerinki, to Lindsey warczała groźnie:

– Zamknij się, dupku!

Jestem wobec niej bardzo lojalna.

Ciekawe, czy dowie się czegoś o bracie bliźniaku Calliope?

– Słucham? – mówi St. Clair.

– Co? – Odwracam się i widzę, że znowu przyglądają mi się z Anną dziwnym wzrokiem.

– Powiedziałaś: Bell. – Anna przechyliła głowę. – Na pewno wszystko w porządku? Jesteś dzisiaj jakaś rozkojarzona.

– Nic mi nie jest, naprawdę! – Ile razy będę musiała dzisiaj skłamać? Proponuję, że posprzątam łazienki na czwartek piętrze, żeby się bardziej nie pograżać, ale później, kiedy Andy po mnie przyjeżdża – rodzice nie chcą żebym po nocy jeździła sama autobusem – on także przygląda mi się troskliwie.

– Wszystko w porządku, Lol?

Ciskam torebkę na tablicę rozdzielczą.

– Dlaczego wszyscy w kółko mnie o to pytają?

– Może dlatego, że wydajesz się... – Andy milknie, a na jego twarzy pojawia się z trudem maskowany uśmiech nadziei. – Zerwałaś z Maksymem?

– Tato!

W odpowiedzi wzrusza ramionami, ale widzę, jak grdyka mu podskakuje – niezawodny znak, że mu głupio, że o to zapytał. Może jednak nie wszystko stracone, jeśli chodzi o Maksa i rodziców. A w każdym razie o Maksa i Andy’ego. Andy zawsze pierwszy mięknie w trudnych sytuacjach.

Co, tak przy okazji, nie znaczy, że jest bardziej kobiecy. Nic nie wkurza mnie tak bardzo jak założenie, że któryś z moich ojców jest ojcem w mniejszym stopniu. Fakt, Andy zarabia na życie pieczeniem. I został w domu, żeby się mną opiekować. I potrafi rozmawiać o uczuciach. Ale też naprawia gniazdko elektryczne, przetyka zapchane rury, zabija karaluchy i zmienia opony. A Nathan, domowy despota i nieugięty prawnik ACLU, kolekcjonuje antyki i płacze, oglądając śluby w durnych serialach komediowych.

Więc nie, żaden nie jest bardziej kobiecy. Obaj po prostu są gejami. I tyle.

Zresztą, nie wszystkie kobiety mieszczą się w tych stereotypach, prawda?

– Czy to... Nasi sąsiedzi? – pyta Andy niespokojnie. Wie, że jeśli tak, nie zechcę o tym rozmawiać.

– To nic takiego, tato. Po prostu miałam ciężki dzień.

W milczeniu jedziemy do domu. Drzę, wysiadając, ale nie dlatego, że nagle się ochłodziło. Patrzę na lawendowy domek. W okno naprzeciwko mojego. Ciemne. Lodowaty uścisk na moim sercu łagodnieje, ale nie ustępuje całkiem. Muszę zobaczyć jego wnętrze. Adrenalina dodaje mi sił. Biegnę po schodkach do domu, na piętro.

– Halo! – woła za mną Nathan. – Nie uściskasz kochanego staruszka?

Andy mówi coś do niego cicho. Teraz, gdy już stoję pod drzwiami mego pokoju, boję się wejść do środka. Co jest idiotyczne, bo jestem odważna. Niby dlaczego miałabym się bać jednego małego okna? Ale waham się, nasłuchuję, żeby się upewnić, że Nathan nie idzie na górę. Bez względu na to, co mnie czeka w środku, nie chcę, by coś mi w tym przeszkodziło.

Nie idzie. Pewnie Andy wytłumaczył mi, że powinien zostawić mnie w spokoju. Dobrze.

Otwieram drzwi z pewnością siebie, której nie czuję. Już sięgam do kontaktu, jednak zmieniam zdanie i wchodzę à la Lindsey Lim. Skradam się w ciemności. W San Francisco domy stoją tak blisko siebie, że sąsiednie okno, na tej samej wysokości co moje, znajduje się zaledwie kilka metrów dalej. Wparuję się w ciemność, szukam śladów mieszkańca.

W oknie nie ma firanek. Wyteżam wzrok, ale z tego, co widzę, pokój jest pusty. Nie ma tam nic. Zerkam w prawo, do pokoju Calliope. Pudła. Patrzę w dół, do kuchni.

Pudła. I znowu przed siebie.

Bliźniaka nie ma.

Nie ma.

Oddycham pełną piersią. Zapalam światło, włączam muzykę – zespół Maksa ma się rozumieć – na pełny regulator. Jak najgłośniej. Zrzucam baletki, ciskam je na stertę butów piętrzącą się koło szafy, ściągam perukę, potrząsam moimi prawdziwymi włosami, zdzieram z siebie kamizelkę pracową, a w ślad za nią idiotyczną bluzkę z kołnierzykiem i krótkim rękawem, którą każą mi nosić w kinie, i paskudne czarne spodnie. Wkładam chińską piżamę z czerwonego jedwabiu i wreszcie znowu czuję się sobą.

Zerkam w puste okno.

O tak, zdecydowanie czuję się sobą.

W moim pokoju na cały regulator gra Amfetamina. Tanecznym krokiem podchodzę do telefonu. Najpierw zadzwonię do Lindsey. A potem do Maksa, przeproszę, że w herbaciarni byłam taka nieobecna myślami. Może jutro rano znajdzie wolną chwilę? Zaczynam pracę dopiero o drugiej, więc moglibyśmy zjeść razem brunch – taki jak chcemy. Albo powiedzieć, że wybieramy się do restauracji, a tak naprawdę iść do niego.

Zamykam oczy, skaczę i tańczę w rytm muzyki, kręcę się w kółko, śmieję na głos, rzucam po całym pokoju. Gniewny głos Maksa, agresywny tekst, energiczna muzyka, emocje narastają, basy tętnią jak krew w żyłach. Jestem niepokonana.

I wtedy otwieram oczy.

Cricket Bell uśmiecha się od ucha do ucha.

– Cześć, Lola.

Rozdział 4

Siedzi w oknie. Dosłownie – siedzi w oknie. Pośladki na parapecie, nogi – nieprzyzwoicie długie i chude – zwisają luźno dwa piętra nad ziemią. A ręce skrzyżował na piersi, jakby podglądanie niczego niepodejrzewającej dziewczyny było najnormalniejszą sprawą pod słońcem.

Gapię się, zaskoczona, otępiąła, aż Cricket parska śmiechem. Śmieje się całym ciałem, odrzuca głowę do tyłu i klaszcze w dłonie.

Cricket Bell śmieje się ze mnie. I klaszcze.

– Wołałem cię. – Usiłuje spoważnieć, ale tylko uśmiecha się szerzej. Mogłabym policzyć mu zęby. – Wołałem kilka razy, ale muzyka była za głośno, więc po prostu czekałem. Dobrze tańczysz.

Przeżalenie uniemożliwia mi prowadzenie normalnej rozmowy.

– Przepraszam. – Ciągłe się uśmiecha, ale widać, że robi mu się nieswojo. – Chciałem się tylko przywitać.

Jednym płynnym ruchem przerzuca nogi przez parapet. W jego gestach jest pewna lekkość, charakterystyczny wdzięk, który od razu rozpoznaję. Powraca znajomy bolesny wstyd. A potem Cricket przeciąga się, a mnie znowu odbiera mowę.

– Cricket ty... jesteś wysoki.

Jest to prawdopodobnie najgłupsze, co mogłam powiedzieć.

Cricket Bell zawsze przewyższał innych chłopców, ale w ciągu minionych dwóch lat przybyło mu ze dwadzieścia centymetrów. Co najmniej. Jego szczupła sylwetka – dawniej chuda i niezdarna mimo płynnych ruchów – także się zmieniła. Nabrał ciała, choć bez przesady. Po prostu nie jest już taki chudy. Ale informowanie kogoś, że jest wysoki, to jak komentowanie pogody, gdy leje. Oczywiście i denerwujące.

– Wszystko przez te włosy – odpowiada z kamienną miną. – Grawitacja zawsze komplikowała mi życie.

Fakt, jego ciemne włosy też są... Wysokie. Niesforne, ale... niesforne inaczej. Nie pojmuję, jak to możliwe bez sporych ilości żelu albo pianki, ale nawet w dzieciństwie włosy Cricketa sterczały w górę. Przez nie wygląda jak szalony naukowiec, co zresztą nie jest zbyt dalekie od prawdy. Te włosy to jedna z rzeczy, które zawsze w nim lubiałam.

Oczywiście póki nie znienawidziłam go całego, ma się rozumieć.

Czeka na moją reakcję, a kiedy milczę, chrząka głośno.

– Ale ty też jesteś wyższa. Oczywiście. To znaczy, minęło sporo czasu, więc to jasne, że jesteś. Wyższa.

Przyglądamy się sobie. Kręci mi się w głowie, gdy usiłuję połączyć dzisiejszego Cricketa z tym sprzed lat. Dorósł i wyrósł, ale to nadal on. Ten sam chłopak, w którym zakochałam się w dziewiątej klasie. To uczucie narastało od lat, ale tamtego roku, gdy kończył szesnaście lat, wszystko się zmieniło.

Obwiniam o to jego spodnie.

Cricket Bell zawsze był... miły. I słodki, i inteligentny, a w miarę jak dorastaliśmy było oczywiste, że się w nim zakocham. Ale tamtego dnia, gdy wszystko wreszcie zaskoczyło, jednocześnie odkryłam, że zaczął zwracać uwagę na swój wygląd. Bez przesady, po prostu doszedł do wniosku, że może jednak szorty do kolan i gigantyczne adidasy to nie jest najlepszy strój akurat dla niego.

I wtedy zaczął nosić te spodnie.

Fajne spodnie. Nie hipsterskie, nie szpanerskie, ale takie, które dowodziły, że mu zależy. Wybierał takie pasujące do jego sylwetki. Niektóre gładkie, inne w prążki, żeby jeszcze podkreślić jego wzrost. Wkładał do nich koszule w stylu retro i nietypowe marynarki i całość sprawiała wrażenie niewymuszonej lekkości.

I tak, gdy moi rówieśnicy przy odrobinie szczęścia przypominali sobie, żeby zapiąć rozporek, a jedyjni, którzy choć trochę przejmowali się swoim wyglądem, zapowiadali się na przyszłych gejów, w domu obok mieszkał bardzo miły, bardzo przystojny, bardzo dobrze ubrany chłopak hetero.

To chyba jasne, że się w nim zakochałam.

To chyba jasne, że skończyło się fatalnie.

I proszę, oto on. Nadal ubiera się tak samo. Jeśli już, tylko ulepszył swój styl. Nadal nosi obcisłe spodnie i koszule, ale teraz dodaje jeszcze biżuterię. Szeroka bransoletka z czarnej skóry na jednym nadgarstku, cienkie, kolorowe rzemyki gumki na drugim. Cricket Bell wygląda dobrze. Lepiej.

Zaskakujący wniosek, ale kolejny zadziwia mnie jeszcze bardziej.

Już nie jestem w nim zakochana.

A kiedy na niego patrzę, czuję tylko... pustkę.

– Co u ciebie? – Uśmiecham się zaraz ciepło i zimno. Mam nadzieję, że ten uśmiech mówi: Już nie jestem tamtą dziewczyną. Wcale mnie nie skrzywdziłeś i wcale o tobie nie myślę.

– W porządku. Naprawdę w porządku. Zacząłem studia na Berkeley, dlatego wszystkie moje rzeczy są tam. W Berkeley, rozumiesz. Wpadłem tu tylko po to, żeby pomóc rodzicom przy rozpakowywaniu. – Wskazuje za siebie, jakby w pokoju były

jakieś pudła. Zawsze dużo gestykulował.

– Berkeley. – Jestem pod wrażeniem. – Naprawdę?

Opuszcza wzrok na dróżkę między naszymi domami.

– Tak, skończyłem wcześniej szkołę. No wiesz, tak to jest, jak człowiek uczy się w domu. Calliope też, ale na razie nie wybiera się na studia, tylko poświęca karierze.

– Więc mieszkasz w Berkley? – dopytuję z niedowierzaniem. – W akademiku?

– Tak.

Tak. O mój Boże, tak!

– To znaczy nie cały czas – tłumaczy. – Przywiozę tu trochę rzeczy, na weekendy i ferie. I w ogóle.

Coś boleśnie ściska mnie w piersi.

– Weekendy?

– Pewnie tak. – Wydaje się zmieszany. – To wszystko jest dla mnie bardzo nowe. Zawsze cały świat kręcił się wokół Calliope, rozumiesz.

O tak, rozumiem. Życie rodziny Bellów zawsze koncentrowało się wokół kariery Calliope. Chyba po raz pierwszy Cricket nie musi podporządkowywać swoich planów treningom siostry.

– Widziałam ją w zeszłym roku w telewizji – mówię, starając się nie okazywać paniki na myśl, że będę go widywała regularnie. – Mistrzostwa świata, srebrny medal. Fantastycznie.

– Och. – Cricket opiera się o framugę, drapie po nosie i tym samym odsłania notatkę na nadgarstku: „Obwód zamknięty”.

– Ale lepiej jej tego nie mów.

– Dlaczego? – Wpatruję się w jego rękę. Zawsze zapisywał na niej tajemnicze notatki, zawsze czarnym flamastrem. Chcąc być taka jak on, też zaczęłam to robić. Mój żołądek ściska się boleśnie. Ciekawe, czy to zauważył? Czy Calliope dokuczała mu z tego powodu, gdy mnie nie było w pobliżu?

– Znasz Cal. Jeśli to nie pierwsze miejsce, nie liczy się. – Prostuje się, rusza, wyciąga do mnie rękę. – Ale co u ciebie? Przepraszam, całkiem zdominowałem naszą rozmowę.

– Super, u mnie super!

Super? Po dwóch latach obsesyjnego knucia zemsty mówię coś takiego? Oczywiście, kiedy knułam zemstę, nie wyobrażałam sobie, że będę z nim rozmawiała w piżamie. I to do kompletu.

Jezu. Mam na sobie piżamę do kompletu.

I włosy! Moje włosy! Są koszarne po peruce, płaskie i spocone!

Nic nie jest tak, jak powinno. Wyobrażałam sobie, że w tej chwili będę miała na sobie coś fantastycznego i wyjątkowego. Że będziemy w zatłoczonym pomieszczeniu, a jemu zaprze dech w piersiach na mój widok. Miałam się śmiać, a on – iść do mnie, przyciągany moim magnetyzmem. Miałam być zaskoczona, ale obojętna. A potem pojawiłby się Max. Objąłby mnie i wyszłabym z nim, z odzyskaną godnością, a Cricket miał umierać z rozpaczy, gryząc się, że nie zrobił żadnego kroku w czasach, gdy mógł mnie mieć.

Cricket przypatruje mi się z dziwnym wyrazem twarzy. Zmarszczył czoło, rozchylił usta, spowaźniał. Mina trudnego równania. Ale dlaczego?

– A twoi bliscy? – pyta. – Co u nich?

Ta twarz. Nie daje mi spokoju.

– W porządku. – Jestem pewna siebie i szczęśliwa. I już dawno o tobie zapomniałam. Tak, już o tobie zapomniałam, jasne? – Andy pracuje na własny rachunek. Piecze na zamówienie fantastyczne ciasta, o wszelkich możliwych smakach. Interes idzie coraz lepiej. A Nathan jest taki jak zawsze. No wiesz. W porządku. – Odwracam wzrok, wpatruję się w ciemną uliczkę. Wolałabym, żeby przestał się na mnie patrzeć.

– A Norah? – pyta z wahaniem, delikatnie.

Kolejna niezręczna cisza. Niewiele osób wie o Norah, ale pewnych rzeczy się przed sąsiadami nie ukryje. Na przykład mojej biologicznej matki.

– Jak to Norah. Teraz poszła w New Age, wróży z fusów herbacianych. – Robi mi się gorąco. Jak długo jeszcze będziemy tak stali, siląc się na uprzejmość? – Ma mieszkanie.

– To super. Lola, bardzo się cieszę. – A ponieważ to Cricket, wydaje się naprawdę zadowolony. Bardzo to wszystko dziwne. – Często się z nią widzisz?

– Raczej nie. A Snoopy’ego ani razu w tym roku – dodaję, sama nie wiem dlaczego.

– Czy on nadal...

Kiwam głową. Tak naprawdę nazywa się Jonathan Head, ale nie słyszałam, by ktokolwiek tak się do niego zwracał. Snoopy i Norah poznali się, gdy byli nastolatkami. Byli także alkoholikami, narkomanami i parą bezdomnych żuli. Kiedy zaszła w ciążę, Norah pobiegła po pomoc do starszego brata, Nathana. Nie chciała mnie, ale nie chciała też aborcji. A Nathan i Andy, którzy byli razem od siedmiu lat, chcieli mieć dziecko. Adoptowali mnie, a Andy nawet zmienił nazwisko na Nathana, żebyśmy wszyscy nazywali się tak samo.

Ale owszem, z biologicznego punktu widzenia Nathan jest moim wujem.

Moi rodzice usiłowali pomóc Norah. Już od lat nie mieszka na ulicy – najpierw to

były ośrodki pomocy, teraz w końcu samodzielne mieszkanie – ale i tak nie jest to osoba godna zaufania, delikatnie mówiąc. Jedyne, co mogę o niej powiedzieć, to że przynajmniej jest trzeźwa. A Snoopy’ego widuję od czasu do czasu, gdy akurat znowu zawita do San Francisco. Dzwoni wtedy do rodziców, zapraszamy go na obiad, a potem znowu przez kilka miesięcy nie daje znaku życia. Bezdomni są bardziej mobilni, niż się ludziom wydaje.

Nie lubię rozmawiać o moich biologicznych rodzicach.

– Podoba mi się, jak urządziłaś swój pokój – oznajmia nagle Cricket. – Bardzo fajne światełka. – Wskazuje sznury białoróżowych lampek pod sufitem. – I te głowy manekinów.

Wzdłuż ścian, pod sufitem, ciągną się półki zastawione turkusowymi głowami manekinów. Przechowuję na nich peruki i okulary słoneczne. Na ścianach wiszą też plakaty z filmów kostiumowych i czarno-białe fotografie dawnych gwiazd. Mam różowe biurko mieniące się brokatem, którym posypałam jeszcze mokrą farbę. Na blacie stoją niezliczone słoiczki z brokatem, buteleczki lakieru do paznokci, opakowania plastikowych spinek i sztucznych rzęs.

Na regale stoją niezliczone puszki farby w spreju, a stolik do szycia niknie pod stertą fotografii przedstawiających japońską modę uliczną. Wszędzie piętrzą się bele materiału. W szafkach mam kolejne słoiczki – z guzikami, paciorkami, suwakami, igłami. Nad łóżkiem rozpięłam baldachim, zrobiony z indyjskich chust i papierowych parasolek z chińskiej dzielnic.

Panuje w nim chaos, ale bardzo go lubię. Mój pokój to moje schronienie.

Zerkam do sypialni Cricketa. Nagie ściany, pusta podłoga. Nic. Podąża wzrokiem za moim spojrzeniem.

– Nie to co dawniej, co? – rzuca.

Zanim się wyprowadzili, jego pokój był równie zagracony jak mój. Puszki po kawie pełne śrubek, nitów, nakrętek i gwoździ. Rysunki techniczne poprzyklejane obok wykresów, tablica Mendelejewa na ścianie. Żarówki, zwoje drutu miedzianego, części od zegarów. I zawsze i wszędzie maszyny Rube’a Goldberga.

Rube zasłynął z rysowania komiksów ze skomplikowanymi maszynami wykonującymi proste czynności. Wiecie, o co mi chodzi: ciągniesz za sznurek i obcas przewraca kubek, kubek wyrzuca piłkę, piłka wpada na równoważnię huśtawkę, która w końcu uwalnia dźwignię i zapala światło. I tak właśnie wyglądał pokój Cricketa.

Uśmiecham się czujnie.

– Rzeczywiście, trochę u ciebie inaczej, CGB.

– Pamiętasz, jak mam na drugie? – Unosi brwi ze zdumieniem.

– Nie sposób zapomnieć – Cricket Graham Bell.

O tak, bo Bellowie to ci Bellowie, potomkowie tego od telefonu. Telefonu, jednego z najważniejszych wynalazków w historii.

Drapie się w czoło.

– No tak, rodzice poszli w nomenklaturę.

– Litości. – Śmieję się. – Dawniej wiecznie się tym przechwalałeś.

– Ludzie się zmieniają. – Otwiera szeroko niebieskie oczy, jakby żartował, ale wyczuwam w nim coś innego, jakiś niepokój. Dziwne, Cricket zawsze szczyił się nazwiskiem. I nic dziwnego, był wynalazcą, jak jego praprapra dziadek.

Gwałtownie cofa się w mrok pokoju.

– Spieszę się na pociąg. Jutro zajęcia.

Zaskakuje mnie tym.

– Och.

A potem znowu jest w oknie. Jego twarz rozjaśniają moje biało-różowe lampki. Jego twarz jak trudne równanie.

– Zobaczymy się wkrótce?

A co mam powiedzieć? Wskazuję swoje okno.

– Jestem tutaj.

Rozdział 5

Max podnosi z podłogi czarną koszulę, wkłada. Ja już zdążyłam się ubrać. Tego dnia jestem cała truskawkowa. Słodka czerwona sukienka w stylu lat pięćdziesiątych, na szyi sznur czarnych koralików, na włosach – ciemnozielona peruka na pazia z lat dwudziestych. Mój chłopak pieszczotliwie gryzie mnie w ramię pachnące potem i truskawkowym balsamem.

– W porządku? – pyta. I nie ma na myśli ugryzienia.

Kiwam głową. I naprawdę jest w porządku.

– Chodźmy na burrito – mówię. – Umieram z głodu i marzę o guacamole. – Nie dodaję, że chcę wyjść, zanim wróci jego współlokator, perkusista Amfetaminy. Johnny jest w porządku, ale czasami mam wrażenie, że sytuacja mnie przerasta, gdy znajduję się wśród znajomych Maksa. Wolę, gdy jesteśmy tylko we dwoje.

Max sięga po portfel.

– Jak sobie życzysz, Lo-li-to – nuci.

Uderzam go w bark. W odpowiedzi uśmiecha się tym swoim typowym krzywym uśmiechem. Wie, że nie znoszę tego przezwiska. Nikt nie może nazywać mnie Lolitą, nawet mój chłopak, nawet w cztery oczy. Nie jestem erotyczną fantazją starego oblecha. Max to nie Humbert Humbert, a ja nie jestem jego nimfetką.

– Ostrzegam po raz ostatni – mruknęłam. – Aha, niniejszym właśnie postawiłeś mi burrito.

– Z dodatkowym guacamole. – Przypieczętowuje obietnicę głębokim pocałunkiem i w tej chwili dzwoni mój telefon. Andy.

Rumienię się.

– Przepraszam.

Odwraca się zdenerwowany, ale odpowiada miękko:

– Nie musisz.

Mówię Andy’emu, że już jesteśmy w restauracji, a wcześniej po prostu spacerowaliśmy. Jestem niemal pewna, że to łyka. Ale atmosferę szlag trafił. Wybieramy z Maksem knajpkę zaledwie przecnicę dalej. W oknach wiszą podświetlone plastikowe kaktusy, pod sufitem kołyszą się papierowe papugi. Max mieszka w Mission, sąsiedniej dzielnicy, w której nie brak niesamowitych meksykańskich knajpek.

Kelner przynosi słone nachosy i superostrą salsę, a ja opowiadam o szkole, do której

wracam już za trzy dni. Nie mam na to najmniejszej ochoty, jestem gotowa na studia, chcę już zacząć karierę. Chcę projektować kostiumy na scenę i do filmu. Pewnego dnia to ja będę szła po czerwonym dywanie w kreacji, jakiej świat jeszcze nie widział, jak Lizzy Gardiner, gdy dostawała Oscara za *Priscillę, królową pustyni* w sukni ze złotych kart kredytowych. Oczywiście moja będzie z czegoś innego.

Na przykład ze starych klisz fotograficznych albo białych róż, albo meksykańskich kuponów lotto. A może wystąpię w butach z cholewami za kolano i kapeluszu z piórami, wkroczę na scenę z szablą u boku i pistoletem za pasem i podziękuję rodzicom za to, że kiedy w drugiej klasie miałam grypę, pokazali mi *Przeminęło z wiatrem*, bo dzięki temu filmowi wiem wszystko, co trzeba, o krynolinach.

Przede wszystkim to, że krynolina jest mi potrzebna. Koniecznie.

Max pyta o Bellów. Wzdrygam się. Dźwięk ich nazwiska jest jak porażenie prądem.

– Od tygodnia nic o nich nie mówiłaś. Widziałaś... Calliope? – Zawiesza głos przy jej imieniu. Nie jest pewien, czy dobrze pamięta, a ja przez jedną straszną chwilę boję się, że wie o Crickecie.

Co oczywiście jest niemożliwe, bo jeszcze mu o nim nie powiedziałam.

– Tylko przez okno. – Obrysowuję palcem zimną krawędź puszek z napojem mandarynkowym. – Na całe szczęście. Niedługo uwierzę, że naprawdę można mieszkać drzwi w drzwi i unikać spotkania twarzą w twarz.

– Nie możesz bez końca uciekać przed problemami. – Marszczy brwi i dotyka kolczyka. – Nikt nie może.

Parskam śmiechem.

– I kto to mówi! Facet, na którego ostatniej płycie aż trzy piosenki są o uciekaniu!

Max uśmiecha się pod nosem.

– Nigdy nie twierdziłem, że nie jestem hipokrytą.

Sama nie wiem, czemu nie powiedziałam mu o Crickecie. Po prostu nigdy nie było odpowiedniej okazji. Od tamtego pierwszego spotkania nie widziałam go, ale nadal nie uporałam się z tym, co czuję. To spotkanie nie było takie straszne, jak się obawiałam, ale i tak... podziało na mnie. Nietypowa dla Cricketa swoboda w połączeniu z nietypowym dla mnie skrepowaniem i świadomością, że znowu go zobaczę. I to niedługo.

Nawet słowem nie wspomniał o naszym ostatnim spotkaniu. Jakby to nie miało znaczenia. Choć pewnie raczej dla niego nie było to ważne. A ja przez wiele ponurych nocy usiłowałam o nim zapomnieć. Nie podoba mi się, że tak łatwo wyparł mnie z myśli.

Nie mam siły tłumaczyć tego Maksowi.

I nie chcę, żeby pomyślał, że Cricket Bell znaczy dla mnie więcej niż w rzeczywistości. Ta część mojego życia to już przeszłość.

Przeszłością natomiast nie jest moja rozmowa z Lindsey następnego dnia. Wydaje się, że odbywamy ją codziennie.

– Zależy mi na Maksie – tłumaczę. – A jemu na mnie. Niby kto może mieć coś przeciwko temu?

– Prawo – odpowiada.

Jest ostatni piątek wakacji. Siedzimy na mikroskopijnej werandzie przed naszym domkiem. Maluję sprejem buty z dyskontu, a Lindsey wpatruje się w lawendowy domek obok. Pod prawie każdy względem popiera mój związek, ale jeśli chodzi o punkt zapalny, jest nieustępliwa.

– To jest fajny facet – mówię. – A nasz związek jest jaki jest.

– Nie twierdzę, że to nie jest fajny facet, przypominam tylko, że romans z nim może mieć pewne konsekwencje. – Mówi spokojnym, rozsądnym głosem, omiata wzrokiem okolicę i wraca spojrzeniem do domu Bellów.

Lindsey nigdy nie przestaje obserwować. Tak po prostu ma.

Moja przyjaciółka jest tak ładna, że aż nudna. Nosi praktyczne ciuchy, jest zawsze schludna. Jest niska, nosi aparat na zębach, odkąd się znamy, ma tę samą fryzurę – włosy do ramion, ze starannie przyciętą grzywką. Jedyne, co wydaje się nie pasować do tego obrazka, to jej ukochane buty – znoszone, sprane czerwone trampki. Miała je na sobie tamtego dnia, gdy na Market Street podstawiała nogę podejrzanemu ściganemu przez policję, i od tego czasu nie może się z nimi rozstać.

Śmieję się głośno. Czasami nie ma na nią innego sposobu.

– Niby jakie konsekwencje? Szczęście? Miłość? Racja, po co komu związek z takimi...

– Idzie – syczy.

– Max? – Odwracam się gwałtownie i przy okazji zaledwie o milimetry mijam sprejem jej stopę.

– Uważaj, Ned. – Odsuwa się na bok. – Nie wszyscy chcą mieć obuwie w kolorze gimbusa.

Ale nie ma na myśli mojego chłopaka. Serce staje mi w gardle, gdy widzę, że to Cricket Bell przechodzi przez jezdnię.

– O rany. Trafiłaś w werandę.

– Co? – Wracam na ziemię. Rzeczywiście, na werandzie widnieje paskudna żółta

plama, tuż obok gazety, którą rozłożyłam po to, żeby nie doszło do takiej sytuacji. Sięgam po wilgotną szmatkę, przygotowaną na wszelki wypadek, i wycieram z całej siły. Jęczę.

– Nathan mnie zabije.

– Nadal ci nie darował, że zafarbowałaś mu w łazience gres na czarno?

Plama zamiast zniknąć, rozmazuje się i powiększa.

– A jak myślisz?

Lindsey znowu patrzy na Cricketa.

– Nie mówiłaś, że jest taki...

– Wysoki? – Trę coraz mocniej. – Niepożądany?

– Kolorowy.

Podnoszę głowę. Cricket przechodzi przez jezdnię, przy każdym kroku machając długimi rękami. Ma na sobie rurki wyglądające jak spodnie listonosza, z czerwonymi lampasami na szwach. Są przykrótkie, ale domyślam się, że to celowy zabieg, i odsłaniają czerwone skarpetki w tym samym odcieniu i buty z czubami. W jego ruchach nagle pojawia się przesada, nuci pod nosem nierozpoznawalną melodię. Cricket Bell wie, że ma publiczność.

W żołądku czuję znajomy ucisk.

– Idzie do nas – uprzedza Lindsey. – Co mam zrobić? Kopnąć go w jajka? Od dawna mam na to ochotę.

– Nie – syczę. – Sama to załatwię.

– Jak?

Chrząkam znacząco, a Cricket pokonuje schodki z wdziękiem gazeli.

– Lola! – Uśmiecha się od ucha do ucha. – Co za niespodzianka!

– Fakt, niespodzianka. Na jej ganku i w ogóle – mruczy Lindsey.

– Jej ganku? – Cricket cofa się o kilka kroków i dramatycznie otwiera szeroko oczy.

– Coś takiego, te domy są takie podobne.

Przyglądamy mu się.

– Miło cię widzieć, Lindsey – dodaje po chwili. Teraz wydaje się naprawdę speszony. – Przed chwilą mijałem restaurację twoich rodziców. Pękała w szwach. Super.

– Hm – mruczy.

– Co ty tu robisz? – wybucham.

– Mieszkam. W sensie nie tutaj-tutaj, tylko tutaj-tam. – Wskazuje sąsiedni domek. – Czasami. W weekendy. To znaczy, rodzice mi mówili, że wstawili mi łóżko, więc zakładam, że mam na czym spać.

– Wstawili, wczoraj widziałam – odpowiadam wbrew sobie. – W twoim oknie nadal nie ma zasłon – dodaję, żeby sobie nie pomyślał, że celowo obserwowałam, co się dzieje w jego pokoju.

Nerwowo bawi się bransoletkami na przegubie.

– A to pech. Obiecuj, że nie będziesz się śmiała, kiedy zobaczysz mnie w piżamie.

Lindsey unosi brwi.

– Bez ubrania jestem żałosny – ciągnie Cricket. – Choć w ubraniu właściwie też. Że już nie wspomnę w trakcie przebierania. Jedna skarpeta na ziemi, druga na nodze. Czapka i tylko czapka. Bez czapki. Jakby co, w każdej chwili możecie kazać mi się zamknąć, tak dla waszej wiadomości.

– Zamknij się, Cricket – mówię.

– Dzięki. Ufarbowałaś włosy? Bo w zeszły weekend nie byłaś blondynką. Och, już wiem, to peruka, tak?

– Tak...

– Superbuty. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego koloru. Chyba że na kaloszach, ma się rozumieć, ale to najwyraźniej nie są kalosze.

– Nie...

Drzwi wejściowe otwierają się i w progu staje Andy w białym fartuchu. Drewniana łyżka obsypana mąką wygląda jak przedłużenie jego ręki.

– Dziewczęta, dacie się namówić na...

Cricket wraca na werandę i wysuwa długą rękę spomiędzy Lindsey i mnie. Podaje ją mojemu ojcu.

– Dzień dobry, panie Nolan. Co słyhać?

Lindsey szepcze bezgłośnie:

– Czego on się napalił?

Jestem równie zbita z tropu jak ona. To jakby Cricket do dziesiątej potęgi.

– W porządku. – Andy zerka na mnie, nie wie, czy ma go przepędzić z naszego domu. Ledwie zauważalnie kiwam głową. Andy ponownie koncentruje się na Crickecie, w czym właściwie nie ma nic dziwnego, biorąc pod uwagę bijącą od niego energię. – A u ciebie? Nadal konstruujesz tajemnicze, dziwne maszyny?

– Och. – Cricket się waha. – W dzisiejszych czasach nie ma na nie specjalnego zapotrzebowania. Ale słyszałem, że pan rozwinął działalność cukierniczą?

Ojcu chyba pochlebia, że dotarła do niego ta wiadomość.

– Właśnie chciałem poczęstować dziewczyny nowym ciastem. Może też spróbujesz?

– Bardzo chętnie. – Wyprzedza Andy'ego, który w ślad za nim wchodzi do środka.

Na ganku zapada cisza. Patrzę na Lindsey.

– Co tu się przed chwilą wydarzyło?

– Twój ojciec zaprosił twoją dawną wielką miłość na kawałek ciasta.

– No właśnie, tak mi się zdawało.

Przez chwilę milczymy.

– Jeszcze możemy się wykręcić – zauważa Lindsey. – Nie musimy tam iść.

Wzdycham ciężko.

– Niestety, musimy.

– I dobrze, bo na tego kolesia trzeba mieć oko. – Wkracza do środka.

Zerkam ponownie na żółtą plamę – okazało się, że zdążyła wyschnąć. Cholera. Pryskam sprejem na bok buta, odstawiam oba tam, gdzie nikt się o nie nie potknie, i wchodzę do domu, gotowa na nowe tortury. Cała trójka stoi przy wyspie pośrodku naszej kuchni. Jak na dom w mieście, mamy bardzo dużą kuchnię, bo rodzice rozbudowali ją kosztem jadalni ze względu na pracę Andy'ego. Przed każdym z nich stoi talerz z ciastem i szklanka mleka.

– Nie do wiary. – Cricket wyciera długimi palcami okruszki z ust. – W życiu nie przyszłoby mi do głowy, by dodać kiwi do ciasta.

Andy dostrzega mnie w progu.

– Lepiej się pośpiesz, bo inaczej ten tutaj wszystko pożre. – Wskazuje naszego gościa. Na pierwszy rzut oka ojciec wydaje się spokojny, ale widzę, że w głębi duszy puchnie z dumy. Nie do wiary, jak szybko człowiek zmienia zdanie pod wpływem komplementów. Uśmiecham się, jakby to wszystko nie miało znaczenia, choć tak naprawdę jestem o krok od wybuchu. Cricket Bell. W mojej kuchni. Nad talerzem z ciastem kiwi. A potem siadam koło niego i po raz kolejny zaskakuje mnie jego wzrost. Góruje nade mną.

Andy wskazuje widelcem połowę zielonego ciasta.

– Zjedz wszystko, Cricket.

– Och nie, nie mogę. – Ale jego spojrzenie mówi coś innego.

– Nalegam. – Ojciec podsuwa mu talerz pod nos. – Nathan wiecznie narzeka, że chcę go utuczyć, więc lepiej, żeby wszystko zniknęło, zanim wróci.

Cricket odwraca się do mnie całym ciałem – głową, barkami, klatką piersiową, rękami i nogami. Cricket Bell niczego nie robi połowicznie.

– Jeszcze kawałek?

Wskazuję swój talerz, na którym leży nietknięty kawałek.

– Lindsey? – upewnia się.

Przecząco kręci głową

– Często tu bywam i ciast mam po uszy.

Właściwie dlaczego tu jest? Nie powinien teraz brylować na jakiejś imprezie w kampusie? Im dłużej o tym myślę, tym bardziej się irytuję. Jak on śmie przychodzić tutaj i jeszcze oczekiwać, że będę dla niego miła? Takich rzeczy się po prostu nie robi.

– Co u was słychać? – pyta Andy.

Cricket przełyka ślinę.

– W porządku. U rodziców wszystko po staremu. Ojciec za dużo pracuje, mama za bardzo się cieszy, ale poza tym wszystko dobrze. A Cal oczywiście ciągle trenuje. To ważny rok, olimpijski. A Aleck się ożenił.

– Nadal komponuje? – dopytuje Andy. Alexander, znany jako Aleck, to starszy brat bliźniąt. Kiedy Calliope zaczęła trenować łyżwiarstwo, był już w liceum, więc rodzinne melodramaty właściwie go ominęły. Cała trójka młodych Bellów nie mogła narzekać na brak talentu.

– I uczy. – Cricket kiwa głową. – W zeszłym roku urodziło mu się dziecko.

– Chłopiec czy dziewczynka? – pyta Lindsey.

– Dziewczynka. Abigail.

– Wujek... Cricket – mówię.

Lindsey i Andy jednocześnie parskają niekontrolowanym śmiechem, Andy zaraz jednak peszy się i poważnieje. Łypie na mnie groźnie.

– Lola!

– Nic nie szkodzi – zapewnia Cricket. – Brzmi idiotycznie, to fakt.

– Przepraszam – mruczę.

– Nie masz za co, naprawdę. – W jego głosie jest jakaś dziwna nuta. Mówi to tak szybko, że patrzę na niego ze zdziwieniem. Przez ułamek sekundy patrzymy sobie w oczy. Widzę w jego spojrzeniu ból. Ucieka wzrokiem. Nie zapomniał.

Cricket Bell pamięta wszystko.

Policzki mi płoną. Bez chwili namysłu odsuwam od siebie talerz.

– Muszę... przygotować się do pracy.

– No właśnie! – Lindsey łapie mnie za rękę. – Bo się spóźnisz!

Andy zerka na kalendarz ścienny z reprodukcjami Fridy Kahlo, w którym wpisuję swoje dyżury. Marszczy brwi, patrząc na monobrew Fridy.

– Nie wpisałaś tego?

Lindsey już ciągnie mnie na górę.

– Zastępuję koleżankę! – wołam.

– Mam po ciebie przyjechać? – dopytuje Andy.

Opieram się o balustradę i zaglądam do kuchni. Cricket patrzy na mnie z rozchylonymi ustami i marszem na czole. Ma minę jak przy trudnym równaniu. Jakbym to

ja była problemem, nie on. Odrywam od niego wzrok.

– Tak, o tej, co zawsze. Dzięki, tato.

Resztę drogi do mojego pokoju pokonujemy z Lindsey biegiem. Zamyka drzwi na klucz.

– Co zrobisz? – pyta cicho, spokojnie.

– Z Cricketem?

Sięga pod moje łóżko i wyjmuję poliestrową kamizelkę.

– Nie. Z pracą.

Szukam pozostałych części służbowego stroju i staram się nie rozpłakać.

– Pójdę do Maksa. Odwiezie mnie pod kino, zanim Andy po mnie przyjedzie.

– Dobrze. – Kiwa głową. – To dobry plan.

Jutro zaczyna się szkoła, ale tego wieczoru naprawdę pracuję. Anna, ja i jej chłopak, ma się rozumieć, siedzimy w okienku kasowym. Foyer naszego kina jest gigantyczne. Osiem kas pod wysokim sufitem, na którym widnieją krzyże i gwiazdy. Potężne białe kolumny i wykończenia z ciemnego drewna wpisują się w klimat historycznego przepychu i zdradzają, że początkowo nie było to sieciowe kino. Pierwotnie w tym budynku mieścił się elegancki hotel, potem – ekskluzywny salon samochodowy.

Kolejny nudny wieczór. Anna pisze coś w sfatygowanym notesie dla leworęcznych, St. Clair i ja kłócimy się co do dokładnych wymiarów naszego kina. Anna znalazła kolejną pracę, właściwie praktykę – pisze recenzje filmów do uczelnianej gazetki. A ponieważ jest nowa i dopiero zaczęła studia, dają jej same kiepskie filmy do recenzowania. Ona jednak nie ma nic przeciwko temu.

– Fajnie się pisze o filmie, który ci się nie podoba – tłumaczyła mi wcześniej. – Bardzo łatwo jest wyjaśnić, czemu coś ci się nie podoba; czasami trudniej uzasadnić, dlaczego uważasz, że coś jest super.

– Ja na przykład wiem, że on ci się podoba – zwraca się do mnie St. Clair. Rozpiera się na krześle. – Ale i tak jest dla ciebie za stary.

Znowu się zaczyna.

– Max nie jest stary – zaznaczam. – Jest tylko o kilka lat starszy od ciebie.

– No, właśnie mówię. Za stary.

– Wiek nie gra roli.

St. Clair prycha.

– Jasne, może i nie, kiedy jesteś w średnim wieku i...

– Kochasz golfa – podsuwa ochoczo Anna, nie podnosząc głowy znad zeszytu.

– Spłacasz hipotekę – ciągnie St. Clair.

– Kupujesz SUV-a.

– Z poduszkami powietrznymi w bocznych drzwiach.

– I stojakiem na kawę!

Puszczam mimo uszu ich śmiech.

– Nawet go nie znacie.

– Bo nigdy tu nie wchodzi. Wysadza cię przed kinem – zauważa St. Clair.

Rozkładam ręce, w których nerwowo ściskałam długopis bic.

– Macie pojęcie, jak cholernie trudno w tym mieście o miejsce do zaparkowania?

– Chciałem tylko powiedzieć, że gdyby chodziło o Annę, chciałbym poznać jej współpracowników. Wiedzieć, gdzie spędza tyle czasu.

Przyglądam mu się twardo.

– No jasne.

– No jasne. – Uśmiecha się szeroko.

Krzywię się w odpowiedzi.

– Pracy poszukaj.

– Może poszukam.

Anna podnosi głowę znad zeszytu.

– Jak zobaczę, to uwierzę. – Ale uśmiecha się do niego. Bawi się szklanym bananem na szyi. – Och, dzwoniła twoja mama. Pytała, czy nadal wybieramy się jutro na kolację...

I już znikają w swoim świecie. Jakby i bez tego nie widywali się bez przerwy. W ciągu tygodnia St. Clair nocuje w jej akademiku, w weekendy – ona u niego. Choć muszę przyznać, że to jest urocze. Mam nadzieję, że pewnego dnia tak samo będzie ze mną i z Maksymem. Właściwie to mam nadzieję, że pewnego dnia po prostu razem zamieszkamy...

– Ej! – St. Clair znowu mówi do mnie. – Zgadnij, kogo dzisiaj widziałem!

– Lindsey? – Nadstawiam ucha.

– Nie, twojego dawnego sąsiada, Cricketa.

Zdobiony sufit wybrzusza się i faluje.

– A skąd wiesz, że Cricket Bell to mój dawny sąsiad? – wykrztuszam z trudem.

St. Clair wzrusza ramionami.

– Sam mi powiedział.

Przyglądam mu się.

– No i?

– Mieszka w akademiku na tym samym piętrze co ja. Rozmawialiśmy na korytarzu,

powiedziałem, że właśnie idę do Anny, wspomniałem, gdzie pracuje...

Jego dziewczyna rozpromienia się, a ja odczuwam dziwne ukłucie zazdrości. Czy Max opowiada o mnie wszystkim wokoło?

– I powiedział, że też zna kogoś, kto tu pracuje. Ciebie.

Minął zaledwie tydzień, a już nie mogę się od niego uwolnić. Trzeba oczywiście mieć mojego pecha, żeby Cricket mieszkał obok jedynej poza nim osoby, którą znam w Berkeley. Zresztą, skąd właściwie wie, gdzie pracuję? Mówiłam coś o kinie? Nie, na pewno nie. Czyli zapytał Andy'ego po tym, jak wyszłam.

– Pytał o ciebie – mówi St. Clair. – Fajny koleś.

– Hm – mrużę w końcu.

– Za tym „Hm” kryje się dłuższa historia – orzeka Anna.

– Żadna historia – zaprzeczam. – Skądże.

Anna zastanawia się przez chwilę i patrzy na St. Claira:

– Przejdziesz się po salach?

Unosi brew. Dopiero po chwili rozumie, o co jej chodzi.

– Och tak, oczywiście. – Całuje ją na pożegnanie. Anna odprowadza go wzrokiem, aż w końcu odwraca się do mnie z lekkim uśmiechem.

Nadymam się.

– I tak powiesz mu później, kiedy zostaniecie sami.

Uśmiecha się szerzej.

– No.

– Nie ma mowy.

– Dziewczyno. – Anna siada koło mnie. – Przecież tak bardzo chcesz o tym opowiedzieć, że mało nie pękiesz.

Fakt. Więc opowiadam.

Rozdział 6

Kiedy miałam pięć lat, Cricket Bell zbudował windę. Było to cudowne urządzenie z białego sznurka, koła od plastikowej ciężarówki i pudełka po dzieciennych butach. Dzięki niemu moje lalki Barbie przemieszczały się z parteru na piętro swojego domku, nie męcząc nienormalnie wykrzywionych stóp na schodach.

Domek mieścił się w małej szafce i odkąd pamiętam, chciałam mieć w nim windę. W takim prawdziwym domu dla Barbie winda była, plastikowa, ale choć wierciłam rodzicom dziurę w brzuchu, byli nieustępliwi. Domku dla Barbie nie będzie. Za drogi.

Więc Cricket postanowił, że mi go zbuduje. I podczas gdy Calliope i ja urządzałyśmy wnętrza abażurami z nakrętek od pasty do zębów i próbkami dywanów, Cricket robił działającą windę. Bloczki i dźwignie są dla niego równie oczywiste jak oddychanie.

Winda odbyła dziewiczą podróż. Barbie Weterynarz rozgościła się na piętrze, Calliope ściągała windę na parter po Skipper, a ja wspierałam się na palce, złożyłam usta w dziubek i pocałowałam jej bardzo zaskoczonego brata.

Cricket Bell odwzajemnił pocałunek.

Smakował ciepłymi ciasteczkami, które przyniósł nam Andy. Na wargach miał odrobinę niebieskiego lukru. A gdy się od siebie oderwaliśmy, zachwiał się.

Jednak nasz romans był równie krótki jak nasz pocałunek. Calliope uznała, że jesteśmy obrzydliwi i pobiegła do domu, zabierając Cricketa ze sobą. Przyznałam jej rację. Bo Calliope to jedna z tych dziewczyn, którym chce się imponować, a to oznacza, że zawsze ma rację. Uznałam wtedy, że chłopcy są paskudni i że nigdy się z żadnym nie umówię.

A już na pewno nie z jej bratem.

Wkrótce po incydencie z windą Calliope uznała, że jestem do bani, i tak się skończyła moja przyjaźń z bliźniakami. Domyślałam się, że Cricket pogodził się z tym ze stoickim spokojem człowieka przywykłego do podporządkowania się silniejszej osobowości.

Przez wiele lat nie odzywaliśmy się do siebie. Nasz kontakt ograniczał się do zerknięć na sąsiadów i trzasku zamykanych drzwi. Calliope zawsze była zdolną gimnastyczką, ale w dniu, w którym włożyła łyżwy figurowe, znalazła się w zupełnie innej lidze. Jej rodzice ciągle opowiadali moim rodzicom o jej potencjale, a jej życie zmieniło się w jeden niekończący się trening. A Cricket, zbyt mały, by siedzieć w domu

sam, bez opieki, wszędzie jeździł z nimi.

Podczas rzadkich chwil w domu zamykał się w swoim pokoju i budował przedziwne maszyny, które latały, buczały, dzwoniły. Czasami testował je w wąskim skrawku przestrzeni między naszymi domami. Słyszałam wybuch, przerażona rzucałam się do okna i wtedy, i tylko wtedy, pozwalaliśmy sobie na potajemne uśmiechy.

Kiedy miałam dwanaście lat, rodzina Bellów wyjechała na dwa lata ze względu na treningi Calliope. A kiedy wrócili, bliźnięta były inne. Starsze.

Calliope wyrosła na piękność, tak jak się tego spodziewali wszyscy w okolicy. Biła od niej pewność siebie, widoczna w każdym geście, w każdym wzruszeniu ramion. Byłam pod wrażeniem, zbyt onieśmielona, by się do niej odezwać, ale czasami gawędziłam z Cricketem. Nie był piękny jak siostra. Oboje byli szczupli, ale Calliope dzięki temu wyglądała jak baletnica, a Cricket wydawał się niezdarzy. Do tego miał trądzik i dziwaczne nawyki, jak ludzie nieprzywykli do utrzymywania kontaktów towarzyskich. Mówił za szybko i za dużo. A jednak odpowiadało mi jego towarzystwo, a jemu chyba moje. Byliśmy o krok od zawarcia prawdziwej przyjaźni, gdy rodzina Bellów znowu wyjechała.

Wrócili kilka miesięcy później, pierwszego dnia wakacji, po których miałam iść do liceum. W sierpniu tego roku kończyłam piętnaście lat, a bliźnięta – szesnaście, we wrześniu. Calliope wyglądała dokładnie tak samo jak przed wyjazdem.

A Cricket znowu się zmienił.

Siedziałyśmy z Lindsey na naszej werandzie, zając lody w rożku, gdy przed sąsiednim budynkiem zatrzymał się samochód, z którego wysiadł Cricket Bell, jakiego nigdy przedtem nie widziałam – powoli, jedna noga w nogawce w prążki za drugą.

Głęboko we mnie coś drgnęło.

Drgnięcie było tyleż nieoczekiwane, co nieprzyjemne i zarazem ekscytujące i sensacyjne. Wiedziałam już, że ta scena – te nogi, te spodnie – na zawsze zostanie w mojej pamięci. To była wiekopomna chwila. Lindsey przywitała się radośnie. Cricket, zaskoczony, podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

I tyle. Przepadłam z kretesem.

Patrzyliśmy sobie w oczy odrobinę dłużej, niż wypada, zanim przesunął wzrok na Lindsey i pomachał jej bez słowa. Z samochodu wysiedli pozostali członkowie jego rodziny, wszyscy mówili jednocześnie, i ponownie skoncentrował się na nich. Ale najpierw znowu zerknął na mnie. Jeszcze raz, szybciej, bardziej ukradkowo, zanim zniknął w lawendowym domku.

Złapałam Lindsey za rękę, zacisnęłam mocno. Nasze dłonie lepiły się od lodów. Wiedziała. Wyczytała wszystko, co chciałam jej powiedzieć z tego, jak trzymałam jej

rękę.

Uśmiechnęła się.

– Ho, ho.

Tego samego wieczoru nastąpił też kontakt werbalny. Zadziwiająco, że nie pamiętam już, co wtedy miałam na sobie, wiem tylko, że długo się zastanawiałam, co włożyć, domyślając się, że dojdzie do spotkania. Kiedy w końcu rozsunęłam zasłony, nie zdziwiłam się, widząc go w oknie. Wpatrywał się we mnie. No pewnie. Ale i tak zaskoczył go mój widok. Nawet jego włosy wydawały się zdumione.

– Ja... Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem – odezwałam się.

– Ja też. – Cricket skinął głową i teatralnie odetchnął pełną piersią.

Do dzisiaj nie wiem, czy to miał być żart, ale roześmiałam się głośno. W odpowiedzi uśmiechnął się nerwowo, zaraz jednak rozpromienił się od ucha do ucha, jak to on. Nigdy nad tym nie panował. Z tej odległości widziałam, że trądzik zniknął. Wydoroślał. Staliśmy tak, szczerząc się jak wariaci. Co się mówi do kogoś, kto jest taki sam, a jednocześnie całkiem inny. Czy ja też się zmieniłam, czy tylko on?

Cricket odsunął się pierwszy, bąknął coś, że musi pomóc mamie w rozpakowaniu naczyń. Obiecałam sobie, że następnego dnia zaczniemy prawdziwą rozmowę, ale... jego bliskość sprawiała, że zapominałam języka w gębie. Z nim było nie lepiej.

No więc machaliśmy.

Nigdy wcześniej nie machaliśmy do siebie przez okna, ale było boleśnie jasne, że jesteśmy świadomi swojej obecności. Musieliśmy więc dniami i nocami pamiętać o sobie, nie mając sobie nic do powiedzenia, chcąc powiedzieć wszystko.

Minęło kilka tygodni, zanim ta koszmarna sytuacja uległa zmianie. Wychodziłyśmy z Betsy na spacer, a Cricket wracał do domu. Wyglądał, jakby spodniami w prążki i niesfornymi włosami chciał dotknąć nieba.

Zatrzymałyśmy się niepewnie.

– Miło cię widzieć – zaczął. – Na zewnątrz, nie w środku. Rozumiesz.

Uśmiechnęłam się, dając mu do zrozumienia, że rozumiem.

– Idziemy na spacer. Może chciałbyś pójść...

– Tak.

– Z nami? – Serce waliło mi jak oszałałe.

Cricket odwrócił głowę.

– Tak, fajnie byłoby pogadać. Musimy pogadać.

Ja też odwróciłam głowę, usiłując zapanować nad rumieńcem.

– Chcesz to zostawić?

W rękę miał papierową torbę ze sklepu z artykułami żelaznymi.

– Och tak, poczekaj. – Już wbiegał na schody. Zawahał się. – Poczekaj chwilę. – Wpadł do środka i już po chwili był z powrotem. Niósł dwa lizaki.

– To bez sensu – mruknął. – Przepraszam.

– Nie, dlaczego, uwielbiam je! – zawołałam i zarumieniłam się po uszy przy słowie „uwielbiam”.

Od lizaków mieliśmy zielone języki, ale gadaliśmy tak długo, że zanim wróciliśmy ze spaceru, odzyskały normalną barwę. Uczucie we mnie narastało. Dzień w dzień po południu, o tej samej porze, wpadaliśmy na siebie. Cricket udawał, że załatwia jakieś sprawy, ja udawałam, że jestem zaskoczona, a potem towarzyszył nam na spacerze.

Pewnego dnia go nie było. Zatrzymałam się przed jego domem, rozczarowana, rozglądałam się po naszej uliczce. Betsy szarpała się na smyczy. Drzwi domu Bellów otworzyły się gwałtownie i Cricket wybiegł tak szybko, że mało brakowało, a przewróciłby mnie.

Uśmiechnęłam się.

– Spóźniłeś się.

– Czekaaś. – Cricket nerwowo załamał ręce.

Przestaliśmy udawać.

Cricket wyznaczał rytm moich dni. To przez niego odsłaniałam okno o tej, a nie innej godzinie – tej samej co on, żebyśmy mogli się przywitać. Jadłam lunch wtedy co on, żeby na niego patrzeć. Szłam z Betsy na spacer. Dzwoniłam do Lindsey, żeby omówić spacer. A wieczorem, przed snem, gawędziliśmy przez okna, zanim ponownie zasunęliśmy zasłony.

Nocami leżałam w łóżku i wyobrażałam sobie, że on leży w swoim. Czy on też o mnie myślał? Czy wyobrażał sobie, tak jak ja, że przemyka się do mojego łóżka? A gdybyśmy byli sami po ciemku, nie za dnia, czy zdobyłby się na odwagę i pocałowałby mnie? Chciałam tego. Ale to on był chłopcem. To on miał wykonać pierwszy ruch.

Dlaczego tego nie robił? Jak długo miałam czekać?

Te gorączkowe myśli nie dawały mi spać przez całe lato. Wstawałam rano, spocona, nie wiedząc, kiedy w końcu zasnęłam i co mi się śniło, poza jego głosem, który ciągle miałam w głowie: Potrzebuję cię.

Potrzebuję.

Silne, przerażające słowo. Symbolizowało moje uczucia, choć we snach noc w noc wkładałam je w jego usta.

Chciałam, żeby mnie dotknął. Obsesyjnie wpatrywałam się w jego ręce, w ciągłym ruchu. Patrzyłam, jak je zaciera, gdy jest czymś przejęty, jak czasami klaszcze z emocji. Widziałam tajemnicze notatki na grzbiecie lewej dłoni. I do tego jego palce. Dłgie,

entuzjastyczne, szalone, ale, co wiedziałam obserwując go przy konstruowaniu tych jego maszyn, też delikatne, dokładne, precyzyjne. Marzyłam o tych palcach.

Byłam zachwycona tym, że gdy mówił, w jego oczach pojawiał się błysk, jakby to były najpiękniejsze chwile jego życia. Tym, jak pochylał się całym ciałem w moim kierunku, gdy coś mówiłam, dawał mi do zrozumienia, że mnie słucha, że interesuje go, co mam do powiedzenia. Jeszcze nikt nigdy nie słuchał mnie z takim przejęciem.

Lato mijало, a każdy dzień był cudowniejszy i zarazem bardziej nieznośny od poprzedniego. Cricket spędzał coraz więcej czasu z Lindsey i moimi rodzicami, nawet z Norah, jeśli akurat była w pobliżu. Wkraczał do mojego świata. Ale ilekroć ja usiłowałam zajrzeć do jego, Calliope odnosiła się do mnie z wrogością. Chłodem. Czasami zachowywała się, jakby mnie tam nie było, czasami wychodziła, gdy się odezwałam. Po raz pierwszy Cricket spędzał czas z kimś innym, nie z nią, miała do mnie o to żal. Odbierałam jej najlepszego przyjaciela. Stanowiłam zagrożenie.

Zamiast doprowadzić do konfrontacji, wycofaliśmy się do mnie.

Tylko że... nadal nie robił żadnego kroku. Lindsey twierdziła, że czeka na odpowiednią chwilę, na jakiś ważny moment. Może na moje urodziny. Nigdy o nich nie zapominał, bo jego były dokładnie miesiąc później, też dwudziestego. Tamtego ranka ucieszyłam się, widząc plakat w jego oknie: „Wszystkiego najlepszego, Lola! Znowu jesteśmy rówieśnikami!”

Wychyliłam się z okna.

– Przez miesiąc.

Pojawił się w oknie, uśmiechnięty, zacierając rękę.

– Ale to będzie dobry miesiąc.

– Kiedy skończysz szesnaście lat, pewnie o mnie zapomnisz – drażniłam się.

– Niemożliwe. – Głos mu się załamał, a moje serce fiknęło koziołka.

Po południu Andy poszedł z Betsy na spacer, żebyśmy mieli wolną rękę. Cricket zjawił się o stałej godzinie. Niósł dwa pudełka po pizzy. Już miałam powiedzieć, że jestem najedzona po lunchu, gdy...

– Czy te pudełka są puste? – zapytałam sprytnie. Przeczynałam, że tu nie chodzi o pizzę.

Otworzył jedno. Uśmiechnął się.

– Puste.

– Od lat tam nie byłam!

– Ja też nie. Ostatnio byliśmy z Calliope chyba z tobą.

Zbiegliśmy ze wzgórza, do parku na końcu naszej uliczki, mikroskopijnego, wciśniętego między dwa domy, pokonaliśmy kolejne wzgórze, minęliśmy nabazgrany

sprejem napis: „Dorosłym wstęp wzbroniony, chyba że pod opieką dzieci”, i znaleźliśmy się przy zjeżdżalniach Seward Street.

– O Boże. – Nagle przeszył mnie strach. – Zawsze były takie strome?

Cricket rozerwał pudełka, ułożył je tłąstą stroną do dołu na dwóch wąskich betonowych zjeżdżalniach.

– Ja po lewej.

Usiadłam na moim pudełku.

– No to masz pecha, bo prawa jest szybsza.

– Niemożliwe! Ten z lewej zawsze wygrywa!

– Twierdzi koleś, który nie był tu od stu lat. Uważaj na ręce.

Uśmiechnął się.

– Czego jak czego, ale tych obtarć nie zapomniałem.

Odliczyliśmy do trzech i wystartowaliśmy. Zjeżdżalnie są krótkie i szybkie, więc błyskawicznie znaleźliśmy się na dole, cały czas starając się zapanować nad krzykiem, żeby nie drażnić Wiedźmy z Seward. Wredna baba, która bluzgała przekleństwami pod adresem wszystkich, którzy bawili się zbyt głośno, i stanowiła kolejny powód, dla którego zjeżdżalnie cieszyły się takim powodzeniem. Cricket zjechał pierwszy, nogami do przodu. Wylądował na ziemi z głośnym łoskotem, który wywołał u nas parokszymy śmiechu.

– Jezu, tyłek mi zaraz odpadnie – mruknął.

Nie skomentowałam tego, nie powiedziałam też, że jego tyłek zwraca moją uwagę od czerwca.

Zostaliśmy pół godziny, dzieląc się zjeżdżalniami z dwójką naćpanych dwudziestolatków i grupą matek z przedszkolakami. Staliśmy w kolejce za mamami, szykując się do ostatniego zjazdu, gdy usłyszałam głośny śmiech. Odwróciłam się i zobaczyłam trzy dziewczyny ze szkoły. Serce stanęło mi w gardle.

– Fajna kiecka – rzuciła Marta Velazquez. – Mamusi?

Miałam na sobie sukienkę retro w groszki, o dwa numery za dużą, ale poupiinałam ją agrafkami, a pod nią – koszulę w prążki, z długim rękawem, i dzinsy z zakasanyimi nogawkami. W moje urodziny chciałam wyglądać ładnie.

Nagle poczułam się okropnie.

Cricket odwrócił się zaskoczony. I wtedy... wtedy zrobił coś, co wszystko zmieniło. Celowo stanął tak, że mnie zasłonił.

– Nie słuchaj ich. Mnie się podoba twój strój.

Podobałam mu się taka, jaka jestem.

Spokojnie usiadłam na pudełku po pizzy.

– Nasza kolej.

Ale tak naprawdę chciałam powiedzieć: Potrzebuję cię.

Zanim doszliśmy do domu, sprawił, że śmiałam się i żartowałam z ludzi, którzy dokuczali mi od lat. W końcu zrozumiałam, że to idiotyczne, że przejmowałam się tym, co o mnie sądzą koledzy z klasy. Zwłaszcza że wcale nie chciałam wyglądać jak oni.

– Cricket! – zawołał Andy na nasz widok. – Oczywiście wejdiesz na urodzinową kolację, prawda?

Spojrzałam na niego z nadzieją. Wsunął ręce w kieszenie.

– Jasne.

Kolacja była prosta. Doskonała. Brali w niej udział tylko Nathan, Andy, Lindsey i Cricket. Jedliśmy pizzę margaritę i fantastyczny tort w kształcie korony. Ja zjadłam pierwszy kawałek, Cricket – największy. Później wyszliśmy na dwór. Lindsey szturchnęła mnie w bok i zniknęła.

Cricket przestępował z nogi na nogę.

– Nie umiem kupować prezentów.

Serce stanęło mi w piersi. Ale zamiast mnie pocałować, wyjął z kieszeni garść drobiazgów, w tym części od zegarka i papierki od cukierków. Szukał powoli, aż znalazł kapsel od oranżady. Różowy. Podniósł go.

– Pierwszy.

Być może inna dziewczyna byłaby zawiedziona, ale nie ja. Niedawno widzieliśmy na wystawie pasek zrobiony z kapsli i stwierdziłam, że chciałabym taki zrobić.

– Pamiętałeś!

Uśmiechnął się z ulgą.

– Pomyślałem, że to fajny pomysł. Kolorowy. – Kiedy kładł mi go w otwartej dłoni, ponownie odczytałam słowa na jego nadgarstku, po raz setny tamtego dnia: „Spawać szybko”.

To była ta chwila.

Zacisnęłam dłoń na kapslu, podeszłam o krok bliżej. Cricket oddychał coraz szybciej. Ja też.

– Obiecałeś!

Odkoczyliśmy od siebie. Calliope stała na sąsiednim ganku. Miała chyba łzy w oczach.

– Potrzebowałam cię, a ciebie nie było.

Charakterystyczny błysk paniki w jego oczach.

– Boże, nie mieści mi się w głowie, że zapomniałem.

Miała na sobie cieniutki sweterek, ale w tym, jak skrzyżowała ręce na piersi, nie

było za grosz finezji czy delikatności.

– Ostatnio o wielu rzeczach zapominasz.

– Przepraszam. Umknęło mi. Bardzo przepraszam. – Usiłował wpakować wszystkie części od zegarka z powrotem do kieszeni, ale rozsypały się na mojej werandzie.

– Świetnie, Cricket. – Spojrzała na mnie, zmarszczyła brwi. – Nie pojmuję, czemu tak marnujesz czas.

Ale ciągle mówiła do niego.

– Dzięki za kolację – mruknął, upychając wszystko po kieszeniach. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. – Odszedł, nawet na mnie nie patrząc. Calliope cały czas łąpała gniewnie z ich werandy. Poczułam się, jakbym dostała w twarz. Było mi wstyd. Nie miałam powodu, żeby się wstydzić, ale Calliope tak działa na ludzi. Potrafi wywołać w człowieku każdą emocję, jaką sobie wymyśli.

Później Cricket tłumaczył, że miał z nią iść na jakieś spotkanie. Nie podał żadnych szczegółów. Po tym wydawało się, że zrobiliśmy krok w tył. Zaczęła się szkoła. Nadal przesiadywał ze mną i Lindsey. Calliope zawierała nowe znajomości. Między bliźniakami wyczuwało się milczące napięcie. Cricket o tym nie wspominał, ale wiedziałam, że to go gryzie.

W któryś piątek, po lekcjach, pokazał mi nagranie z Muzeum Nauki w Chicago – mechaniczne cudenka, bardzo skomplikowany pinball. Nie byłam u nich w domu od początku wakacji, odkąd Calliope potraktowała mnie lodowato. Liczyłam, że to pretekst, żeby zaprowadzić mnie do jego pokoju, ale laptop stał w saloniku. Cricket przysiadł na kanapie, zostawiając mi miejsce obok siebie. Czy to zaproszenie? A może tylko uprzejmość, bo zostawiał mi drugą, wygodniejszą kanapę?

Dlaczego to takie trudne?

Zaryzykowałam, usiadłam koło niego. Cricket włączył film. Przysunęłam się bliżej, niby po to, żeby lepiej widzieć. Nie mogłam się skoncentrować, ale i tak śmiałam się radośnie, kiedy srebrna kulka mknęła przez tunele, uruchamiała pułapki, mijała bramki. Byłam już tak blisko, że zapadłam się w szczelinę między poduszkami. Poczułam leciutki zapach jego potu. Nie był przykry, zdecydowanie nie. A potem dotknęłam wierzchem dłoni jego ręki i serce stanęło mi w gardle.

Cricket znieruchomiał.

Odchrząknęłam.

– Masz jakieś plany na jutro? No wiesz, w związku z urodzinami?

– Nie. – Nerwowo cofnęłam rękę. – Żadnych. Żadnych planów.

– Och... – Wpatrywałam się w jego rękę.

– Calliope ma trening czy zawody, więc czeka nas kolejne popołudnie kiepskiego

stadionowego żarcia, piszczących dziewczynek i sprzedawców pamiątek.

Pretekst, żeby się ze mną nie spotkać? Czyżbym cały czas była w błędzie? Poszłam do domu i zadzwoniłam do Lindsey.

– Nie ma mowy – stwierdziła. – Podobasz mu się.

– Nie widziałas go. Był taki dziwny i spięty.

Ale następnego ranka umówiłam się z Lindsey, żeby poszukać dla niego odpowiedniego prezentu. Nie dojrzałam jeszcze do tego, żeby zrezygnować. Nie mogłam jeszcze zrezygnować. Wiedziałam, że do jednej z machin był mu potrzebny klucz francuski nietypowych rozmiarów, i wiedziałam też, że nie udało mu się znaleźć go w Internecie. Przez cały dzień szukałyśmy go w sklepach specjalistycznych i tego wieczoru wracałam do domu, pękając z dumy, bo znalazłam odpowiedni klucz. Znowu poczułam przypływ niespokojnej nadziei. I wtedy to zobaczyłam.

Przyjęcie. Zabawa trwała w najlepsze.

Dom Bellów pękał w szwach, w oknach kołysały się sznury barwnych lampek. To nie było przyjęcie niespodzianka. To była zaplanowana impreza. Impreza, na którą mnie nie zaproszono.

Zamarłam w pół kroku, załamana, ściskając w dłoni malutki klucz francuski i obserwując imprezę. Minęła mnie grupka dziewcząt, wbiegły na werandę. Jakim cudem bliźniętom udało się w tak krótkim czasie zdobyć tylu nowych przyjaciół? Dziewczęta zapukały do drzwi. Otworzyła im Calliope, powitała radosnym śmiechem. Minęły ją, weszły do środka. Wtedy zobaczyła mnie, gapiącą się z chodnika.

Zawahała się, skrzywiła.

– No i co? Za dobra jesteś na nasze przyjęcie?

– Co?

– Wiesz, po tym, ile czasu spędzałaś z moim bratem, mogłabyś wejść przynajmniej na chwilę i złożyć mu życzenia.

Kręciło mi się w głowie.

– Nie zaprosił mnie.

Na jej twarzy malowało się zaskoczenie.

– A Cricket mówił, że nie możesz.

Eksplozja. Ból.

– Ja... nie, nie zaprosił mnie.

– Hm... – Przyglądała mi się niespokojnie. – No cóż. Cześć.

Lawendowe drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Wpatrywałam się w nie, urażona i upokorzona. Dlaczego mnie tam nie chciał? Wbiegłam do domu, zaciągnęłam zasłony w pokoju i zaniósłam się płaczem. Co się stało? Co jest ze mną nie tak? Dlaczego już

mnie nie lubi?

Światło w jego pokoju zapaliło się o północy. Zawołał mnie po imieniu.

Usiłowałam skupić się na gigantycznym kraterze w moim sercu. Znowu mnie zawołał. Chciałam to zignorować, ale nie mogłam. Otworzyłam okno.

Cricket wbił wzrok w ziemię.

– To... co dzisiaj robiłaś?

– Nic – odparłam krótko, zwięźle. – Nic dzisiaj nie robiłam.

Wydawał się poruszony, co tylko spotęgowało moją złość. Dlaczego chciał wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia?

– Dobranoc. – Już miałam zamknąć okno.

– Poczekaj! – Nerwowo pociągnął się za włosy. – Ja... właśnie się dowiedziałem, że wyjeżdżamy.

Poczułam się, jakby mnie uderzył. Zamrugałam, zaskoczona przyływem świeżych łez.

– Wyjeżdżacie? Znowu?

– W poniedziałek.

– Za dwa dni? – Dlaczego nie przestaję płakać? Ależ ze mnie idiotka!

– Calliope wraca do poprzedniego trenera. – Wydawał się bezradny. – Tutaj nic się nie udaje.

– Nic się nie udaje? – wybuchłam. – Nie masz mi nic do powiedzenia przed wyjazdem?

Cricket rozchylił usta, ale nie padło z nich żadne słowo. Mina jak przy trudnym równaniu. Minęła minuta, może dwie.

– Przynajmniej to nas łączy – rzuciłam. – Ja też nie mam ci nic do powiedzenia.

I zatrasnęłam okno.

Rozdział 7

Naprawdę to robił, i to publicznie! – zapewniam. – Na chemii Charlie podziwiał twoje pośladki!

Lindsey mnie zbywa.

– Nawet jeśli, choć szczerze w to wątpię, znasz moje zasady. Zero facetów...

– Do matury, tak, wiem. Po prostu myślałam, że skoro to Charlie... I skoro naprawdę podązał za tobą wzrokiem...

– Nie. – I żeby zaznaczyć, że to koniec rozmowy, wbija zęby w kanapkę z masłem migdałowym i dżemem. Pojednawczo rozkładam ręce. Wiem, kiedy przestać, choć wiem też, że Lindsey potajemnie kocha się w Charliem Harrisonie Mingu, odkąd w zeszłym roku zgarnął dwa razy więcej punktów do niej w quizie naukowym.

Pierwszy tydzień w trzeciej klasie szkoły średniej imienia Harveya Milka minął zgodnie z przewidywaniami. Te same nudne lekcje, te same wredne koleżanki, ci sami napaleni durnie. Dobrze chociaż, że jem z Lindsey lunch. To pomaga.

– Hej, Kleopatro, pokazać ci mój Nil?

Skoro o dupkach mowa. Gregory Figson przybija żółwika z umięśnionym kumplem. Mam dzisiaj na głowie czarą prostą perukę, białą kreację z prześcieradła, masywną złotą biżuterię i oczywiście egipską kreskę na oczach.

– Dzięki – splawiam go.

Gregory zaciska dłonie na wysokości klatki piersiowej.

– Fajne piramidy – rzuca. Odchodzą ze śmiechem.

– A już myślałam, że niżej upaść nie może – zauważam. Odkładam mojego wegetariańskiego burgera. Jakoś straciłam apetyt.

– Na wypadek gdybym jednak wołała nie czekać – mruczy Lindsey. – Chłopcy z liceum to debile.

– I właśnie dlatego ja nie umawiam się z licealistami. Tylko z prawdziwymi facetami.

Lindsey przewraca oczami. Sama nie chce się z nikim umawiać przede wszystkim dlatego, że obawia się, iż romans pokrzyżuje jej harmonogram. Harmonogram to jej słowo, nie moje. Według niej chłopcy odciągają uwagę od ważniejszych, naukowych celów, więc nie chce się z nikim umawiać, póki na dobre nie okrzepnie w nowym, policealnym życiu. Szanuję jej decyzję, choć wołałabym przyjść do szkoły w dresach, niż zrezygnować z mojego chłopaka.

Czy z okazji, żeby po raz pierwszy w życiu pójść na zimowy bal szkolny. Mogą w nim uczestniczyć tylko uczniowie starszych klas i zostało do niego jeszcze mnóstwo czasu, ale wymyśliłam sobie tę suknię à la Maria Antonina i już kupiłam materiał. Surowy jedwab i sztywna tafta. Gładkie satynowe wstążki. Delikatne strusie pióra, błyszczące kryształki. Jeszcze nigdy nie przymierzałam się do czegoś tak skomplikowanego i praca nad kreacją zajmie mi kilka miesięcy.

Postanawiam, że zacznę zaraz po powrocie do domu. Jest piątek, wyjątkowo dzisiaj nie pracuję, a Amfetamina występuje dzisiaj w klubie, do którego wpuszczają ludzi przed dwudziestym pierwszym rokiem życia, i Max nie zdoła mnie przemycić.

Z tego, co wyczytałam w Internecie, muszę zacząć od bielizny.

Kupiłam już olbrzymią ilość materiału na suknię, ale strój muszę budować od podstaw i planując samą suknię, muszę brać pod uwagę gorset i gigantyczną rogówkę, czyli stelaże, które pod kreacjami nosiły Maria Antonina i jej damy dworu.

Godzinami szukam instrukcji, jak zbudować rogówkę poprawną pod względem historycznym i nic. Chyba że oszukam i wykorzystam kółka hula-hoop, a tego nie chcę. Czyli muszę udać się do biblioteki na dalsze poszukiwania. Gorset okazuje się mniej skomplikowany. Instrukcje i wykresy przytłaczają mnie, ale drukuję kilkanaście wzorów, spisuję wymiary i zacznę tworzyć.

Szyję od trzech lat i całkiem nieźle mi to wychodzi. Zaczynałam jak wszyscy, od drobiazgów – poszewki na poduszki, spódnice o linii litery A, skracanie. Szybko jednak sięgnęłam po trudniejsze rzeczy, a każdy kolejny projekt był bardziej wymagający. Łatwe sprawy mnie nie interesują.

Interesuje mnie wszystko, co jest piękne.

Zatracam się w pracy: szkicuję projekt na bibułce, składam, ścieram, poprawiam. Nikt, kto sam nie szyje, nie zdaje sobie sprawy, ile problemów czyha na każdym kroku szycia, i wielu początkujących poddaje się szybko. Ja jednak lubię te zagadki. Gdybym potraktowała tę suknię jako jedną, wielką rzecz, zadanie przerosłoby mnie. To nie do zrobienia. Ale sytuacja zmienia się, jeśli podzielę ją na małe, nieskomplikowane kroki. Teraz dam radę.

Kiedy mój pokój w końcu spowija mrok, muszę wstać z podłogi i włączyć łańcuch lampek. Przeciągam się, żeby rozprostować zdrętwiałe mięśnie i zerkam w okno.

Czy w ten weekend przyjedzie do domu?

Sama myśl budzi niepokój. Nie pojmuję, czemu wypytuje o mnie Andy'ego i St. Claira. Przychodzą mi do głowy tylko trzy rozwiązania, każde bardziej bezsensowne

niż poprzednie. Może na studiach nie zawiera nowych znajomości i z niepojętych przyczyn doszedł do wniosku, że ja będę fajnym kumplem. No bo przecież już dwa weekendy z rzędu wracał do domu. Czyli nic go nie trzyma w Berkeley. A może ma wyrzuty sumienia na wspomnienie tego, jak się rozstaliśmy, i chce mi to wynagrodzić. Uzyskać rozgrzeszenie.

A może... może mu się podobam. Po prostu.

Póki nie wrócił, byłam szczęśliwa, niepotrzebna mi ta komplikacja. Wolałabym chyba, żeby mnie ignorował. Calliope nie odezwała się do mnie do tej pory; Cricket mógłby pójść w jej ślady. Podchodzę do okna i ze zdziwieniem widzę pasiaste zasłony w jego oknie.

A potem zapala się światło.

Zaciągam zasłony w oknie. Serce wali mi jak młotem. Opieram się o ścianę. Przez szparę w zasłonce widzę, jak ktoś – bez wątpienia Cricket Bell – ciska dwie torby na podłogę, jedną z brudnym ubraniem, drugą – z książkami. Podchodzi do okna, a mnie ogarnia przerażenie. A jeśli mnie zawoła?

Nagła jasność, gdy rozsuwa zasłonę w swoim oknie. Jego ciało już nie jest ciemnym cieniem, wygląda normalnie, jak człowiek. Przyklejam się do ściany. Cricket nieruchomieje i wtedy do pokoju wchodzi ktoś jeszcze. Z trudem wychwytyuję kobiecy głos. Calliope.

Nie mogę się wiecznie ukrywać. Moje zasłony są grube, muszę na nich polegać. Oddycham głęboko, odrywam się od ściany – i potykam o stertę kartek i depczę wydruk. Klnę głośno. Zza okna dobiega śmiech. Przez jedną przerażającą chwilę myślę, że widzieli moją niezdarność, ale to tylko paranoja. Nie wiem, z czego się śmieją, ale na pewno nie ze mnie. Wkurza mnie, że nadal tak na mnie działają.

Wiem, czego mi trzeba. Dzwonię do niego. Odbiera w ostatniej chwili, tuż przed tym, jak włącza się poczta głosowa.

– Hej! – zaczyna Max.

– Hej! Jak dzisiaj? O której gracie? – W klubie jest tak głośno, że nie słyszę jego odpowiedzi. – Co?

– [Szum szum szum] Po jedenastej [szum].

– Och. W porządku. – Nie mam nic do dodania. – Tęsknię.

– [Szum szum szum szum].

– Co? Słuchaj, w ogóle cię nie słyszę.

– [Szum szum] Nieodpowiedni moment [szum].

Domyślam się, że musi kończyć.

– Dobra! Do zobaczenia jutro! Pa! – Kliknięcie w telefonie i już go nie ma.

Powinłam była napisać esemes. Ale teraz już tego nie zrobię, nie chcę zawracać mu głowy. Nie lubi, gdy się go rozprasza przed koncertem.

Po rozmowie jestem zdenerwowana, a nie – uspokojona. Z sąsiedniego okna nadal dobiega śmiech i z trudem opanowuję odruch, żeby cisnąć w szybę nożycami krawieckimi, żeby wreszcie ucichli. Dzwoni mój telefon. Odbieram ochoczo.

– Max!

– Powiedz Nathanowi, że musi po mnie przyjechać.

To nie Max.

– Gdzie jesteś? – pytam i od razu biegnę na dół. Nathan drzemie przed telewizorem i w towarzystwie Betsy ogląda talent show. – Ty mu to powiedz.

– Nie, będzie wściekły, a w tej chwili nie mam siły na jego wściekłość. – W głosie słycać irytację i znużenie.

Zatrzymuję się w pół kroku.

– O nie, nie znowu.

– Właściciel mieszkania zmienił zamki, musiałam się włamać do własnego mieszkania. Robią z tego problem.

– Problem? – powtarzam i mój ojciec unosi powieki. Podaję mu telefon, nie czekając na dalsze wyjaśnienia. Jestem pełna niesmaku. – Norah chce, żebyś wyciągnął ją z tarapatów.

Nathan przeklina i chwyta za komórkę.

– Gdzie jesteś? Co się stało? – domaga się odpowiedzi. Jednocześnie sięga po kluczyki i wkłada buty. – Biorę twój telefon, dobrze? – rzuca do mnie. – Powiedz Andy’emu, gdzie jestem. – I wychodzi.

Nie po raz pierwszy moja biologiczna matka dzwoni do nas z posterunku policji. Norah ma grubą kartotekę, zawsze wpada na głupstwach, jak kradzież mrożonych ekologicznych enchiladas czy odmowa uiszczenia opłaty na autostradzie. Kiedy byłam młodsza, zarzucano jej picie w miejscu publicznym i nieprzyzwoite zachowanie. A uwierzcie mi, w tym mieście trzeba się nieźle natrudzić, żeby z tego powodu trafić za kratki.

Andy słucha wiadomości w milczeniu. Norah na wszystkich działa destrukcyjnie, ale najgorzej chyba na niego. Nie jest ani jego siostrą, ani matką. Wiem, że jakaś jego część chciałaby, żeby w końcu dała nam święty spokój. Pewna częśćka mnie też tego chce.

Kiedy byłam mała, rodzeństwo Bell pytało mnie, czemu nie mam mamy. Powiedziałam im wtedy, że moja mama jest księżną Pakistanu; słyszałam tę nazwę w telewizji i bardzo mi się spodobała. Oddała mnie moim rodzicom, bo byłam dzieckiem

jej i ogrodnika, i bała się, że jej mąż, zły książę, zabije nas, jeśli się dowie o moim istnieniu.

– Więc jesteś księżniczką? – upewniła się Calliope.

– Nie ja. Moja mama.

– Czyli ty też – stwierdził Cricket. Był pod wrażeniem.

Calliope zmrużyła oczy.

– Ona nie jest żadną księżniczką. Na świecie nie ma żadnego złego księcia. Ani Pakistanu.

– A właśnie że są! I jestem! – Ale do dzisiaj pamiętam, jak wrócili do nas tego samego dnia, i zorientowałam się, że złapali mnie na gorącym uczynku.

Calliope skrzyżowała ręce na piersi.

– Znamy prawdę. Rodzice nam powiedzieli.

– Twoja mama naprawdę nie ma domu? – drążył Cricket. – Dlatego nie możesz mieszkać razem z nią?

To była jedna z bardziej krępujących chwil mojego dzieciństwa. Więc kiedy inne dzieci pytały o matkę, odpowiadałam zwięźle:

– Nie wiem, kto to. Nigdy jej nie poznałam. – Stałam się kolejnym, nudnym adoptowanym dzieckiem. Fakt, że mam dwóch ojców, nie budzi tu niczyjego zdumienia. Ale kilka lat temu, gdy oglądaliśmy razem telewizję, Cricket nagle spojrzął na mnie i zapytał:

– Dlaczego udajesz, że nie masz mamy?

Poruszyłam się niespokojnie.

– Słucham?

Cricket bawił się spinaczem, wyginał go w najdziwniejsze kształty.

– Teraz już jest zdrowa, prawda? – Miał na myśli: trzeźwa. Fakt, była wtedy trzeźwa od roku. Ale to nadal była Norah.

Spojrzałam na niego znacząco.

Widziałam, jak wspomina dawne czasy. Bellowie od lat słyszeli wrzaski mojej matki, ilekroć zjawiała się bez zapowiedzi, pijana albo naćpana.

Opuścił wzrok i zmienił temat.

Cieszę się, że Max nie przejmuję się moimi genami. Jego ojciec to stary alkoholik, mieszka w niebezpiecznej dzielnicy w Oakland, a matka? Max nie ma pojęcia, gdzie jest. Norah chyba tylko cementuje nasz związek. Rozumiemy się.

Zostawiam Andy'ego i wracam na górę. Przez okno widzę, że Calliope wyszła z sypialni Cricketa, a on przechadza się nerwowo. Porozkładane szablony zdają się ze mnie drwić. Cudowny bładoniebieski materiał na toaletce jakoś stracił swój urok.

Dotykam go delikatnie. Nadal jest miękki, nadal niesie obietnicę czegoś innego, czegoś lepszego.

Chciałabym, żeby dzisiejszy dzień wynagrodził nam wczorajszy.

– Dzisiaj chodzi o błysk. – Mam na sobie dżinsową kurtkę ze znaczkami z Davidem Bowiem i błyszczące sztuczne rzęsy. Drapię Betsy za uszami. Wybiega za mną z pokoju. Na schodach wpadamy na Andy’ego. Niesie kosz z czystą bielizną.

– Au! Moje oczy! – krzyczy. – Cóż za oślepiający blask!

– Bardzo zabawne.

– Wyglądasz jak kula w dyskotecę.

Uśmiecham się i mijam go.

– Rozumiem, że to ma być komplement.

– O której Max cię odwiedzie?

– Później.

Nathan czeka przy drzwiach.

– O której, Dolores? Konkretna godzina byłaby na miejscu.

– Znowu te twoje włosy. – Odkładałam torebkę i poprawiam mu fryzurę. Mamy te same włosy – gęste, ciemne, z niesfornym wicherkiem z przodu. Na pierwszy rzut oka widać, że jesteśmy spokrewnieni. Mamy też te same wielkie piwne oczy i dziecięcy uśmiech. O ile się uśmiechamy. Andy jest od niego szczuplejszy, wcześniej osiwił, więc strzyże się krótko. A jednak, mimo siwizny i dodatkowych dziewięciu lat na tej ziemi, wygląda na młodszego, bo zawsze się uśmiecha. I nosi śmieszne koszulki.

– Kiedy? – powtarza Nathan.

– Eee... za cztery godziny?

– Czyli o siedemnastej trzydzieści. I ani chwili później.

Wzdycham głośno.

– Tak jest, tato.

– I trzykrotnie zameldujesz się telefonicznie.

– Tak jest, tato. Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na najbardziej surowych rodziców na świecie. Wygląda na to, że w poprzednim życiu nieźle balowałam. Nie jestem jak Norah.

Nathan wrócił dopiero po północy. Okazało się, że właściciel kazał zmienić zamki, bo nie płaciła czynszu. Urządziła scenę, wybiła okno od frontu leżakiem sąsiadów, żeby dostać się do środka. Rano Nathan spotka się z właścicielem mieszkania, żeby ustalić terminy spłat. I tę sprawę z oknem.

– W porządku. – Kiwa głową. – Baw się dobrze i nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił.

Kiedy przekraczam próg, słyszę głos Andy’ego:

– Skarbie, to nie działa, kiedy jest się gejem.

Śmieję się, idąc do furtki. Tupię energicznie, aż z moich głanów osypuje się różowy brokat, pasujący do peruki.

– Jesteś jak spadająca gwiazda – mówi ktoś z sąsiedniej werandy. – Błyszczysz.

Od razu brakuje mi tchu.

Cricket zbiega ze schodków i podchodzi do mnie.

– Wybierasz się gdzieś? – pyta. – Ładnie wyglądasz. Błyszczysz. Już to mówiłem, prawda?

– Dziękuję bardzo, tak. Wychodzę na trochę. – Nie zasługuje na szczegółowe wyjaśnienia, naprawdę. Oczywiście od razu robi mi się głupio, że tak myślę, więc dodaję ze wzruszeniem ramion: – Może później wpadnę do Amoeba Records.

Właściwie dlaczego robi mi się głupio? Nie zrobiłam nic złego. Nie jestem mu nic winna. Kręcę głową, raczej do siebie niż do niego, i idę w stronę przystanku autobusowego.

– Na razie! – wołam. Umówiłam się z Maksymem w Upper Haight. Nie może po mnie przyjechać, bo najpierw musi odebrać niespodziankę. Niespodziankę. Nie mam pojęcia, co to jest, ale jeśli o mnie chodzi, może to nawet być guma do żucia. Wystarczy mi świadomość, że mam chłopaka, który robi mi niespodzianki.

Czuję na sobie spojrzenie Cricketa. Nacisk u nasady karku. Całkiem poważnie zastanawiam się, czemu za mną nie idzie. Odwracam się.

– A ty? Co dzisiaj robisz?

Dogania mnie trzema krokami.

– Nic.

Znowu mi głupio.

– Och.

Drapie się po policzku. Widzę napis na jego dłoni: „Carpe Diem”. Chwytaj dzień.

– To znaczy, mam pracę domową, ale nie zajmie mi to dużo czasu, jakąś godzinę, maksimum dwie.

– No tak. Praca domowa. – Szukam w głowie czegoś równie banalnego, gdy słyszę, że nadjeżdża autobus. – To mój! – wołam i odbiegam. Cricket krzyczy coś, ale nie słyszę jego słów przez warkot silnika, gdy autobus zatrzymuje się przy przystanku. Siadam koło chudej kobiety we wzorzystej sukience. Czyta *Tybetańską księgę umarłych*.

Zerkam w okno, Cricket nadal mnie obserwuje. Patrzymy sobie w oczy. Tym razem uśmiecha się nieśmiało. Z jakiegoś powodu odpowiadam tym samym.

– Ho, ho – mruczy moja sąsiadka. – Ależ się błyszczysz.

Rozdział 8

Guma do zucia byłaby lepsza.

– Doskonały na wyjazdy w trasę – mówi Max, bardziej ożywiony niż zwykle. – Pamiętasz, jak strasznie niewygodne było pakowanie wszystkiego do trzech różnych samochodów. Po pierwsze, parkowanie. W tym mieście to istny koszmar.

– Super! Właśnie! Tak!

Furgonetka. Max kupił furgonetkę. Wielką, białą furgonetkę. Co oznacza, że mój chłopak nie jeździ już chevroletem impala, rocznik 1964. Nie, zamienił go na furgonetkę.

Obchodzi ją dokoła, podziwia jej... co właściwie? Biały ogrom?

– Wiesz przecież, że chcieliśmy pojechać w trasę wzdłuż wybrzeża. Craig zna kilku gości w Portland, Johnny w Los Angeles. Tylko tego było nam trzeba. Teraz możemy jechać.

– W trasę! Wow! Super!

Trasa. Długie dni bez Maksa. Zmysłowe, napalone kobiety w innych miastach, flirtujące z moim chłopakiem, uświadamiające mu, jak bardzo jestem niedoświadczona. Trasa.

Max zatrzymuje się w pół kroku.

– Lola.

– Tak?

– Zachowujesz się jak typowa dziewczyna, mówisz, że ci się podoba, choć wcale tak nie jest. – Splata ręce na piersi. Pajęczyny wytatuowane na jego łokciach patrzą na mnie oskarżycielsko.

– Bardzo mi się podoba.

– Jesteś wkurzona, bo obawiasz się, że kiedy wyjadę, znajdę sobie inną dziewczynę. Starszą.

– Nie jestem wkurzona. – Jestem przerażona. I wściekła, bo już nieraz odbywaliśmy tę rozmowę, więc Max wie dokładnie, co czuję. – Jestem... zaskoczona. Podobał mi się twój stary wóz, i tyle. Ale ten też jest w porządku.

Unosi brew.

– Podobał ci się mój stary samochód?

– Bardzo.

– No wiesz... – Max opiera mnie o karoserię. Czuję na plecach chłodny metal. –

Furgonetki mają inne zalety.

– Inne?

– Inne.

No dobra, może ta sprawa z furgonetką nie jest taka do końca bez sensu. Wplątam palce w jego żółtobiałe tlenione włosy i całujemy się namiętnie, gdy rozlega się głośne, bezczelne pytanie:

– Hej, ty, masz drobne?

Odrywamy się od siebie. Facet w brudnej kwiecistej koszuli mierzy nas gniewnym wzrokiem.

– Nie, przykro mi – odpowiadam.

– Nie musi ci być przykro. – Łypie na mnie spod dredów. Jest biały. – Ja tu zdycham z głodu, ale co to kogo obchodzi.

– Dupek! – woła za nim Max, gdy odchodzi, powłócząc nogami.

W San Francisco aż się roi od bezdomnych. W drodze z domu do szkoły codziennie spotykam co najmniej tuzin. Denerwują mnie, bo wiecznie przypominają mi, skąd się wzięłam, ale zazwyczaj ich ignoruję. Omijam wzrokiem. Inne podejście byłoby zbyt męczące.

Ale w Haight bezdomni to roszczeniowi dranie.

Nie lubię tu przyjeżdżać, ale Max ma kumpli, którzy pracują w drogich butikach z ciuchami vintage, w sklepikach z artykułami do palenia, księgarniach i knajpkach. Mimo psychodelicznych graffiti i hippisowskich wystaw, Haight Street, epicentrum wolnej miłości w latach sześćdziesiątych, to niebezpieczna, groźna dzielnica.

– Ej, zapomnij o nim – radzi Max.

Widzi, że jestem w kiepskim humorze, więc zabiera mnie do tej knajpki, w której byliśmy na pierwszej randce. A potem wchodzimy do sklepu z perukami. Śmieje się, gdy przymierzam idiotyczne fioletowe paskudztwo. Uwielbiam jego śmiech. Słyszę go rzadko, więc ilekroć się rozlega, wiem, że na niego zasłużyłam. Pozwala mi nawet włożyć sobie perukę, blond cudo à la Marilyn.

– Poczekaj, aż zobaczą cię Johnny i Craig – mówię, mając na myśli kolegów z zespołu.

– Powiem, że postanowiłem zapuścić włosy.

– Rogaine działa – mówię, naśladując go najlepiej, jak umiem.

– Co to, kolejny suchar? – Max ze śmiechem podaje mi moją jasnorożową perukę. – Czas na nas. Powiedziałem Johnny’emu, że wpadniemy o wpół do czwartej.

Upycham włosy pod peruką.

– No tak, bo i tak rzadko się z nim widzisz.

– Za to ty tak – odpowiada.

Johnny Ocampo – perkusista Amfetaminy i współlokator Maksa – pracuje w Amoeba Records, jedynym miejscu, które mi się podoba w tej okolicy. To ogromne betonowe sanktuarium rzadkich płyt gramofonowych, starych plakatów i niezliczonych płyt CD na półkach oznaczonych kolorystycznie, w zależności od gatunku. Nie ma to jak muzyka, którą można wziąć w dłonie.

– Żartowałam – zapewniam. – Zresztą ty też nie kumplujesz się z Lindsey.

– Litości, Lo. Jest wścibska i dziecinna. Między nami nie gra.

Mówi prawdę, ale... au. Czasami lepiej jest skłamać. Ściągam brwi.

– To moja najlepsza przyjaciółka.

– Wolałbym spędzać więcej czasu z tobą. – Max bierze mnie za rękę. – Tylko z tobą.

W milczeniu wchodzimy do środka. Johnny, niski, ale muskularny Filipińczyk, jest tam, gdzie zawsze, na recepcji, na podeście, za którym wygląda, jakby posiadał całą wiedzę o dobrej muzyce. Johnny i Max kiwają sobie głowami na przywitanie. Johnny jest zajęty, rozmawia z klientem. Macham do niego i znikam między regałami.

Choć słucham głównie rocka, przeglądam wszystko, bo nigdy nie wiadomo, kiedy trafisz na coś, co może ci się spodobać. Hip-hop, muzyka klasyczna, reggae, punk, opera, muzyka elektroniczna. Dzisiaj nic nie zwraca mojej uwagi, więc podchodzę do regałów z rockiem. Jestem przy literach P i Q, gdy nagle czuję, jak małe, niewidoczne włoski na karku stają mi dęba. Podnoszę głowę.

I oczywiście tam jest.

Cricket Bell stoi pośrodku i czegoś szuka. Kogoś. A potem dostrzeża mnie i jego twarz się rozjaśnia. Uśmiecha się, śmieją się nawet jego oczy, tak słodko, niewinnie, z nadzieją.

I nagle wiem, co się wydarzy.

Pocą mi się ręce. Nie mów tego. Błagam cię, nie mów tego, błagam. Ale inny zdradziecki głosik powtarza: Powiedz to, powiedz, powiedz.

Cricket zwinnie mija innych klientów, jakby w sklepie nie było nikogo poza nami. Muzyka w głośnikach zmienia się, popowa piosenka ustępuje rockowej symfonii. Serce bije mi coraz szybciej. Kiedyś tak bardzo czekałam na tę chwilę. Teraz nie chcę jej za żadne skarby świata.

Zatrzymuje się przy mnie, nerwowo bawi się bransoletką.

– Ja... miałem nadzieję, że cię tu znajdę.

Nie. Nie czuję tego naprawdę, to tylko wspomnienia, które powracają, by mnie dręczyć. Nienawidzę go. Nienawidzę.

Nie, tylko mi się wydaje, że go nienawidzę, bo przecież wcale tak nie jest.

Odwracam wzrok, wbijam spojrzenie w album Phoenix, który trzymam w dłoniach.

– Mówiłam ci, że się tu wybieram.

– Wiem. I nie mogłem już dłużej czekać, musiałem ci powiedzieć...

Panika narasta. Zaciskam dłonie na płycie francuskiego zespołu.

– Cricket, proszę...

Ale jego słowa płyną nieprzerwanie. Szczerze. Desperacko.

– Umów się ze mną. Dzisiaj, jutro, kiedy tylko... – Urywa w połowie zdania, widząc coś za mną.

Papierosy i miętowa guma. Chcę zapaść się pod ziemię.

– To jest Max. Mój chłopak. Max, to jest Cricket Bell.

Max lekko kiwa głową. Słyszał wszystko, na pewno.

– Cricket to mój sąsiad. – Zwracam się do Maksa. – To znaczy, był nim i też znowu jest. Czasami.

Mój chłopak ledwie zauważalnie mruży oczy, przyswajając te nowe informacje. Jest całkowitym przeciwieństwem Cricketa, który za żadne skarby świata nie potrafi ukrywać swoich uczuć. Skrzywił się boleśnie i od razu się wycofuje. Wydaje mi się, że sam nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Wyraz twarzy Maksa znowu się zmienia, odrobinę. Domyślił się, kim jest Cricket. Wie, że Cricket Bell musi być krewnym Calliope Bell.

I że celowo o nim nie wspominałam w naszych rozmowach.

Max obejmuje mnie ramieniem. W oczach Cricketa to zapewne nonszalancki gest, ale ja czuję napięte mięśnie. Max jest zazdrosny. Powinno mnie to cieszyć, ale widzę jedynie upokorzenie Cricketa. Jestem na siebie wściekła, że obchodzi mnie, co sobie myśli.

Czy to znaczy, że jesteśmy kwita? Czy tak smakuje rewanż?

Atmosfera jest gęsta jak mgła nad zatoką. Muszę działać szybko. Uśmiecham się ciepło do Cricketa.

– Fajnie, że się spotkaliśmy. Później pogadamy, dobrze? – I odciągam Maksa. Czuję, że mój chłopak chce coś powiedzieć, ale jak zwykle trzyma język za zębami, póki nie ubierze myśli w dokładnie takie słowa, jakich szuka. Odchodzimy sztywno, trzymając się za ręce. Mijamy jego kumpla na recepcji.

Nie chcę się odwracać, a jednak nie mogę się powstrzymać.

Patrzy na mnie. Patrzy przeze mnie. Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, Cricket Bell wydaje się mały. Niknie mi w oczach.

Rozdział 9

Trochę mi głupio się do tego przyznać, ale ilekroć jestem z Maksem na randce, chciałabym być dłużej, iść szybciej, mówić głośniej, żeby jeszcze więcej osób widziało nas razem. Chciałabym spotkać każdego ze szkoły, kto drwił z moich butów z czubami czy mokasynów z koralikami, bo wiem, że wystarczy jedno spojrzenie na Maksa, jego ciemne brwi, tatuaże i aurę nonszalancji i od razu będzie wiadomo, że tym razem wybrałam właściwie.

Zazwyczaj pękam z dumy. Teraz jednak, gdy wracamy do nowej furgonetki, nie zauważam nikogo. Cricket Bell chciał się ze mną umówić. Cricket Bell chciał się ze mną umówić. I co ja mam z tym zrobić?

Max odsunął ciężkie drzwi, trzyma je, żebym wsiadła. Do wyjścia z Amoeba żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Dziękuję niewyraźnie i wsiadam. Max siada za kierownicą, przekręca kluczyk w stacyjce i oznajmia:

– Nie podoba mi się.

Brak emocji w jego głosie sprawia, że mój żołądek fika salto.

– Cricket? Czemu?

– Po prostu nie.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Brak mi słów. Milczymy, aż dojeżdżamy do charakterystycznego neonu reklamującego kino Castro Theater, przecnicę od mojego domu.

– Dlaczego mi o nim nie powiedziałaś?

Wbijam wzrok w moje dłonie.

– Nie jest ważny.

Max czeka. Zaciska usta.

– Zranił mnie i tyle. Ale to było dawno temu. Nie chcę o tym rozmawiać.

Odwraca się do mnie. Stara się zachować spokój.

– Zranił cię?

Zapadam się w fotel. Wszystko byłoby lepsze od tej rozmowy.

– Nie, nie, nic mi nie zrobił. Przyjaźniliśmy się, pokłóciliśmy się, a teraz wrócił, co chwila na niego wpadam...

– Czyli to nie był pierwszy raz. – Znowu wbija wzrok w jezdnię. Zaciska dłonie na kierownicy.

– No... nie. Ale to bez znaczenia, Max.

– Nie byłbym taki pewny.

Przecząco kręcę głową.

– Posłuchaj, Cricket nic dla mnie nie znaczy.

– Jasne, chce się z tobą umawiać co wieczór, a ty mi wmawiasz, że to nic takiego?

– Bo nic!

Samochód zatrzymuje się gwałtownie przed moim domem. Max wali w kierownicę.

– Powiedz prawdę, Lola! Chociaż raz powiedz prawdę!

Łzy pieką mnie pod powiekami.

– Mówię prawdę.

Przygląda mi się.

– Kocham cię. – Wpadam w desperację. Musi mi uwierzyć. – Nie kocham go, nawet go nie lubię! Kocham ciebie!

Max zamyka oczy na, jak mi się wydaje, całą wieczność. Widzę napięte mięśnie na jego karku. W końcu rozluźnia się. Otwiera oczy.

– Przepraszam. Ja też cię kocham.

– I wierzysz mi? – pytam cichutko.

Przyciąga mnie do siebie i odpowiada pocałunkiem. Całuje mnie mocno. Odwzajemniam pieśczoć z przejęciem. Kiedy w końcu odrywamy się od siebie, patrzy mi głęboko w oczy.

– Wierzę ci.

Max odjeżdża furgonetką, przy akompaniamencie grupy The Misfits w głośnikach. Zwieszam ramiona. Tyle, jeśli chodzi o wolny dzień.

– Kto to był?

Podskakuję, słysząc ostry głos za plecami. A potem odwracam się i po raz pierwszy od dwóch lat patrzę na nią. Ciemne włosy zebrane w koński ogon, strój sportowy, a mimo tego wygląda ładniej, niż ja mogłabym zamarzyć.

– Cześć, Calliope.

Patrzy na mnie, jakby chciała zapytać: Czemu nie odpowiedziałas na moje pytanie?

– To był mój chłopak.

Wydaje się zaskoczona.

– Ciekawe – stwierdza po chwili. I chyba naprawdę jest zaciekawiona. – Mój brat cię znalazł? Poszedł cię szukać.

– Tak – odpowiadam ostrożnie. Czeka, co powiem dalej, ale nie dam jej tej satysfakcji. Zresztą nie wiem nawet, co mogłabym jeszcze powiedzieć. – Miło cię

widzieć. – Idę do schodów.

Jestem już niemal przy drzwiach, gdy rzuca:

– Wyglądasz jakoś inaczej.

– A ty tak samo.

Zamykam za sobą drzwi. W domu już czeka Nathan.

– Nie dzwoniłaś.

O nie.

Jest wściekły.

– Godzinę temu miałaś się zameldować. Dzwoniłem pięć razy i za każdym razem przełączało mnie do poczty głosowej. Gdzieś ty była?

– Zapomniałam, tato. Przepraszam, zapomniałam.

– To furgonetka Maksa? Ma nowy samochód?

– Szpiegowałeś nas?

– Martwiłem się, Lola.

– Więc nas szpiegowałeś?

– Wiesz, czemu faceci kupują furgonetki? Wiesz?

– Żeby przewozić gitary i perkusje? Żeby jeździć w trasę? – Mijam go, biegnę na górę, do siebie.

Ojciec biegnie za mną po schodach.

– Nie myśl sobie, że to koniec tej rozmowy. Mamy umowę – dzwonisz, kiedy jesteś z Maksem.

– A jak myślicie, co takiego może mi się stać? Nie ufacie mi? – Ściągam z głowy różową perkę, ciskam w drugi kąt pokoju. – Nie upijam się, nie ćpam, nie wybijam okien. Nie jestem nią. Nie jestem Norah.

Posunęłam się za daleko. Kiedy pada imię jego siostry, Nathan kuli się, jakbym go uderzyła, i wiem, że trafiłam w dziesiątkę. Szykuje się na atak, ale on wychodzi bez słowa. I to chyba jest jeszcze gorsze. Ale to jego wina, karze mnie za rzeczy, których ja nie robiłam, a ona – tak.

Jakim cudem ten dzień okazał się taki straszny? Od czego to się zaczęło?

Cricket.

Jego imię jest jak wybuch. Podchodzę do okna. Ma rozsunięte zasłony. Torby, z którymi przyjechał, leżą na podłodze, ale jego nie widać. Co mam mu powiedzieć przy następnym spotkaniu? Dlaczego ciągle niszczy mi życie?

Dlaczego akurat też chce się ze mną umówić?

A teraz Max o nim wie. To nie powinno mieć znaczenia, a jednak ma. Max nie jest taki, żeby do tego wracać, ale nigdy o tym nie zapomni. Wykorzysta w odpowiedniej

chwili. Uwierzył mi, kiedy wyznawałam mu miłość. Kiedy zaklinałam się, że nawet nie lubię Cricketa?

Tak, chyba tak.

I naprawdę kocham Maksa. Skąd więc wrażenie, że druga część tamtych zapewnień była nieprawdziwa?

Nie ja jedna mam problem z facetami. W tym tygodniu Lindsey była zadziwiająco milcząca. Nie zauważyła, że matematyk zrobił w poniedziałek błąd we wzorze na tablicy. Ani że we wtorek Marta Velazquez, szkolna gwiazda, nie zerwała z nowych spodni nalepki z rozmiarem i paradowała z informacją: 12 12 12 12 12. Jak Lindsey mogła tego nie widzieć, siedząc za nią przez całą lekcję na historii?

Dopiero w czwartek, podczas lunchu, gdy Charlie Harrison-Ming przechodzi koło nas i wita się przelotnie, zdaję sobie sprawę, w czym rzecz. I dostrzegam coś jeszcze – Charlie i Lindsey mają identyczne czerwone trampki. Lindsey doskonale radzi sobie z problemami innych, ale jeśli chodzi o jej sprawy? Koszmar.

– Trzeba było coś powiedzieć o butach – podsuwam.

– Ciuchy to twoja specjalność – odpowiada ponuro. – Wychodzę na idiotkę, kiedy o nich mówię.

Dzisiaj mam na sobie okulary w kocich oprawkach i sukienkę w panterkę, którą sama uszyłam w zeszłym roku. Poprząpinałam do niej wielkie czerwone broszki, które wyglądają jak rany postrzałowe, w naturalne włosy wplotłam czerwone wstążki, które też spływają mi z ramion. To mój protest przeciwko polowaniom na grubego zwierza.

– Nigdy nie gadasz głupio – zapewniam. – I to nie ja mam czerwone trampki.

– Mówiłam ci, że nie chcę się z nikim umawiać. – Ale już nie jest taka pewna.

– I tak jestem z tobą, bez względu na to, co zdecydujesz, wiesz o tym, prawda?

Lindsey wsadza nos w powieść kryminalną i tak kończy naszą rozmowę. Ale nie czyta, gapi się w kartkę. Wyraz jej twarzy budzi bolesne wspomnienia – tak samo wyglądał Cricket podczas naszego ostatniego spotkania. W weekend już nie wrócił do domu. Zasłony ciągle są rozsunięte, torby na podłodze. Zwłaszcza jedna mnie fascynuje. Stara, brązowa torba skórzana, taka, jaką noszą profesorowie na uczelni i archeolodzy w dżungli. Ciekawe, co w niej jest. Pewnie szczoteczka do zębów i zmiana bielizny.

Mimo wszystko. Wydaje się taka smutna. Ta druga szmaciana torba też jest żałosna, wypełniona tylko do połowy.

Telefon znowu mi wibruje, czuję jego drżenie na nodze, przez plecak. Dostałam wiadomość. O rany. W szkole mamy mieć wyłączone telefony. Ale kto właściwie miałby do mnie pisać o tej porze? Pochyliłam się, żeby przeczytać, i w tej chwili okulary

– cudenka retro, które nie trzymają się na nosie – spadają z brzękiem na posadzkę. Na pewno są gdzieś blisko, ale nic nie widzę. Słyszę za to śmiech dziewcząt idących w naszą stronę.

– O cholera, cholera, cholera...

Lindsey podnosi moje okulary, tuż zanim do nas podejda. Mijają nas w obłoku perfum i śmiechu.

– Znowu gorzej widzisz?

Wkładam okulary i świat wraca na miejsce. Ściągam brwi.

– No jasne. Z każdym rokiem. W tym tempie przed dwudziestką będę ślepa jak kret.

Zerka na moje okulary.

– Ile masz teraz par?

– Tylko trzy. – Niestety okulary są bardzo drogie. Zamawiam je w Internecie, ale i tak pochłaniają krocie. Rodzice kupują mi szkła kontaktowe, ale lubię różnorodność. Dużo różnorodności. Zerkam na telefon i z radością stwierdzam, że to wiadomość od Maksa.

„Widziałem na trawniku dwie gałęzie w kształcie serca. Pomyślałem o tobie”.

Uśmiecham się jak idiotka.

– Kto? – pyta Lindsey.

– Max! – Ale wtedy widzę jej minę. Wzruszam ramionami i wyłączam telefon. – To nic takiego. Zobaczył coś i...

Ponownie wsadza nos w książkę.

– Aha.

I nagle mam: genialne rozwiązanie jej problemu. Charlie świata poza nią nie widzi, a Lindsey potrzebuje wsparcia podczas tych pierwszych trudnych kroków. Potrzebuje mnie. Podwójna randka! Jestem genialna! I... mam Maksa, który w życiu nie zgodzi się na coś takiego. Zerkam na przyjaciółkę, która znowu gapi się w książkę. Stara się rozwiązać własną zagadkę. Ukrywam telefon w dłoniach i milczę.

I czuję się okropnie wobec niej.

W sobotę mam popołudniową zmianę, poprzedniego dnia zamykałam kino. Mam wrażenie, że siedzę tu całymi dniami; mogłabym w końcu poddać się i po prostu rozkładać co noc mój stary śpiwór w księżniczki Disneya na podłodze za ladą. Wchodzę do środka i ze zdumieniem widzę St. Claira przy bufecie. Anny dzisiaj nie ma. Jeszcze bardziej opada mi szczęka, gdy widzę, co ma na sobie.

– Co to za strój? – pytam.

Wzrusza ramionami. Powoli, leniwie, całym sobą, przez co wydaje się taki bardziej... europejski.

– Jeden z kierowników stwierdził, że spędzam tu tyle czasu, że właściwie mógłbym zacząć sam pracować. Więc pracuję.

– Chwileczkę. Pracujesz tutaj?

– Tak, ale nie mów nikomu, to tajemnica. – Komicznie szeroko otwiera oczy.

– Ty? Pracujesz? – Choć St. Clair nigdy o tym nie mówi, wszyscy wiedzą, że jego rodzina śpi na pieniądzech. Wcale nie musi pracować. I nie wygląda na kogoś, kto chciałby to robić z własnej woli.

– Myślisz, że nie dam sobie rady przy sprawdzaniu biletów?

– Moje umęczone nogi sugerują, że chodzi o coś więcej.

St. Clair uśmiecha się, a mi szybciej bije serce. Jest naprawdę przystojny. Jezu, co się ze mną dzieje? Chyba jestem bardziej zmęczona, niż mi się zdawało. I wcale mi się nie podoba chłopak Anny, jest dla mnie za niski, za bezczelny, ale drażni mnie sam fakt, że w ogóle zwracam na niego uwagę. Zajmuję się pracą w drugim końcu kina, żeby oderwać się od niepokojących myśli, ale St. Clair podchodzi do mnie kilka godzin później, gdy przetoczyła się kolejna fala klientów.

– Z moimi stopami wszystko porządku – zauważa. – Ba, zastanawiam się nawet, czy nie założyć trupy tanecznej. Zainteresowana?

– Och, daruj sobie. – Cały czas jestem zirytowana, a mojego humoru nie poprawia sześć osób, uskarżających się na nasz parking podziemny. – Szczerze: po co ci ta praca?

– Bo uznałem, że to praca hartuje charakter. – Siada na ladzie koło mnie. – Bo straciłem wszystkie zęby i nie stać mnie na protezę. Bo...

– Jasne, spoko, jak chcesz, bądź sobie dupkiem.

– Powinienem spędzać czas bardziej efektywnie, nie sądzisz? – Zsuwa się z lady, wyjmując szczotkę ze schowka. – No dobra, dobra, oszczędzam na wspólną przyszłość.

– Naszą? – Uśmiecham się słodko. – To doprawdy urocze, ale nie musisz.

Szturcha mnie kijem od szczotki.

– Anna wie, że oszczędzasz na waszą przyszłość?

– Oczywiście. – St. Clair zmiata mi spod nóg rozsypaną prażoną kukurydzą, a ja nalewam klientom colę i podaję precle. Kiedy goście odchodzą, podejmuje przerwany wątek. – Myślisz, że zacząłbym pracę, nie ustalając tego z nią?

– No nie, ale... No wiesz... myślałam, że... – Nie domyśla się i muszę dopowiedzieć zdanie do końca: – Że masz pieniądze.

Śmieje się głośno, jakbym powiedziała coś głupiego.

– Pieniądze ma mój ojciec, a wolałbym, żeby nie był częścią mojej przyszłości.

– Brzmi... groźnie.

I znowu to europejskie wzruszenie ramionami. Tym razem po to, żeby zmienić temat.

– No i fajnie będzie mieć trochę gotówki, żeby móc gdzieś ją zabrać. Zazwyczaj jadamy tylko w uczelnianych stołówkach. – Marszczy brwi. – Właściwie jadamy tylko w uczelnianych stołówkach.

– W Paryżu też?

– W Paryżu też – potwierdza.

Wzdycham.

– Nawet nie masz pojęcia, jaki z ciebie szczęściarz.

– Chyba jednak mam. – St. Clair opiera szczotkę o ścianę. – A ty? Dlaczego pracujesz? Żeby było cię stać na zabójczy nałóg kostiumowy? I co to dzisiaj za włosy?

– Chciałam się przekonać, jak będę wyglądała z małymi koczami. A potem dodałam pióra, bo wyglądały jak gniazda. – Trafił w dziesiątkę, właśnie dlatego pracuję. A poza tym rodzice uznali, że powinnam zacząć pracować, kiedy skończyłam szesnaście lat, bo to pozytywnie wpływa na charakter. No więc pracuję.

St. Clair podziwia moją fryzurę.

– Rewelacja.

Odsuwam się.

– Właściwie o jak odległej przeszłości mówimy?

– Odległej.

To słowo wisi w powietrzu, znaczące, ważne. Czasami gadamy z Maksym o tym, że uciekniemy do Los Angeles i zaczniemy wspólne życie – ja będę za dnia projektowała fantastyczne kostiumy, on nocami królował na scenie klubowej – ale coś mi mówi, że plany St. Claira i Anny są poważniejsze niż nasze. Na samą myśl robi mi się nieswojo. Przyglądam mu się. St. Clair jest niewiele starszy ode mnie.

Skąd w nim taka pewność?

– Kiedy coś jest dobre, jest bardzo proste, nieskomplikowane – odpowiada na niezadane pytanie. – W przeciwieństwie do twojej fryzury.

Rozdział 10

Na niebie wisi tylko pół księżyca. Idealnie prosta linia oddziela ciemną stronę od jasnej. Wisi nisko nad tętniącą życiem dzielnicą Castro, zawisł znacznie wcześniej niż poprzedniego wieczoru. Nadciąga jesień. Odkąd pamiętam, rozmawiałam z księżycem. Prosiłam o wsparcie. Jest coś magicznego, duchowego w jego bladej poświacie, powierzchni pokrytej kraterami, w tym, jak pojawia się i znowu znika. Co wieczór ma nową kreację, a zarazem zawsze jest sobą.

I zawsze, zawsze jest.

Miałam dzisiaj wcześniejszą zmianę, więc wróciłam do domu autobusem i pociągiem. Właściwie nie wiem, czemu w naszej dzielnicy od razu czuję się lepiej. To nie tak, że praca bardzo mnie męczyła. Ale uspokajam się, widząc znajome widoki ulicy Castro – błyszczące drobinki na chodniku, smakowite zapachy dochodzące z kontrowersyjnej cukierni Hot Cookie, Ale Ciacho, dalej grupki rozgadanych mężczyzn i przedwczesne halloweenowe dekoracje na wystawie U Cliffa.

Mam szczęście, że mieszkam w okolicy, która nie musi niczego udawać. Wszyscy wiedzą, co sugerują nazwy lokalnych firm – Fabryka Kiełbasek (restauracja), Ręczna Robota (manikiur), Pianka (fryzjer), ale zarazem panuje tu poczucie wspólnoty i bliskości. Jak w rodzinie. I jak w rodzinie, wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, choć moim zdaniem nie ma w tym nic złego. Podoba mi się, że facet z kafejki U Spike’a macha do mnie, gdy go mijam. Że sprzedawca w spożywczym wie, że muszę kupić Betsy dużą puszkę jagnięciny z warzywami i ryżem. Podoba mi się, że...

– Lola!

Cios w żołądek. Z przerażeniem odwracam się i widzę, jak Cricket Bell zwinnym piruetem mija starszą parę wchodzącą do sklepu spożywczego Delano, gdy on wychodzi. W obu rękach niesie po kartonie jajek z wolnego wybiegu.

– Idziesz do domu? Masz może chwilę?

Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Tak, jasne. Oczywiście.

Podbiega do mnie. Idę dalej. Ma na sobie białą elegancką koszulę, czarną kamizelkę i czarny krawat. Gdyby nie bransoletki i gumki na rękach, wyglądałby jak kelner.

– Lola, chciałem cię przeprosić.

Zatrzymuję się w pół kroku.

– Czuję się jak idiota, dupek, bo... postawiłem cię w takiej niezręcznej sytuacji w

zeszłym tygodniu. Przepraszam. Powiniennem być zapytać, czy kogoś masz. Sam nie pojmuję, czemu tego nie zrobiłem. – Mówi z trudem, jakby słowa sprawiały mu ból. – To oczywiste, że kogoś masz. Zawsze byłaś fantastyczną dziewczyną i kiedy znowu cię zobaczyłem, powróciły dawne emocje i... sam nie wiem, co powiedzieć, ale schrzaniłem to i przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

Jestem w szoku.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale już na pewno nie tego. Cricket Bell uważa, że jestem fantastyczna. Cricket Bell uważa, że zawsze byłam fantastyczna.

– I mam nadzieję, że to jeszcze nie skomplikuje sytuacji – ciągnie. – Chciałem tylko postawić sprawę jasno. Moim zdaniem jesteś wspaniała i tamto lato, gdy się... przyjaźniliśmy, to najlepszy okres w moim życiu i... i chciałbym, żeby znowu tak było.

Nie mogę zebrać myśli.

– Aha.

– Ale rozumiem, jeśli nie będziesz chciała...

– Nie – wpadam mu w słowo.

– Nie? – Wierci się niespokojnie. Nie wie, co chciałam powiedzieć.

– To znaczy... Nadal możemy się kumplować – tłumaczę powoli. – To byłoby fajne.

Cricket oddycha z ulgą.

– Naprawdę?

– Tak. – Zaskakuje mnie, że to takie oczywiste. No pewnie, że chciałabym, żeby znowu stanowił część mojego życia. Zawsze nią był. Nawet gdy wyjeżdżał, jakaś jego częśćka zostawała na ulicy Castro. Wyczuwałam ją w przestrzeni między naszymi oknami.

– Chciałem ci też powiedzieć, że się zmieniłem – ciągnie. – Już nie jestem taki jak wtedy.

Odwraca się energicznie w moją stronę. Zaskakuje mnie. Potykam się, wpadam na niego, a Cricket upuszcza jeden z kartonów z jajkami. Chwyta go w ostatniej chwili.

– Jezu, przepraszam! – mówię.

Moje ciało płonie tam, gdzie dotknęłam jego klatki piersiowej. I zarazem czuję, że żyję. Co to ma znaczyć, że nie jest już taki, jak wtedy? A jaki?

– Nic się nie stało. – Zagląda do wytłoczki z jajkami. – Wszystkie całe, nie ma sprawy.

– Daj, poniosę. – Wyciągam rękę, ale podnosi pojemnik nad głowę. W życiu go nie dosięgnę.

– Nie trzeba. – Uśmiecha się miękko. – Teraz lepiej panuję nad sytuacją.

Sięgam po drugi pojemnik.

– To chociaż ten mi daj.

Cricket w pierwszej chwili chce unieść też to opakowanie, ale w jego oczach pojawia się smutek. Podaje mi pudełko. Na jego dłoni widnieje napis: „Jaja”.

– Dziękuję – mówi.

Opuszczam głowę. Ktoś narysował na chodniku planszę do gry w klasy, różową kredą.

– Nie ma sprawy.

– Ale musisz mi je oddać. Moja mama wymyśliła sobie jajka faszerowane i wysłała mnie po zakupy. Poważna sprawa.

Cisza.

To jest ta chwila. Wszystko jest w moich rękach – albo sprawię, że wszystko między nami popsuje się na zawsze, albo naprawdę zostaniemy przyjaciółmi. Podnoszę wzrok, coraz wyżej, aż docieram do jego twarzy, i pytam:

– Jak studia?

Cricket zamyka oczy. Na moment, żeby mi pokazać, że jest mi wdzięczny za to pytanie. Chce być częścią mojego życia.

– W porządku – odpowiada. – W porządku.

– Ale jest jakieś ale.

Uśmiecha się.

– Ale minęło sporo czasu, odkąd przebywałem w otoczeniu rówieśników. Chyba trochę potrwa, zanim do tego przywyknę.

– Mówiłeś, że uczyłeś się w domu? Po waszym wyjeździe?

– Tak, przeprowadzaliśmy się tak często, że to było prostsze rozwiązanie, niż w kółko zapisywać nas do szkoły, wiecznie na te same zajęcia. W kółko byliśmy tymi nowymi. Mieliśmy już tego dosyć. No a poza tym dzięki temu mogliśmy dostosować rozkład zajęć do planów Calliope.

Ostatnie zdanie przykuło moją uwagę.

– A twoje plany?

– Och, nie jest tak źle. Cal ma ograniczony czas, póki może, musi dać z siebie wszystko. – Chyba nie wyglądam na przekonaną, bo dodaje: – Jeszcze pięć lat i uwaga całej rodziny skupi się na mnie.

– A dlaczego nie już teraz? Być może jestem egoistką, bo jako jedynaczka...

– Nie, nie, masz rację. – I po raz pierwszym dostrzegam cień zmęczenia na jego czole, w oczach. – Ale to co innego. Calliope ma talent. Byłbym nie w porządku, gdybym nie wspierał jej ze wszystkich sił.

– A jak ona wspiera ciebie? – pytam, zanim zdążę ugryźć się w język.

Cricket uśmiecha się pod nosem.

– Zmywa naczynia. Wynosi śmiecie. W weekend kupuje mi moje ulubione płatki śniadaniowe.

– Przepraszam. – Odwracam wzrok. – Jestem wścibska.

– Nie szkodzi, nie przeszkadza mi to. – Ale nie odpowiada na moje pytanie.

Przez chwilę idziemy w milczeniu, gdy nagle coś mi się przypomina.

– Dzisiaj. Dzisiaj są wasze urodziny.

Błyskawicznie odwraca głowę w drugą stronę.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – Od razu jednak znam odpowiedź na to pytanie.

Wraz ze wspomnieniem ostatniego razu, gdy go widziałam w jego urodziny, powraca gorycz upokorzenia.

Cricket nerwowo bawi się bransoletką.

– Tak. Osiemnaste.

Podejmuję ten wątek, żeby podtrzymać rozmowę.

– Czyli jesteś pełnoletni wobec prawa.

– To prawda. Czuję się już bardzo dojrzały. Z drugiej strony, dojrzałość zawsze była moją cechą.

Tym razem wzdrygam się, słysząc tę autoironię. Fakt, zawsze był bardzo dojrzały, dorosły. Chyba że ze mną.

– Więc... Przyjechałeś do Calliope? – Kiwam głową, ciągle speszona. Upokorzenie nie daje za wygraną. – No jasne, że tak. To też jej urodziny. Zdziwiło mnie, że tu jesteś w sobotni wieczór. Myślałam, że będziesz balował nad zatoką, pijąc piwo i stojąc na rękach.

Drapie się w kark.

– Cał w życiu się do tego nie przyzna, ale niełatwo jest jej się przestawić. No wiesz, że cały czas jest w domu, a ja nie. Nie, że nie przyjechałbym do domu, gdyby nie ona, bo i tak wróciłbym tu dzisiaj. I tak naprawdę byłem na jednej z tych imprez przez grzeczność, ale... nie wiem, czy zauważyłaś. – Cricket poprawia krawat pod szyją. – Nie jestem typem piwosza.

– Ja też nie. – Nie muszę dodawać, że ze względu na Norah. On wie.

– A twój chłopak? – Wyczuwam w jego głosie sztuczną nonszalancję.

Głupio mi, że tak pomyślał, ale nie mogę zaprzeczyć, że Max wygląda na imprezowicza.

– Tak naprawdę wcale dużo nie baluje. Nie za dużo. To znaczy owszem, pije i pali, ale szanuje moje zdanie. Nigdy mnie na to nie namawia ani nic.

Cricket uchyla się i przechodzi pod różową gałęzią. W naszej dzielnicy drzewa

kwitną przez okrągły rok. Ja nie muszę się schylać.

– A co twoi rodzice na to, że spotykasz się z kimś w jego wieku? – pyta.

Krzywię się.

– Szczerze mówiąc, mam już dość tego tematu. Nie jesteś pierwszy, którego to interesuje.

– Przepraszam. – Ale to nie daje mu spokoju. – Więc ile on ma lat?

– Dwadzieścia dwa. – Nie wiem, dlaczego peszę się, gdy to mówię.

Chwila milczenia.

– O rany. – Mówi to powoli, ciężko.

Serce staje mi w piersi. Naprawdę chciałabym się z nim zaprzyjaźnić, ale niby jak to ma wyglądać? Między nami wydarzyło się zbyt wiele, byśmy mogli zostać przyjaciółmi. Powoli wchodzimy na wzgórze, aż dochodzę do domu.

– Cześć, Cricket. – Nie mogę patrzeć mu w oczy. – Wszystkiego najlepszego.

– Lola?

– Tak?

– Jajka. – Wskazuje karton. – Niesiesz moje pudełko.

– Och.

Speszona podaję mu karton. Wyciąga długie palce i łapię się na tym, że czekam na ich dotyk. Na darmo. Łapie pudełko za brzeg, ostrożnie, celowo. Przypomina mi, że nie powinnam z nim przebywać.

I że nie mogę powiedzieć o tym Maksowi.

Rozdział 11

Im więcej myślę o naszej rozmowie, tym bardziej się denerwuję. Cricket mówi, że się zmienił, ale pod jakim względem? Nie boi się mówić, co myśli? W końcu przyznaje, że mnie lubi? A może chodzi o coś innego? Pod koniec tamtego lata coraz bardziej się ode mnie oddalał, aż w końcu zerwał łączącą nas więź, nie zapraszając mnie na to cholerne przyjęcie. I nadal nie chce o tym rozmawiać. A teraz znowu chce się kumpłować? Jasne, i następnego dnia wyjeżdża o świcie i nie zjawia się przez dwa tygodnie?

Bomba.

– Lola dzisiaj nie może wyjść się pobawić. – Andy tłucze garnkami i dlatego nie słyszeliśmy, jak Cricket puka do drzwi. Są otwarte, żeby w kuchni było choć trochę chłodniej, bo kiedy włączymy wszystkie piekarniki, robi się bardzo gorąco. – Pomaga mi piec. Mamy ogromne ekspresowe zlecenie.

– Tato, on nie przyszedł się ze mną bawić!

Cricket podnosi pudełko.

– Dostarczyli do nas, a to dla was.

Andy podnosi głowę.

– Dla Loli – uściśla Cricket. Kładzie pudełko na podłodze w przedpokoju. Betsy biega wokół niego jak oszalała. Zawsze za nim przepadała.

– Dzięki – mówię ostrożnie; jeśli na to czeka, słyszy ostrzeżenie w moim głosie. Odstawiam paczkę mąki i oglądam przesyłkę. – Super. To fiszbiny!

– Fiszbiny?

– Do gorsetu – tłumaczy odruchowo Andy. – Lola, wracaj!

Cricket się rumieni.

– Och.

Kolejny punkt dla Andy'ego w dzisiejszej serii gaf; Cricket pochyła się nad Betsy, która natychmiast przewraca się na grzbiet, a ja udaję, że nie zauważam jego rumieńca. Choć nie jestem do końca przekonana, że zasłużył na ten zaszczyt. O brzuchu mojego psa nie wspomnę.

– Do sukni – wyjaśniam.

Cricket kiwa głową, nie patrząc na mnie.

– Alarm kulinarny? – Klepie Betsy po raz ostatni, a potem wchodzi do kuchni, zakasuje rękawy, zdejmuje bransoletki. – Pomóc wam?

– Nie, nie trzeba. – Wpadam w panikę. – Dzięki, damy sobie radę.

– Bierz fartuch, są w górnej szufladzie. – Andy wskazuje szafkę pod ścianą.
– Nie możesz tego od niego oczekiwać – zauważam. – To nie jest jego sprawa.
– Nie oczekuję. – Cricket obwiązuje się długimi tasiemkami białego fartucha. – Sam zaproponowałem.

– No widzisz? – rzuca Andy. – Chłopak ma olej w głowie. W przeciwieństwie do innych znanych mi nastolatków.

Łypię na niego spod zmrużonych powiek. To nie moja wina, że wolałabym spędzić jedyny wolny dzień razem z Lindsey. Ale nie, musiałam wszystko odwołać, wspólne sushi i zakupy w Japantown. Zapytałam, czy chce przyjść i nam pomóc, ale mruknęła tylko:

– Nie, Ned, wielkie dzięki. Znajdę sobie co innego do roboty.

Doskonale ją rozumiem. Choć jeśli nie spotka się ze mną, przez cały dzień będzie oglądała *CSI* albo *Veronicę Mars*. Dla niej to fantastyczna sprawa. Ale mimo wszystko.

– Z dyni trzeba wyjąć pestki, zanim ją uprażę. Pestki i włókna na kompost – dyryguje Andy.

– Dynie. Jasne. – Cricket myje ręce i chwytą największą dynię.

Ponownie zajmuję się odważaniem mąki na dwadzieścia cztery spody. Kiedy piecze się przemysłowo, waga sprawdza się lepiej niż miarka.

– Słuchaj, naprawdę damy sobie radę. Na pewno masz sporo nauki.

– Nie ma sprawy. – Cricket wzrusza ramionami. – A gdzie drugi pan Nolan?

Andy zamyka oczy. Cricket nieruchomieje, dociera do niego, że strzelił gafę.

– Nathan zajmuje się Norah – tłumaczę.

– Wszystko... w porządku? – pyta.

– Najlepszym – syczy Andy.

– Sprawy finansowe – mruczę i podaję Cricketowi nasz największy nóż do krojenia dyni. Wzrokiem przeproszam za Andy'ego. Cricket uśmiecha się lekko. Wie, że zazwyczaj mój ojciec jest zupełnie inny.

Przez następną godzinę ciszę przerywa jedynie głos Andy'ego, gdy udziela nam instrukcji przy pieczeniu. Początkowo zamówienie opiewało na sześć ciast, ale teraz pieczemy po sześć ciast każdego rodzaju: z dynią, wegańskiej szarlotki, gruszkowego z imbirem i z orzechami. Od lat pomagam mu przy pieczeniu, więc nieźle sobie radzę w kuchni, zaskakuje mnie natomiast, jak szybko Cricket się w tym odnajduje. Andy zauważa, że pieczenie to tak naprawdę nauki ścisłe – kwasy i zasady, białka i cukry. I Cricket to łapie. No jasne. Dobry chemik musi być dobrym piekarzem.

Ale dlaczego spędza sobotę w kuchni, choć wcale nie musi? Że niby jest taki fajny?

A może liczy, że się w nim zakocham? Ale nawet nie próbuje ze mną flirtować. Trzyma się z daleka, koncentruje na pracy. Nie do wiary, jak ktoś tak łatwy do przejrzenia jest tak cholernie niezrozumiały.

O dwunastej włącza się brzęczyk. Andy rozgląda się zdumiony.

– Nie jest źle. Damy radę. – I uśmiecha się po raz pierwszy tego dnia.

Uśmiechamy się do siebie z Cricketem nad kuchennym blatem. Andy nastawia w radiu stację grającą przeboje z lat pięćdziesiątych i atmosfera w kuchni się rozluźnia. Cricket kroi jabłka precyzyjnie i rytmicznie, do taktu piosenki *Peggy Sue*, Andy i ja synchronicznie wałkujemy ciasto.

– Moglibyśmy zrobić z tego układ choreograficzny i wystąpić na zawodach łyżwiarskich – rzuca Cricket.

Andy nieruchomieje przy wzmiance o jeździe figurowej. Uwielbia tę dyscyplinę sportu. Jest to – i nie myślcie, że przychodzi mi to z łatwością – jego najbardziej gejowska cecha. Kiedy byłam mała, zabrał mnie na rewię *Gwiazdy na lodzie*. Dopingowaliśmy zawodników i zawodniczki, którzy kręcili najpiękniejsze piruety, zajadaliśmy niebieską wadę cukrową i oglądaliśmy program, pełen fotografii pięknych ludzi w pięknych strojach. To jedno z moich ukochanych wspomnień. Kiedy Calliope zaczęła uprawiać łyżwiarstwo figurowe, ja też zapragnęłam. Choć już się wtedy nie przyjaźniłyśmy, nadal ją podziwiałam, a to oznaczało, że chciałam ją naśladować.

– Jest w porządku – orzekłam po pierwszej lekcji. – A kiedy dostanę strój?

Andy spojrzał na mój różowy trykot.

– Masz go na sobie. Następny dostaniesz, gdy się czegoś nauczysz.

Straciłam zapal.

Rodzice byli wkurzeni. Treningi były drogie, więc uparli się, że mam trenować przez cały sezon. Mogę zatem powiedzieć z doświadczenia, że łyżwiarstwo figurowe jest trudne. Kiedy miałam trzynaście lat, Andy namówił mnie na kolejną rewię na lodzie, ale wtedy już dawno porzuciłam marzenia o potrójnych akslach w tiulowych spódniczkach. Do dzisiaj mam wyrzuty sumienia, że nawet nie starałam się dobrze bawić. Już nigdy więcej tego nie zaproponował.

Andy chyba pytał o Calliope, bo Cricket opowiada o jej planach:

– Ma przed sobą ciężki rok, ze względu na olimpiadę. To oznacza więcej treningów, więcej zawodów, więcej stresu.

– Kiedy będzie wiadomo, czy zakwalifikowała się na olimpiadę? – dopytuje Andy.

– Po pierwsze, musi zająć wysokie miejsce na mistrzostwach kraju w styczniu. W tej chwili pracuje nad nowym programem, chce go pokazać na pierwszych turniejach Pucharu Świata. W tym roku startuje w zawodach w Stanach i Kanadzie, potem

mistrzostwa w USA, olimpiada i mistrzostwa świata. – Wylicza je na palcach.

– Pojedziesz z nią na wszystkie imprezy? – pytam.

– Na większość. Do Kanady pewnie nie. W tym czasie mam sporo zajęć na uczelni.

– Widziałeś już wiele turniejów.

Cricket wyjmuje miękkie dynie z piecyka.

– Tak. A co w tym dziwnego? – pyta z powagą, ale w jego oczach pojawia się błysk. Z trudem powstrzymuję się, by nie rzucić w niego ścierką.

– Jak to jest z Calliope i drugim miejscem? Zaraz po powrocie mówiłeś...

– Cał od lat uchodzi za największy talent wśród kobiet, a jednak w żadnym ważnym turnieju nie udało jej się pojechać dwóch programów pod rząd bezbłędnie. Uważa, że ktoś rzucił na nią klątwę. To dlatego w kółko zmienia trenerów i dlatego woli być trzecia niż druga. Kiedy ma brąz, cieszy się, że w ogóle załapała się na podium. Ale srebro... Tak blisko złota.

Znowu przerywam pracę.

– Fakt, drugie miejsce to przykra sprawa. – Przygląda mi się przez chwilę, po czym ponownie pochyła się nad dyniami.

Andy wałkuje ciasto i z zainteresowaniem słucha naszej rozmowy. Odkłada wałek, strzepuje mąkę z koszulki z napisem „Chwała serom!”

– A co u ciebie, Cricket? Co właściwie studiujesz?

– Mechanikę precyzyjną. Niezbyt fajne, co?

– Akurat dla ciebie – zauważam.

Uśmiecha się pod nosem.

– Fakt.

– To znaczy, chciałam powiedzieć, że, no wiesz, zawsze coś konstruowałeś. Roboty, maszyny...

– Automaty – poprawił. – Takie do niczego nieprzydatne roboty.

Niepokojący jest negatywny ton jego głosu. To u Cricketa Bella rzadka sprawa. Zanim jednak zdążę zareagować, zbywa to śmiechem:

– Ale masz rację, to coś dla mnie.

– Nie znam drugiego człowieka, który potrafi to, co ty – zauważa Andy. – I to w tak młodym wieku. W życiu nie zapomnę, jak naprawiłeś nam toster zwykłym wieszakiem, kiedy miałeś, bo ja wiem? Pięć lat? Rodzice są pewnie bardzo z ciebie dumni.

Cricket wzrusza ramionami. Czuje się nieswojo.

– No.

Andy lekko przechyliła głowę i przez chwilę przygląda mu się uważnie.

Cricket ponownie zajmuje się pracą, co uświadamia mi, że ja także powinnam to

zrobić. Rozgniatam bataty na purée. Monotonna czynność pozwala się wyciszyć. I choć nie podoba mi się, że marnuję wolny dzień, uwielbiam biznes ojca. Wpadł na ten pomysł przypadkiem, gdy upiekł na przyjęcie klasyczny placek ze śliwkami i kruszonką i wszyscy oszaleli. Chyba nigdy wcześniej nie jedli domowego ciasta.

Już na tamtej imprezie ktoś poprosił, żeby upiekł ciasto na następną, na kolejnej znowu ktoś poprosił o więcej ciast na jeszcze inne przyjęcie. W mgnieniu oka rozwinął się cały interes. Nathan żartobliwie mówił o Andym, że to City Pie Guy i nazwa została. Logo to facet w stylu retro, z wąsami, uśmiechem, w fartuchu, z dymiącym plackiem w dłoni.

W miarę jak zbliża się godzina zero, rozmawiamy coraz mniej. Kiedy pakujemy ostatnie ciasta, Andy znowu się denerwuje. Wszyscy ociekamy potem. Ojciec biegnie na dwór, otwiera samochód. Biorę dwa pudełka i ruszam za nim. Układamy je, gdy drzwi ponownie stają otworem.

Andy głęboko nabiera tchu.

Podnoszę głowę i widzę że Cricket trzyma sześć pudeł... po sześć pudeł w jednej ręce. I zbiega ze schodów.

– OBożeBożeBoże – szepcze Andy. Przerazona łapię go za ramię, ale Cricket swobodnie zbiega na podjazd.

– Gotowi? – pyta.

Pudła w jego rękach ani drgną.

Andy milczy przez chwilę, a potem parska śmiechem.

– Do samochodu.

– Co jest? – dziwi się Cricket, gdy mój ojciec odchodzi.

– Następnym razem może weź mniej, zbiegając ze schodów?

– Och. – Uśmiecha się.

– Byłby z ciebie świetny cyrkowiec. Na przykład zongler.

Zerka na swoje nogi.

– Nie musiałbym nawet kupować szczudeł.

Wyczuwam okazję do zadania pytania, które chodzi mi po głowie, ale ciągle się waham.

– Mam nadzieję, że to nie jest niegrzeczne...

– Czyli na pewno jest.

Mówi to z uśmiechem, więc brnę dalej.

– Ile ty właściwie masz wzrostu?

– Och, kwestia mojego wzrostu. – Cricket zaciera ręce. Dzisiaj widnieją na nich równania. – Metr dziewięćdziesiąt trzy. – Znowu się uśmiecha. – Nie licząc włosów.

Parskam śmiechem.

– A przez to, że jestem chudy, wydaję się jeszcze wyższy.

– I te obcisłe spodnie – dodaję.

Cricket prycha pod nosem.

O Boże drogi, czemu ja to powiedziałam?

Wraca Andy, klepie go po plecach i ponownie, na szczęście, zajmujemy się pakowaniem ciast. Siadam na tylnym siedzeniu, żeby je przytrzymać. Cricket idzie w moje ślady i choć wcale nie musi z nami jechać, oczywiście wydaje się, że będzie nam towarzyszył. W naszej dzielnicy są, jak zwykle korki, kiedy w końcu się z nich wydostajemy, Andy szybko jedzie na Russian Hill, mija widoczne w oddali Alcatraz i tramwaje, skręca w jedną z najdroższych okolic San Francisco.

Znajdujemy miejsce do parkowania w dolnej części najszynniejszego odcinka Lombard Street, położonej na wzgórzu i wijącej się zakosami, aż zasłynęła jako najbardziej pocięta ulica w Ameryce. Wzdłuż wąskiej zygzakowatej uliczki uwagę zwracają krawężniki z czerwonej cegły i barwne kwiaty. Bierzymy ciasta – ze zdumieniem obserwuję, jak Andy ufnie powierza Cricketowi gigantyczną stertę pudeł – i biegniemy pod wskazany adres, dwie przecznice dalej.

– Dziesięć minut po czasie. – Drzwi otwiera nam surowa kobieta z włosami zaczesanymi do tyłu. – Postawcie tutaj. Wytrzymaj buty – rzuca do Cricketa, gdy przekracza próg, nie widząc niczego zza sterty pudeł.

Cofa się, wyciera buty, idzie do przodu.

– Znowu syf – burczy kobieta.

Patrzę na dywan. Cricket nie naniósł brudu. Powtarza całą procedurę jeszcze raz, a potem kładzie stertę pudeł na stole, obok kolekcji kryształowych karafek w jadalni. Kobieta łypie na nas groźnie, jakby nie podobało jej się, to co widzi. Jakby nie chciała, żeby nastolatki miały jakikolwiek wkład w jej przyjęcie. Stoimy w niezręcznym milczeniu, gdy wypisuje Andy’emu czek. Ojciec składa go wpół i wsuwa do kieszeni.

– Dziękuję. – Zerka na nas i mówi dalej: – Więcej proszę się do mnie nie zgłaszać. Nie będę dla pani pracował.

I wychodzi.

Kobietę zamurowało z oburzenia. Brwi Cricketa wędrują aż pod linię włosów, a ja z trudem powstrzymuję śmiech, gdy mijamy ją gęsiego w drodze do drzwi.

– Wiedźma – syczy Andy, gdy jesteśmy już na zewnątrz. – Tyraliście dla niej przez cały dzień.

Cricket patrzy na siebie krytycznie.

– Trzeba było ukryć tatuaże gangu.

– Ja tam nie wpuszczę cię do domu – burczy Andy.

Brzuch boli mnie ze śmiechu.

– A skoro o wyglądzie mowa. – Cricket patrzy na mnie. – Już prawie zapomniałem, jak naprawdę wyglądasz.

Natychmiast przestaję się śmiać. Kiedy rano Andy mnie obudził, nie było czasu na kombinowanie, więc założyłam dzinsy i zwykłą czarną koszulkę Maksa. Jestem bez makijażu, moje włosy zwisają smętnie. Nie sądziłam, że dzisiaj zobaczy mnie ktoś spoza najbliższej rodziny.

– Och. – Krzyżuję ręce na piersi. – Tak, to właśnie ja.

– Masz rzadką okazję zobaczyć Lolę sauté – mówi Andy.

– Wiem. – Cricket kiwa głową. – Poza pierwszym wieczorem po powrocie nie udało mi się ta sztuka.

– Lubię wyglądać inaczej.

– I to jest w tobie fajne – przyznaje. – Ale najfajniejsza jesteś prawdziwa.

Peszę się tak bardzo, że nie wiem, jak odpowiedzieć. Droga do domu jest nie do wytrzymania. Andy i Cricket zapełniają ciszę rozmową, ja wbijam wzrok w okno i staram się nie myśleć o chłopcu obok mnie. Zajmuje sobą tyle przestrzeni. Jego długie ręce i chude nogi. Kuli się, żeby nie uderzać głową w sufit, ale i tak dotyka go czupryną.

Przysuwam się do drzwi po mojej stronie.

W domu wita nas entuzjastycznie Betsy i słodki zapach pieczonego ciasta. Pochylam się nad Betsy, obejmuję ją, wciągam nosem psi zapach. Tak będzie bezpieczniej. Cricket proponuje, że pomoże przy sprzątanii, ale Andy dziękuje mu i sięga po portfel.

– I tak już nam dzisiaj pomogłeś.

Cricket jest zaskoczony.

– Nie dla pieniędzy.

Andy wyciąga rękę z kilkoma banknotami dwudziestodolarowymi.

Cricket wbija dłonie w kieszenie.

– Czas już na mnie. Chciałem tylko przynieść tę przesyłkę. – Wskazuje zaadresowaną do mnie paczuszkę, nadal leżącą na podłodze w przedpokoju.

Na twarzy Andy'ego maluje się przerażenie.

– Dzwoniłeś do rodziców? Wiedzą, gdzie jesteś?

– Wszystko w porządku, mieli sporo planów z Cal. Pewnie nawet nie zauważyli, że mnie nie ma.

Ale Andy nie jest przekonany. Coś nie daje mu spokoju.

– Na razie. – Cricket kładzie dłoń na klamce.

Andy robi krok do przodu.

– A może w przyszłą niedzielę wybierzesz się z nami do lasów Muir? Jedziemy na piknik. Byłbym zaszczycony, jeśli do nas dołączysz. Przynajmniej tyle możemy zrobić.

Lasy Muir? Piknik? Co on plecie?

– Och. – Cricket zerka na mnie niespokojnie. – Dobrze.

– Bomba! – oznajmia Andy i zaraz zaczyna planować kosze piknikowe i kanapki z awokado, a mój umysł pracuje w przyspieszonym tempie. Po pierwsze, po raz pierwszy słyszę o tej wyprawie. Po drugie... Max.

– A co z niedzielnym lunchem? – wpadam mu w słowo. Betsy wierci się niespokojnie, gdy obejmuję ją mocniej.

Andy wraca do mnie wzrokiem.

– Jutro, jak zawsze.

– A w przyszłą niedzielę?

– Och – mruczy, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy, choć to nieprawda. – Po prostu go odwołamy.

Jestem w szoku, gdy Cricket żegna się i wychodzi. Rodzice w życiu nie zaprosiliby Maksa na taką wyprawę. Maksa, który jest moim chłopakiem. A Cricket to... nawet nie wiem, kim dla mnie jest! Jak mam to wyjaśnić Maksowi? Nie mogę mu przecież oznajmić, że jedziemy na wycieczkę z Cricketem! Otwieram usta, ale jestem zbyt wściekła, by coś powiedzieć.

Andy z westchnieniem zamyka drzwi.

– Nie mogłabyś umawiać się z kimś takim?

Rozdział 12

Co powiedział? – dopytuje Lindsey. – Jezu, toż to pocałunek śmierci.

– No właśnie. Jakbym miała się z nim umówić tylko dlatego, że mój ojciec chciałby, żebym z nim chodziła.

– Jakbyś w ogóle miała się z nim umówić, koniec, kropka.

– No... tak. Tak.

Przeciągająca się cisza w słuchawce.

– Lolu Nolan, proszę, nie mów mi, że Cricket Bell nadal chodzi ci po głowie.

– Skądże! – Bo nie chodzi. Absolutnie nie.

– Przecież złamał ci serce. Nie widziałaś go przez dwa długie lata. Pamiętasz ten list na szesnaście stron, który zakopałaś u mnie w ogrodzie? I uroczysty pogrzeb morski różowego kapsla na Ocean Beach?

Tak, pamiętam.

– A twój chłopak? O nim też pamiętasz? O Maksie?

Spod zmarszczonych brwi patrzę na jego zdjęcie przy łóżku. Odpowiada równe gniewnym spojrzeniem.

– Tak, o moim chłopaku, który zostawia mnie i wyrusza w trasę.

– Wcale cię nie zostawia. Nie dramatyzuj, Ned.

A jednak. Rano oznajmił, że Johnny załatwił im występ w Południowej Kalifornii. Na moje szczęście na przyszłą sobotę wieczorem, więc i tak nie zdążyłyby na lunch z rodzicami. Przynajmniej nie musiałam wymyślać pretekstu, dlaczego go odwołujemy.

– Dosyć rozmów o facetach – stwierdzam. – Nie możemy po prostu obejrzeć tego serialu?

Jeśli chodzi o telewizję, zgadzamy się z Lindsey co do jednego typu programów – seriali kryminalnych, w których bohaterowie noszą fantastyczne przebrania. *Alias*, *Pushing Daisies*, *Dollhouse*, *Charlie's Angels* i *The Avengers* to nasze ulubione. Lindsey zgadza się ochoczo i do końca tygodnia nie rozmawiamy o żadnym facecie. Ale ja nie przestaję o nich myśleć.

Mój chłopak. Cricket. Mój chłopak. Cricket.

Jak Andy mógł postawić mnie w takiej sytuacji? Jak mógł ot, tak wymyślić jakiś durny rodzinny piknik? Jestem wściekła, mam wrażenie, że odkąd wróciła rodzina Bellów, wszystkie ważne wydarzenia odbywają się w weekendy. Szkoła zawsze się dłużyła, ale teraz to niekończący się koszmar.

A praca? Litości. Straciłam rachubę, ile razy wydrukowałam nie te bilety, co trzeba, podałam nie te napoje, sprzątałam nie w tej sali. Nawet Anna, moja pogodna zwierchniczka, jedna z nielicznych osób, które uważam za przyjaciół, w sobotę traci cierpliwość, gdy wracam z przerwy obiadowej spóźniona dwadzieścia minut.

– Gdzieś ty była? Myślałam, że tu zwariuję. – Wskazuje tłum w foyer, podaje klientowi resztę, drukuje następny bilet.

– Przepraszam, straciłam poczucie czasu. Widzisz, jutro jest...

– Wczoraj było to samo. Zostawiłaś mnie w najgorszej chwili. W foyer kłębiło się z sześćdziesiąt osób, wszyscy z wrzeszczącymi bachorami i fatalnymi fryzurami, jedna baba zasmarkowała mi całą szybę, celowo, a ty...

– Przepraszam cię, Anno.

Zrezygnowana macha ręką, jakby nie chciała tego dłużej słuchać, a mnie jest coraz bardziej głupio. Poszłam do tureckiej kafejki po zamówione jedzenie i zagubiłam się w myślach. Kiepsko ze mną.

Kiedy po pracy Andy zabiera mnie do domu, u Bellów jest ciemno. Czy Cricket przyjechał? Zasłony w jego pokoju ani drgną. Czy jeśli jutro nie przyjdzie, poczuję się lepiej? Czy gorzej?

Planuję strój. Jeśli już ma do tego dojść, muszę wyglądać lepiej, niż podczas naszego ostatniego spotkania, ale nie za dobrze. Nie chcę go zachęcać. Decyduję się na koszulkę w biało-czerwoną kratkę (słodka) i dzinsy (nudne). Rano jednak dochodzę do wniosku, że to beznadziejne, i zmieniam koszulkę dwu-, a spodnie – trzykrotnie.

Koniec końców decyduję się na biało-czerwoną sukienkę wiązaną na szyi; uszyłam ją z obrusu na zeszłoroczne święto 4 Lipca. Do tego jasnoczerwona szminka i mikroskopijne kolczyki w kształcie mrówek, na cześć celu wycieczki, i ciężkie glany, bo przecież będziemy dużo chodzić. To jedyne buty, jakie mam, które choć w przybliżeniu podchodzą pod określenie: sportowe. Wygładzam sukienkę, prostuję się i schodzę na parter.

Pusto.

– Halo?

Cisza.

Zwieszam ramiona.

– Po co komu schody, skoro nikt nie podziwia mojego wejścia?

Za moimi plecami rozlega się zdyszane:

– Cześć.

Odwracam się na pięcie i widzę Cricketa Bella. Siedzi w kuchni. Nie wiadomo dlaczego na jego widok tracę oddech.

– Ja... nie wiedziałam, że tu jesteś.

Cricket wstaje i mało brakowało, a przewróciłby krzesło, choć zazwyczaj jest bardzo zwinny.

– Piłem herbatę. Twoi rodzice pakują samochód. Dawali ci jeszcze trzy minuty. – Zerkam na zegarek. – Właściwie zostało ci trzydzieści sekund.

– Och.

– Miałaś dobre wejście – stwierdza.

Do pokoju wpada Nathan.

– No, jesteś wreszcie! Zostało ci dwadzieścia sekund! – Zamyka mnie w objęciach, zaraz jednak odsuwa i mierzy wzrokiem. – Zdawało mi się, że rozumiesz, że jedziemy na łono przyrody.

– Ha, ha, ha.

– Sukienka? I te buty? Nie uważasz, że powinnaś włożyć coś mniej...

– Nie warto nawet zaczynać. – Andy zagląda do pokoju. – Chodźcie, jedziemy.

Idę za nim, żeby nie słuchać komentarzy Nathana. Cricket trzyma się kilka kroków za mną. W bezpiecznej odległości.

Ciekawe, czy patrzy na mój tyłek.

Skąd ta myśl? Od razu wydaje mi się, że mój tyłek jest ogromny. Może patrzy na moje nogi. Lepiej? Czy w ogóle chcę, żeby na mnie patrzył? Przytrzymuję dół sukienki, wsiadając do samochodu. Przesuwam się. Tak, na pewno patrzy na mój tyłek. Na pewno. Jest wielki i jest tuż-tuż. Wielki.

Nie. Odbija mi.

Zerkam na niego. Uśmiecha się i zapina pas bezpieczeństwa. Rumienię się.

Co się ze mną dzieje?

Cricket jak zwykle swobodnie gawędzi z moimi rodzicami. Im bardziej oni są wyluzowani, tym bardziej ja spięta. Zbliżamy się do mostu Golden Gate, jedziemy od... bo ja wiem... piętnastu minut? Jak to możliwe?

– Lola, jesteś bardzo cicha – zauważa Nathan. – Wszystko w porządku?

– Czy to choroba lokomocyjna? – Martwi się Andy. – Już od lat ci nie dokuczała.

– Jeszcze nawet nie wyjechaliśmy z miasta. Nie, to nie jest choroba lokomocyjna.

Szok. Cisza.

– A może jednak – kłamię. – Przepraszam. Do tego jeszcze głowa mnie boli. – Nie do wiary. Wrzeszczę o chorobie lokomocyjnej pół metra od Cricketa Bella.

Oddychaj głęboko, oddychaj głęboko. Poprawiam sukienkę, ale materiał lepi mi się do nóg i niechący pokazuję Cricketowi udo. Tym razem widzę, że patrzy. Bawi się bransoletkami na przegubie. Odnajduje mój wzrok.

Gumka na jego przegubie pęka, uderza w przednią szybę.

Nathan i Andy odwracają się przerażeni, ale wybuchają śmiechem, gdy widzą, co się stało.

Cricket kuli się speszony.

– Bardzo przepraszam!

A ja odczuwam dziwną ulgę, że nie tylko ja odchodzę w tym samochodzie od zmysłów.

Rozdział 13

Choć od ostatniego pikniku minęło wiele lat, wkraczając do lasu Muir, mam wrażenie, że znalazłam się w bajce. Jestem pewna, że to zaklęty las. Wśród drzew czają się nimfy, a muchomory kuszą śmiertelników czerwonymi nakrapianymi kapeluszami. Sekwoje działają na mnie tak samo jak księżyc. Są równie stare. Wiekowe, piękne, mądre.

Właśnie tego mi teraz trzeba.

Droga do Muir była niespokojna, ale minęła szybko. To w końcu tylko czterdzieści minut od domu. Przez pewien czas szliśmy razem, ale potem się rozdzieliliśmy. Nathan i Andy, Cricket i ja. Mamy się spotkać przy samochodzie za kilka godzin, a ponieważ to Cricket, nie Max, rodzice nawet nie proszą, żebym się meldowała. Gdybym nie wiedziała lepiej, podejrzewałabym, że chcą nas wyswatać.

Zaraz, zaraz. Czyżby naprawdę chcieli nas wyswatać?

Nie, przecież wiedzą, że mam chłopaka. Zresztą Nathana przeraża myśl, że miałabym się z kimkolwiek spotykać. Nie, na pewno postrzegają Cricketa jako godnego zaufania przyjaciela, którym zresztą jest... prawda?

– Mogę to zjeść przy tobie? – pyta Cricket niespokojnie.

Siedzimy nad strumykiem, który przecina las, a przy nas stoi kosz piknikowy. Cricket bierze do ręki kanapkę, którą przygotował dla niego Andy – z wędzonym łososiem, białym serkiem i kawałkami awokado.

– Oczywiście, dlaczego nie?

Wskazuje mojego wrapa z humusem.

– Nadal jesteś wegetarianką, prawda?

– Och tak, ale nie przeszkadza mi, kiedy inni jedzą mięso, po prostu nie wyobrażam sobie, że sama miałabym się do tego zmusić. – Milknę na chwilę. – Dzięki, że zapytałeś. Większość ludzi nie zwraca na to uwagi.

Cricket odwraca się w stronę szemrzącego strumyka i prostuje długie nogi. Ma na sobie sfatygowane spodnie; sprane prążki, powyciągane nitki. Zważywszy na jego styl, nadają się na wycieczkę na łono natury. Po raz kolejny podziwiam jego wyczucie odzieżowe.

Jezu, ależ ma gust.

– Po prostu nie chciałem cię urazić. – Odkłada kanapkę, skubie ziarenka maku na bułce. – No wiesz, jeszcze bardziej.

Gula staje mi w gardle.

– Cricket, nigdy mnie nie uraziłeś.

– Ale zraniłem. – Mówi coraz ciszej. – I bardzo tego żałuję.

Słowa padają, zanim zdążę ugryźć się w język.

– Byliśmy ze sobą tak blisko, a ty nagle mnie zostawiłeś. Czułam się jak idiotka. Nie pojmowałam, co się stało.

Przestaje bawić się ziarenkami maku.

– Lola... muszę ci coś powiedzieć.

Moje serce przyspiesza nagle, boleśnie.

– Co?

Cricket odwraca się do mnie całym ciałem.

– Kiedy wtedy, tamtego wieczoru, po raz ostatni rozmawialiśmy przez okno – zaczyna – widziałem, że coś jest nie tak. Widziałem, że jesteś urażona, choć wydawało mi się, że to ja miałem powody, by się tak poczuć. Ale do tego stopnia byłem poruszony informacją o przeprowadzce, że dopiero po kilku tygodniach wszystko sobie poukładałem.

Odsuwam się od niego. Niby dlaczego to on miał się poczuć urażony? Przecież to on mnie odepchnął. Wykluczył.

Bolesna cisza trwa, gdy nerwowo wygina palce.

– Moja siostra okłamała cię. Nie miałem pojęcia o przyjęciu, póki nie wróciłem do domu i goście wyskoczyli z ukrycia, krzycząc: Niespodzianka! Cal powiedziała, że cię zapraszała, ale nie chciałaś przyjść. Uwierzyłem jej. Dopiero później zrozumiałem, że było ci przykro, bo cię nie zaprosiła.

Wzbiera we mnie gniew.

– Ale dlaczego?

Peszy się.

– Nie chciała mi powiedzieć, ale to chyba jasne. Twierdziła, że chciała zrobić coś dla mnie, urządzić przyjęcie, nie dla niej, nie dla nas obojga, ale tylko dla mnie. Czasami bliscy... mnie nie zauważają. Ale zrobiła to ze strachu, bo bała się, że mnie straci.

– Chcesz powiedzieć, z zawiści, bo jest wredna. – Zaskakuje mnie gniew moim głosem.

– Wiem, że tak się może wydawać, ale nie, nie jest taka. I jednocześnie jest. – Cricket kręci głową. – Zawsze byliśmy tylko we dwoje. Sport pochłania ją bez reszty. Bała się, że o niej zapomnę. Zresztą to też moja wina; pozwalałem jej na to, bo też miałem tylko ją.

– Nie, nieprawda.

Wbija wzrok w swoje dłonie. Skreślił to, co tam wcześniej napisał, widzę tylko czarną kreskę.

– Posłuchaj, Lola, tamtego wieczoru byłaś jedyną osobą, na której obecności mi zależało. Szalałem za tobą, ale nie wiedziałem, co robić. Byłem jak sparaliżowany. Tyle razy chciałem wziąć cię za rękę... i nie mogłem. Ten jeden mały gest wydawał mi się niemożliwy.

Teraz i ja wbijam wzrok w dłonie.

– Pozwoliłabym ci na to.

– Wiem. – Głos mu się łamie.

– Miałam dla ciebie prezent.

– Na pewno byłbym nim zachwycony, nieważne, co by to było. – Wydaje się załamany, i to sprawia, że i ja czuję się okropnie. – Też miałem coś dla ciebie.

– W twoje urodziny? – To cały on. Kolejne bolesne ukłucie w piersi.

– Skonstruowałem urządzenie, które mogłoby przemieszczać się między naszymi oknami i przenosić liściki albo drobiazgi. Nieważne. Teraz to brzmi głupio, jak coś, co wymyślił mały dzieciak.

Nie, wcale nie.

– Miało być gotowe na twoje urodziny, ale chciałem, żeby było doskonałe. Tak przynajmniej sobie wmawiałem. Tak naprawdę odwlekałem tę chwilę i wszystko spieprzyłem. Wszystko.

Rozwijam mój wrap z humusem.

– To Calliope wszystko spieprzyła,

– Nie. Nie stanowiłaby problemu, gdybym powiedział ci, co czuję. Ale tego nie zrobiłem, nawet gdy już wiedziałem, że wyjeżdżamy...

– Wiedziałaś, że wyjeżdżacie? – Zaskakuje mnie. Nie wiadomo dlaczego, ta informacja wydaje się jeszcze gorsza niż zachowanie Calliope. Jak mógł to przede mną ukrywać?

– Nie mogłem ci powiedzieć. – Kuli się, nieszczęśliwy. – Bałem się, że mnie zostawisz. I cały czas miałem nadzieję, że jednak nie wyjedziemy, ale tamtego wieczoru wszystko było już jasne.

Czeka, aż na niego spojrzę. W końcu to robię. Przytłacza mnie smutek, nie wiem już, co myśleć. Wolałabym, żeby już umilkł, ale Cricket mówi dalej:

– Powiem to jeszcze tylko raz. Jasno, żeby nie było nieporozumień. – Patrzy na mnie pociemniałymi oczami. – Podobasz mi się. Zawsze mi się podobałaś. Nie mógłbym wrócić do twojego życia i tego ukrywać.

Zaczynam płakać.

– Cricket... ja... ja mam chłopaka.

– Wiem. Kiepska sprawa.

Zaskakuje mnie tym. Parskam śmiechem. Cricket podaje mi chusteczkę.

– Sorry – rzuca. – Może nie powinienem tego mówić?

– Nie, skądże.

– Na pewno?

– Na pewno.

Śmiejemy się razem, gdy ścieram czarne od tuszu łyzy, ale dalej jemy w bolesnym milczeniu. Siedzimy blisko, za blisko, za daleko, za blisko. W lesie jest cieplej, niż powinno. Mam gonitwę myśli. „Zawsze mi się podobałaś”. Jak wyglądałoby moje życie, gdybym nigdy w to nie zwątpiła?

I tak wyjechałby na drugi koniec kraju.

„Zawsze mi się podobałaś. Zawsze mi się podobałaś. Zawsze mi się podobałaś”.

Może jednak nie stracilibyśmy kontaktu ze sobą. Może nawet do tej pory bylibyśmy razem. A może znudziłby mi się szybko. Czyżbym miała na jego punkcie obsesję tylko i wyłącznie ze względu na dramatyczną przeszłość? Dlatego że był moją pierwszą miłością? A może chodzi o coś więcej?

Wyciera złociste jabłko o rękaw koszuli. Jabłko. Pokusa.

– Pamiętasz, jak zbudowałem ci windę? – pyta nagle.

Uśmiecham się blado.

– Jak mogłabym zapomnieć?

– To był mój pierwszy pocałunek.

Poważnieję.

– Teraz jestem w tym lepszy. – Kładzie jabłko koło mnie. – W całowaniu. Tak tylko ci mówię.

– Cricket...

Patrzy mi w oczy ze smutnym uśmiechem.

– Nie bój się, możesz mi zaufać.

Staram się znowu nie rozplakać.

– Wiem.

Mimo tej komplikacji – świadomości, że i wtedy, i teraz mu się podobam, że nigdy nie chciał mnie skrzywdzić – dymna zasłona między nami unosi się, gdy idziemy przez las. Atmosfera jest napięta, ale czysta. Czyżbym była aż taką egoistką? Czy chodziło mi

tylko o to, by poczuć się pożądaną? Ale kiedy przyglądam mu się w drodze do domu... nie sposób nie zwrócić uwagi na jego oczy.

Niebieskie oczy mają coś w sobie.

Zwłaszcza tak niebieskie, że ilekroć spojrzysz w ich stronę, zaskakuje cię ten kolor. Tak niebieskie, że chcesz patrzeć w nie bez końca. Nie szaroniebieskie czy zieloniebieskie, po prostu niebieskie.

Cricket ma takie oczy.

I jeszcze jego śmiech. Już zapomniałam, jaki jest beztroski. We czwórkę śmiejemy się z jakiegoś drobiazgu, takim śmiechem, który zjawia się, gdy człowiek jest zmęczony. Cricket mówi kawał, patrzy na mnie, żeby zobaczyć, czy się śmieję, czy uważam, że jest zabawny, i chcę, żeby wiedział, że tak, żeby wiedział, że cieszę się, że jest moim przyjacielem, żeby wiedział, że jest najbardziej wielkodusznym człowiekiem, jakiego znam. I chcę położyć mu rękę na piersi i poczuć pod nią bicie jego serca, by upewnić się, że naprawdę tam jest.

Ale nie możemy się dotykać.

Wszyscy znowu się śmieją, choć nie wiem dlaczego. Cricket znowu obserwuje moją reakcję i nie panuję nad sobą, parskam śmiechem. Widzę, jak jaśnieją mu oczy. Muszę spojrzeć w drugą stronę tak bardzo się do niego uśmiecham. Dostrzegam wzrok rodziców w lusterku. Uśmiechają się inaczej, jakby znali tajemnicę, o której my nie mamy pojęcia.

Ale to nie tak. Wiem, co to za tajemnica.

Opuszczam ociężałe powieki. Wyobrażam sobie, że wyciągam rękę i dotykam jego dłoni, tylko jednej dłoni. Powoli, leniwie zaciśnię palce na moich. Dotyk jego skóry jest niezmierny. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie czułam.

Z rozmarzenia wyrывa mnie dopiero jego głos.

– Kto to? – pyta sennie.

Niektórzy twierdzą, że przecucie podpowiada im, że zaraz wydarzy się coś złego, na krótko przed samym wydarzeniem. Jego pytanie budzi złe przecucia, choć sama nie wiem dlaczego. Powiedział to bardzo niewinnie. Być może dociera do mnie ogłuszająca cisza na przednim siedzeniu. Otwieram oczy, gdy hamujemy przed domem. I okazuje się, że przecucie mnie nie zawiodło. Nigdy mnie nie zawodzi.

Bo na ganku śpi moja biologiczna matka.

Rozdział 14

Skóra i kości. Nie widziałam Norah od kilku miesięcy. Nie wiem, jak to możliwe, ale schudła jeszcze bardziej. Odkąd pamiętam, była za chuda. Teraz, oparta o poręcz na ganku, ze swetrem zwiniętym w kłębek pod głową – wygląda jak sterta suchych gałązek w hipisowskich ciuchach.

Zasnęła tylko? Czy może znowu piła?

Rumienię się ze wstydu. To jest moja matka. Nie chcę, żeby ją rozpoznał, choć to przecież oczywiste, na pewno poskładał kawałki tej układanki, zwłaszcza gdy padło to pytanie. Nathan zeszywniał. Skręca w podjazd, gasi silnik. Nikt nie wysiada. Andy klnie pod nosem.

– Nie możemy jej tak zostawić – stwierdza po minucie.

Nathan wysiada, Andy idzie za nim. Odwracam się na fotelu i widzę, jak ją szturchają, a Norah budzi się natychmiast. Oddycham z ulgą, choć nawet nie wiedziałam, że wstrzymuję powietrze. Wysiadam z samochodu i natychmiast uderza mnie odór niemytego ciała. Cricket jest tuż za mną, mówi coś, ale jego słowa do mnie nie docierają.

To moja matka.

Śmierdzi.

Na moim ganku.

Odsuwam się od niego, wbiegam po schodach, mijam rodziców i Norah.

– Zasnęłam, czekając na was – rzuca gniewnie. – Nie jestem pijana, ale ten drań wyrzucił mnie z domu. – Koncentruję się na kluczu w dłoni, w zamku, na drodze do pokoju. Osuwam się na łóżko, ale ktoś mówi coś o zasłonie, nie chce przestać, więc wstaję, żeby ją zaciągnąć, i wracam na łóżko. Słyszę ich w saloniku.

– Półtora roku? – pyta Nathan. – Mówiłaś, że tylko rok, wydawało mi się, że wszystko ustaliliśmy. Co twoim zdaniem mam...

– Nie potrzebuję twojej pomocy, muszę tylko gdzieś się zatrzymać.

Słyszy ją cała okolica. Mija dziewięć długich minut, zanim w końcu milknie. Wpatruję się w zegarek na wyświetlaczu.

Dzwoni Lindsey. Widzę, że to ona, ale nie odbieram.

Kiedy byłam małą, myślałam, że moi rodzice to po prostu przyjaciele, którzy razem mieszkają, i wymyśliłam sobie, że my z Lindsey też tak zamieszkamy, jak będziemy duże. Sporo czasu minęło, zanim do mnie dotarło, że sprawy mają się inaczej, ale

wtedy to już nie miało znaczenia. To byli moi rodzice, koniec kropka. Kochali siebie i kochali mnie.

Ale w głębi duszy zawsze czułam cień wątpliwości.

Byłam dobra dla Nathana i Andy'ego, a oni dla mnie. Ale co, jeśli nie byłam dość dobra dla Norah? Wiem, że nie była w stanie zapewnić mi opieki, ale dlaczego nawet nie próbowała? Może to przeze mnie? I dlaczego teraz my, nasza trójka, jej rodzina – nie wystarczamy jej na tyle, by spróbowała wyjść na prostą? Może już nie ląduje na ulicy, ale... Chociaż nie, teraz znowu jest na bruku. Dlaczego nie może być normalnym, odpowiedzialnym, dorosłym człowiekiem?

Mój telefon wibruje. Wiadomość od Lindsey.

„Słyszałam. Mogę jakoś pomóc? Całusy”.

Serce staje mi w gardle. Jak to: słyszała? Jak długo Norah siedziała na ganku? Ile osób ją widziało? Już niemal słyszę, co powiedzą moi znajomi ze szkoły na wieść, że połowę mojego kodu genetycznego zawdzięczam bezdomnej. No jasne. To tłumaczy, dlaczego jest taka popieprzona. Pewnie była ciągle nawalona, kiedy była z Lolą w ciąży. I nawet to nie jest prawdą. Nie połowę moich genów, nie, cały zestaw. Od samego początku byłam do niczego.

Andy puka do drzwi.

– Mogę wejść, Lo?

Nie odpowiadam.

Powtarza pytanie, a gdy dalej milczę, oznajmia, że wchodzi. Uchyła drzwi.

– Och, kochanie. – Głos mu się łamie. Siada na skraju łóżka, kładzie mi rękę na barku i wtedy zalewam się łzami. Bierze mnie na ręce, przytula. Nagle czuję się mała i bezradna. Szlocham mu w mankiet.

– Wstyd mi za nią. Nienawidzę jej.

Obejmuje mnie mocniej.

– Czasami ja też.

– I co teraz będzie?

– Na jakiś czas z nami zamieszka.

Odsuwam się od niego.

– Na jakiś czas? – Poplamiałam mu koszulę czerwonym cieniem do powiek. Usiłuję to zetrzeć, ale delikatnie bierze mnie za rękę. Koszula nie jest ważna.

– Najwyżej tydzień–dwa. Póki nie znajdziemy jej nowego mieszkania.

Wpatruję się w moje czerwone paznokcie, zła, że Norah po raz kolejny doprowadziła mnie do płaczu. Zła, że znowu jest w moim domu.

– Ma nas w nosie. Przyszła tu tylko dlatego, że nie miała gdzie się podziać.

Andy wzdycha ciężko.

– A my nie mamy wyjścia i musimy jej pomóc, prawda?

Na dworze robi się ciemno. Dzwonię do Lindsey.

– Bogu dzięki! Dwie godziny temu dzwonił Cricket, umierałam ze zmartwienia. Wszystko w porządku? Przyjść do ciebie? Jak bardzo źle jest?

Eksplozja w mojej głowie.

– Cricket do ciebie dzwonił?

– Martwił się o ciebie. Ja też się martwię.

– Cricket ci powiedział?

– Zadzwoił do restauracji, podał rodzicom swój numer i poprosił, żeby mi przekazali, żebym się z nim skontaktowała, bo to pilna sprawa.

Zaciskam dłoń na słuchawce.

– Więc jej nie widziałaś? Nie słyszałaś? Nikt, poza nim, ci o tym nie opowiadał?

Lindsey od razu wie, o co chodzi. Jej głos łagodnieje.

– Nie. Niczego nie słyszałam, w sensie, w okolicy. Chyba nikt jej nie zauważył.

Ogarnia mnie ulga, a wraz z nią – smutek i frustracja. Po niemal minucie ciszy Lindsey ponownie pyta, czy chciałabym się u niej zatrzymać.

– Nie – odpowiadam. – Ale jutro może zmienię zdanie.

– Nie była... no wiesz?

Nietrudno się domyślić, o co jej chodzi.

– Pijana? Naćpana? Nie. Ale jest sobą, to wystarczy.

– No cóż – mruczy. – Chociaż tyle.

Ale upokarzający jest już sam fakt, że o to pyta. Mam drugie połączenie. Max.

– Muszę kończyć. – Z duszą na ramieniu przełączam rozmównicę. Przed oczami staje mi koszmarna scena – mój chłopak i Norah na niedzielnym obiedzie. To jeszcze skomplikuje i tak niełatwe stosunki między nim a moimi rodzicami. Co o niej pomyśli? Czy zmieni zdanie o mnie? A co, jeśli... Jeśli zobaczy we mnie coś z niej?

– Tęskniłem – mówi. – Przyjdiesz dzisiaj na koncert?

Zupełnie zapomniałam. Do tego stopnia koncentrowałam się na wczorajszym koncercie, że zapomniałam, że dzisiaj wracają na kolejny występ.

– Och... nie wiem. – Łzy już napływają mi do oczu. Nie, nie, tylko nie to. Nie dzisiaj. Na dzisiaj dość już łez.

Niemal słyszę, jak prostuje się gwałtownie.

– Coś się stało?

– Norah tu jest. Chwilowo z nami mieszka.

Cisza. A potem:

– O kuuurwa – przeciągle, na wydechu. – Przykro mi.

– Dzięki. Mnie też – dodaję.

Śmieje się cicho, ze zrozumieniem. Opowiadam mu wszystko i zaskakuje mnie, jak bardzo to przeżywa.

– Czyli co, oczekuje, że wyciągniecie ją z tarapatów?

Przewracam się na bok, ciągle na łóżku.

– Jak zawsze.

– To bez sensu, że twoi rodzice pozwalają jej się tak wykorzystywać.

Sama nieraz już o tym myślałam, ale nadal nie wiem do końca, czy to prawda. Czy obaj, a zwłaszcza Nathan, jakoś ją do tego zachęcają? A może, gdyby nie oni, byłaby jeszcze bardziej zagubiona?

– Sama nie wiem – odpowiadam. – Poza nami nie ma nikogo.

– Posłuchaj tego, co mówisz. Bronisz ich. Na twoim miejscu byłbym wkurzony. Ba, nie jestem na twoim miejscu, a i tak jestem wkurzony.

Jego gniew podsyca moją irytację. Coraz łatwiej mi o tym mówić, o wszystkim. Gadamy jeszcze przez godzinę, aż Max musi kończyć, żeby zapakować do furgonetki wszystko, czego potrzebują na koncercie.

– Przyjechać po ciebie? – pyta.

– Tak – odpowiadam.

Ubieram się z gniewem, jakiego nie czułam od lat. Na dnie szafy znajduję sukienkę z czarnego tiulu, której nigdy nie lubiłam. Skracam ją szarpnięciem. Pomarańczowo-żółty makijaż. Czerwona peruka. Sznurowane buty do kolan.

Dzisiaj jestem ogniem.

Zbiegam na parter. Rodzice cicho rozmawiają w kuchni. Nie mam pojęcia, gdzie jest Norah, i nic mnie to nie obchodzi. Otwieram drzwi wejściowe, słyszę głośno:

– Hej! – Za plecami, ale już palę sobą chodnik. Gdzie Max? No gdzie?

– Dolores Nolan, wracaj tu natychmiast! – woła Nathan z progu.

Andy staje za nim.

– Dokąd ty się właściwie wybierasz?

– Na koncert Maksa! – odkrzykuję.

– W takim stanie i w takim stroju na pewno nigdzie nie pójdziesz – oznajmia Nathan. Znajoma biała furgonetka pokonuje zakręt, wjeżdża na nasze wzgórze. Andy klnie, obaj rzucają się do drzwi i tym samym blokują się wzajemnie. Furgonetka hamuje. Johnny Ocampo otwiera przesuwane drzwi.

– Nie waż się wsiąść do tego wozu! – ryczy Nathan.

Podaję Johnny’emu rękę. Podciąga mnie i zasuwa drzwiczki. Wpadam na stojak od keyboardu, gdy furgonetka rusza. Piszczę głośno. Max klnie, widząc smuzkę krwi na moim ramieniu. Samochód znowu hamuje gwałtownie, gdy odwraca się, by się upewnić, że nic mi nie jest.

– Wszystko porządku, jedź już!

Wyglądam przez okno na rodziców na chodniku. Zastygli w niedowierzaniu. A za nimi na schodkach ganku przed lawendowym domkiem siedzą Cricket i Calliope. I wygląda na to, że siedzą tam już bardzo długo.

Odjeżdżamy z rykiem silnika.

Rozdział 15

Niepotrzebnie przyjechałam.

Wieki całe mijają, zanim zespół wszystko poustawia, i przez cały ten czas sterczę sama. Nie wzięłam ze sobą komórki, więc nie mogę zadzwonić do Lindsey. Klub jest zimny i nieprzyjemny. W łazience starałam krew z ramienia, na szczęście to tylko zadrapanie. Głupio mi. Rodzice będą wściekli, Norah nadal będzie w domu, a bliźniaki Bell byli świadkami mojego kolejnego wygłupu. Nie mam siły wspominać wyrazów ich twarzy: gniewu Calliope, urazy Cricketa, szoku rodziców.

Ależ nawarzyłam sobie piwa.

Jak zwykle, myślami wracam do Cricketa Bella. Mam wrażenie, że wycieczka do lasu Muir była w innym życiu. Pamiętam, co wtedy czułam, ale nie pamiętam już jak.

– Lola?

Co? Kto tu jest? Kogo nasłali rodzice? Właściwie dziwne, że nie przyszli sami, tylko...

– Tak nam się zdawało, że to ty. – Anna.

– Czasami trudno to powiedzieć. – I St. Clair.

Trzymają się za ręce, uśmiechnięci. Kamień spada mi z serca. Opieram się o ścianę z czerwonej cegły.

– Dzięki Bogu, że to wy.

– Upiłaś się? – dopytuje się Anna.

Prostuję się, dumnie unoszę głowę.

– Nie. Co wy tu właściwie robicie?

– Przyszliśmy na koncert zespołu Maksa – odpowiada powoli St. Clair.

– Sama nas zaprosiłaś? W zeszłym tygodniu? Pamiętasz? – Anna tylko potęguje moje zmieszanie.

Nie, nie pamiętam. Do tego stopnia martwiłam się wyjazdem Maksa i piknikiem z Cricketem, że, jeśli o mnie chodzi, mogłabym zaprosić naczelną „Teen Vogue” i zapomniałabym o tym na śmierć.

– Oczywiście. Fajnie, że wpadliście – rzucam roztargniona.

Nie dają się nabrać. Koniec końców opowiadam im kolejną intymną część mego życia – historię moich biologicznych rodziców. Anna zaciska dłoń na wisiorze, jakby szklany banan był jej amuletem.

– Przykro mi. Lola, nie miałam pojęcia.

– Mało kto ma.

– Więc Cricket był z tobą, gdy zastaliście ją na ganku? – dopytuje St. Clair.

Te pytania wydają mi się podejrzane. Celowo o nim nie wspominałam. Mrużę oczy.

– Skąd to wiesz?

St. Clair wzrusza ramionami, ale peszy się wyraźnie. Jakby powiedział o jedno słowo za dużo.

– Wspominał, że się gdzieś z tobą wybiera i tyle.

A więc wie.

St. Clair wie, że podobam się Cricketowi. Ciekawe, czy rozmawiali o tym tego wieczoru, czy St. Clair już wie o mojej matce.

– Nie wierzę – rzucam.

– Słucham?

– Cricket ci powiedział. O tym wszystkim, o mojej matce. – Znowu wzbiera we mnie gniew. – Dlatego tu jesteś? Kazał ci tu przyjść, żebyś miał na mnie oko?

St. Clair zaciska usta.

– Nie rozmawiałem z nim od dwóch dni. Zaprosiłaś nas z Anną, więc przyszedliśmy. I nie ma za co.

Mówi prawdę, ale ja już jestem na granicy wybuchu. Anna łapie mnie za ramię i ciągnie za sobą.

– Świeże powietrze – mruczy. – Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Odpycham ją i zaraz robi mi się głupio, gdy widzę jej urażoną minę.

– Przepraszam. – Nie jestem w stanie patrzeć im w oczy. – Masz rację. Sama wyjdę.

– Na pewno? – Wydaje się spokojniejsza.

– Tak. Zaraz wrócę – mamrocę pod nosem.

Spędzam żaloszny kwadrans na zewnątrz. Gdy wracam, klub pęka w szwach. Nie ma nawet gdzie stać. Annie udało się zająć drewniany stołek barowy, jedno z nielicznych miejsc siedzących. St. Clair stoi koło niej i gładzi platynowe pasmo w jej włosach. Anna wsuwa palce w szlufkę jego dzinsów i przyciąga do siebie. Bardzo intymny gest. Głupio mi, że patrzę, ale nie mogę oderwać od nich wzroku.

Całuje ją powoli, głęboko. Nie obchodzi ich, że ktoś ich widzi. A może zapomnieli, że nie są sami. Kiedy w końcu odrywają się od siebie, Anna mówi coś i St. Clair śmieje się bez troski, chłopięco. Nie wiadomo dlaczego, właśnie w tej chwili muszę się odwrócić. Coś w ich miłości sprawia mi ból.

Idę do baru po wodę mineralną, ale Anna znowu mnie woła. Wracam do nich, bez sensu zirytowana ich obecnością.

– Lepiej? – pyta St. Clair bez cienia złośliwości. Wydaje się naprawdę przejęty.

– Tak. Dzięki. I przepraszam za to wszystko.

– Nie ma sprawy. – I kiedy już mam nadzieję, że temat jest zamknięty, dodaje: – Wiem, co to za uczucie, wstydzić się własnego rodzica. Mój ojciec nie jest dobrym człowiekiem. Też nie lubię o nim rozmawiać. Dzięki, że nam zaufałaś.

Zaskakuje mnie jego poważny ton, wzrusza rzadka okazja zajrzenia do jego życia. Anna ściska go za rękę i zmienia temat.

– Już nie mogę się doczekać. – Wskazuje zespół na scenie. Max, z gitarą przewieszoną przez ramię, majstruje coś przy wzmacniaczu. Zaraz zaczną grać. – Przedstawisz nas później, prawda?

Max nawet nie podszedł, żeby ze mną pogadać. Kiepsko mi z tym. Dzisiaj ze wszystkim mi kiepsko.

– Oczywiście. Obiecuję.

– Nie raczyłaś nas poinformować, że jest od nas sto razy fajniejszy. – W jej głosie pojawia się niepewność.

St. Clair, jak to on, ma pewnie na końcu języka kąśliwą odpowiedź; cieszę się, że gdy otwiera usta, Amfetamina zaczyna grać. I nagle słyszeć już tylko mojego chłopaka.

Intensywność bijąca od Maksa jest odzwierciedleniem tego, co sama czuję. Słowa piosenek są na przemian czułe i słodkie, pogardliwe i okrutne. Śpiewa o miłości i zżeraniu, o ucieczce i rozstaniu. To wszystko już było, ale chodzi o to, jak śpiewa. Każde słowo ocieka gorzką prawdą.

Johnny i Craig narzucają agresywny rytm, Max wściekle atakuje gitarę. Piosenki stają się coraz mroczniejsze, jakby nawet widownia była wrogo nastawiona, a kiedy gra bez prądu, zamiast zwykłego lirycznego nastroju pojawia się gniew i cynizm. Odnajduje mój wzrok i przelewa na mnie swój jad. Wiem, że to niewłaściwe, ale to tylko sprawia, że pragnę go jeszcze bardziej. Tłum szaleje. To ich najlepszy występ, jaki widziałam.

Specjalnie dla mnie.

Kiedy skończyli grać, odwracam się, ciekawa reakcji przyjaciół. Anna i St. Clair wydają się zaszokowani. Pod wrażeniem, tak, ale przede wszystkim zaszokowani.

– On jest dobry, naprawdę dobry – mówi w końcu Anna.

– Brał pod uwagę psychoterapię? – pyta St. Clair. Anna szturcha go łokciem. – Au! – Łypię na niego groźnie. Wzrusza ramionami. – To było niesamowite – przyznaje. – Ale chciałem tylko zwrócić uwagę na jego nieokiełznany gniew.

– Jak możesz...

– Idę do łazienki. – Anna wpada mi w słowo. – Błagam, nie zabij mojego chłopaka, kiedy mnie nie będzie. I nie odchodź, póki nie poznam Maksa!

Przebija się ku nam przez tłum. Ludzie klepią go po plecach, zagadują, ale Max widzi tylko mnie, przechodząc obok nich obojętnie. Serce bije mi coraz szybciej. Jest spocony, widzę to po ciemnych odrostach i czarnym T-shircie. Przypomina mi się nasze pierwsze spotkanie i nagle budzi się we mnie zwierzęcy ogień.

Max sztywnieje, biorąc mnie w ramiona. Zauważył St. Claira. Zaciska zęby, mierząc go wzrokiem, ale St. Clair szybko łagodzi sytuację.

– Étienne St. Clair. Moja dziewczyna, Anna – wskazuje ją, znikającą w tłumie – i ja pracujemy z Lolą w kinie. Ty oczywiście jesteś Max.

Mój chłopak się rozluźnia.

– Tak. – Podaje mu rękę i zaraz ponownie skupia się na mnie. – Chodźmy stąd.

Max. Tak, chcę być z Makssem.

– Dzięki, że wpadliście. Pożegnaj ode mnie Annę, dobrze?

St. Clair wydaje się nie na żarty wkurzony.

– Jasne.

Max ciągnie mnie do furgonetki. Otwiera drzwi i ze zdziwieniem widzę, że w środku jest pusto. Wsiadamy.

– Zespół grający po nas pożyczył od Johnny'ego perkusję. Poprosiłem chłopaków, żeby chwilę poczekali z pakowaniem naszych gratów.

Zamykam drzwi, rzucamy się na siebie. Chcę o wszystkim zapomnieć. Całuję go mocno. Odpowiada jeszcze mocniej. Wszystko dzieje się bardzo szybko.

Osuwamy się na ziemię.

Zamykam oczy. W uszach nadal mam jego muzykę. Słyszę trzask zapalniczki, ale otacza mnie nie zapach papierosów, jest inny, słodszy, bardziej lepki. Podaje mi skręta, ale nie chcę. Jego bliskość mi wystarczy.

Max odwozi mnie koło drugiej nad ranem. Zostawiam perukę w furgonetce. Czuję się okropnie. Po raz kolejny dopadają mnie wyrzuty sumienia, gniew i zagubienie. Wchodzę do domu. Rodzice czekają w środku, jakby do tej pory czyhali przy drzwiach. I tak pewnie było. Nastawiam się na gniew.

I tu zaskoczenie.

– Bogu dzięki. – Andy osuwa się na szezlong.

Obaj mają łzy w oczach i ten widok sprawia, że po raz chyba setny tego dnia zaczynam płakać, żałośnie, krępująco szlochać.

– Przepraszam.

Nathan zamyka mnie w żelaznym uścisku.

– Nigdy więcej tego nie rób.

Dygoczę na całym ciele.

– Dobrze. Tak mi przykro.

– Jutro o tym porozmawiamy, Dolores. – Nathan prowadzi mnie na górę. Andy idzie za nami. Zanim zamknę za sobą drzwi, Nathan dodaje: – Śmierdzisz marihuaną. O tym też porozmawiamy.

Otwieram okno i patrzę w nocne niebo.

– Musisz mi pomóc.

Księżyc to ledwie widoczny srebrny przecinek na niebie, ale wiem, że mnie słucha.

Jest czwarta rano. Nie mogę spać, więc opowiadam mu ostatnią dobę.

– Nie wiem, co robić – kończę. – Wszystko dzieje się jednocześnie i wszystko wydaje się nie tak. Co ja mam właściwie robić?

Otwiera się okno Cricketa. Gorączkowo chwytam pierwsze z brzegu okulary, żeby go widzieć. Ma jeszcze bardziej niż zwykle rozczochrane włosy i na wpół zamknięte oczy.

– Nadal rozmawiasz z księżycem? – W jego pytaniu nie ma pogardy, jest tylko ciekawość.

– Głupie, nie?

– Wcale nie.

– Obudziłam cię? Słyszałeś mnie?

– Słyszałem, że coś mówisz, ale nie wiem co.

Oddycham z ulgą. Na przyszłość muszę być ostrożniejsza. Nie umyka mojej uwagi, że fajnie jest wiedzieć, gdy ktoś mówi prawdę.

– Co ty tu robisz? – pytam. – Jest niedziela, powinieneś już być w akademiku.

Cricket milczy. Zastanawia się, co odpowiedzieć. Samochód z głośnym radiem przejeżdża powoli, szukając miejsca do zaparkowania. Kiedy umilkną basy, odpowiada:

– Chciałem się upewnić, że z tobą wszystko w porządku. Czekałem, aż zapali się światło w twoim pokoju. I zasnąłem. – Ma wyrzuty sumienia.

– Och.

– Pojadę rano. – Zerka w głąb swego pokoju i wzdycha. – A dokładnie za dwie godziny.

– No cóż. Wróciłam, cała i zdrowa. Z trudem.

Patrzy na mnie tak intensywnie, że prawi robi mi się nieswojo. Opuszczam wzrok na

przesmyk między naszymi domami i bezdomnego kota, który obwąchuje kompostownik Andy'ego.

– Nie musiałeś – zauważam.

– Pewnie nie. Nie ze mną powinnaś o tym rozmawiać.

– I dlatego dzwoniłeś do Lindsey?

Niespokojnie wzrusza ramionami.

– Dzwoniłeś do niej? Zanim wyjechałeś?

– No, tak. – Kot wskakuje na kontener do recyklingu. Podnosi łeb, błyska w ciemności wielkimi ślepiami. Wzdrygam się.

– Zimno ci – zauważa Cricket. – Powinnaś się położyć.

– Nie mogę zasnąć.

– Lepiej ci? – wyrzuca z siebie. – Max pomógł?

Wstyd mi.

– Nie wiem – odpowiadam cicho.

Milczymy przez dłuższy czas. Odwracam głowę, patrzę na ulicę, księżyc, znowu ulicę. Czuję, że Cricket patrzy na mnie, w gwiazdy, znowu na mnie. Lodowaty wiatr. Chciałabym wejść do domu, ale nie chcę go stracić; nasza przyjaźń znowu wisi na włosku. Sama nie wiem, czego chcę, ale na pewno nie chcę go stracić.

– Cricket?

– Tak?

Odrywam wzrok od nieba, patrzę mu w oczy.

– Przyjedziesz w przyszły weekend?

Opuszcza powieki. Mam dziwne wrażenie, że komuś dziękuję.

– Tak – odpowiada. – Oczywiście.

Rozdział 16

Następnego dnia Nathan budzi mnie wcześniej, żebyśmy mogli porozmawiać, zanim pójde do szkoły. I, jak się domyślam, za karę. Przespałam zaledwie trzy godziny. Ubieram się, zerkam przez zaciągnięte zasłony i widzę, że okno Cricketa jest odsłonięte. Obie torby zniknęły.

Coś boleśnie kłuje mnie w piersi.

Schodzę do kuchni jak na ścięcie. Andy nie śpi – choć nigdy o tej porze nie wstaje. Szykuje jajecznicę. Nathan siedzi już za stołem w jednym z najlepszych garniturów i sprawdza pocztę elektroniczną. Po Norah nie ma śladu. Pewnie śpi na rozkładanej kanapie w gabinecie Nathana.

– Proszę. – Andy podaje mi kubek kawy. Nie lubi, gdy sięgam po kofeinę, więc sprawa jest poważna. Siadamy koło Nathana, który zaraz odkłada komórkę.

– Posłuchaj, Lola, rozumiemy, dlaczego wczoraj wyszłaś – zaczyna.

Nie wierzę własnym uszom. Zwłaszcza że zwrócił się do mnie: Lola, nie: Dolores.

– To jednak nie tłumaczy twojego zachowania – ciągnie Nathan. – Śmiertelnie nas wystraszyłaś.

No, teraz jest mniej więcej tak, jak się tego spodziewałam.

Następuje wykład, którego się obawiałam. Przykry, długi i zwieńczony karą – szlaban na miesiąc. Nie wierzą, kiedy zapewniam, że nie ja paliłam trawę, choć wiedzą, że należała do Maksa, i za żadne skarby świata nie mogę ich przekonać do mojej wersji wydarzeń. Dokładają mi drugą przemowę – o szkodliwości narkotyków. Kusi mnie, by wskazać zamknięte drzwi do gabinetu i mruknąć:

– Hello!

Ale tego nie robię.

Dłuży mi się i droga do szkoły, i wszystkie lekcje. Lindsey usiłuje mnie rozerwać opowieściami o nerwowym pracowniku, którego jej rodzice zatrudnili w restauracji. Jest przekonana, że ukrywa mroczną tajemnicę, na przykład bierze udział w programie ochrony świadków albo wie coś, czego nie powinien, o naszym rządzie. Ja jednak mogę myśleć tylko o jednym – o tym, co będzie wieczorem. Nie pracuję, nie mam randki z Makssem – i nie będę miała, poza niedzielnymi lunchami, przez miesiąc, o ile oczywiście Max w ogóle raczy przyjść w niedzielę. I... nie ma Cricketa.

Cóż, przez najbliższy miesiąc będę miała dość czasu, by popracować nad suknią.

Ta myśl wcale nie poprawia mi humoru. Z gorsetem idzie mi jako tako, zaczęłam

nawet pracę nad peruką, ale rogówka mnie wykańcza. Nie mogę znaleźć dobrego wzorca. Po południu odrabiam lekcje, czatuję z Lindsey i konstruuje podstawę peruki z drutu. Maria Antonina nosiła gigantyczne peruki. Rusztowanie z drutu zapewni odpowiednią wysokość, nie dodając zarazem ciężaru. Później uzupełnię to sztucznymi włosami.

Norah w kuchni rozmawia z Andym. Przywieźli dzisiaj jej rzeczy. Pod kartonowymi pudłami nikną antyki Nathana. Zagracają cały salonik. Roztaczają zapach kadzideł i kurzu. Norah mówi coś cicho. Pogłaśniam muzykę. Nadal jej nie widziałam. Wkrótce to się zmieni, ale odwlekam to, jak tylko mogę. Pewnie do kolacji.

O wpół do siódmej rozlega się dzwonek do drzwi.

Nieruchomieję, zaciskam obcęgi na druciku. Nadstawiam uszu. Cricket?

I wtedy słyszę niski głos Maksa. Upuszczam obcęgi, biegnę na dół. Niemożliwe, nie, nie, nie... A jednak tak. Ba, zrezygnował nawet z nieśmiertelnej czarnej koszulki na rzecz koszuli w prążki z długim rękawem. Spod mankietów wyglądają tatuaże. I włożył okulary, ma się rozumieć.

– Max! – wołam.

– Cześć. – Uśmiecha się do mnie.

Andy jest chyba równie zaskoczony jak ja. Nie ma pojęcia co dalej. Zarzucam Maksowi ręce na szyję. Obejmuje mnie mocno, ale zaraz wypuszcza z ramion.

– Chciałem się upewnić, że dajesz radę – szepcze.

Ściskam go za rękę, nie puszczam. Nie miałam pojęcia, jak bardzo chciałam go znowu zobaczyć, mieć pewność, że między nami wszystko jest w porządku. Nie mam pojęcia, skąd mi przyszło do głowy, że coś miałyby się zmienić poza tym, że wydawało mi się, że wczoraj było inaczej. Przeprasza mojego ojca. Domyślam się, że przychodzi mu to z trudem. Mówi krótko, spokojnie.

– Dziękuję za te słowa, Max. – Andy waha się przez chwilę, wiedząc, co musi teraz paść: – Może zostaniesz na kolacji?

– Dziękuję, bardzo chętnie.

Max wiedział, że rodzice będą mieli mu za złe wczorajszy wieczór, i uprzedził ich, przychodząc do nas z własnej woli. Jest bardzo sprytny.

– Więc to ty jesteś Max.

Max, Andy i ja sztywniejemy, gdy Norah nonszalancko opiera się o framugę drzwi między salonikiem a kuchnią. Choć o wiele młodsza od Nathana, wygląda na starszą od niego o dobre dziesięć lat. Dawniej miała, tak jak on i ja, okrągłą buzię, ale lata narkotyków i alkoholu zmieniły ją nie do poznania. Jest chuda, wyniszczona, jej skóra i włosy zwisają smętnie. Dobrze chociaż, że się umyła.

– Max, to Norah – mówię.

Kiwa jej głową. Wpatruje się w niego pustym wzrokiem.

– Masz tupet, przychodząc tutaj.

Na dźwięk głosu Nathana wszyscy znowu nieruchomieją. Max i ja odwracamy się, cały czas trzymając się za ręce. Nathan stawia aktówkę przy drzwiach. Czuję, jak Max napina mięśnie, ale mówi głosem bez emocji, które, jak wiem, tłamsi w sobie:

– Chciałem przeprosić. Postąpiłem nierozsądnie, zabierając wczoraj Lolę. Była zdenerwowana, chciałem jej pomóc, ale to nie był dobry sposób.

– I tu się z tobą zgodzę. To nie był dobry sposób.

– Tato!

– Nathan – wtrąca się Andy. – Porozmawiajmy w gabinecie.

Czekanie jest koszmarne. W końcu Nathan odrywa wzrok od Maksa i idzie za Andym. Drzwi się zamykają. Oblewam się potem. Puszczam jego dłoń i nagle widzę, że ręce mi dygoczą.

– Mam szlaban na miesiąc.

– O cholera – mruczy.

Od strony kuchni dobiega pogardliwe prychnięcie. Jestem o krok od wybuchu.

– Przepraszam bardzo. – Max wydaje się naprawdę wkurzony. – Nie miałem pojęcia, że ta sprawa dotyczy pani w jakimkolwiek stopniu.

Norah uśmiecha się okrutnie.

– Nie, skądże, co ja mogę wiedzieć o nastolatce, która ucieka z domu i przez chłopaka pakuje się w tarapaty?

– Nie uciekałam – zauważam, a Max dodaje. – Tego już za wiele.

Norah znika nam z oczu, wchodzi do kuchni.

– Czyżby?! – woła przez ramię.

Najchętniej zapadłabym się pod ziemię.

– Przepraszam cię. Za wszystko.

– Nie musisz – rzuca szorstko. – Nie jestem tu ze względu na nich, tylko na ciebie.

Drzwi do gabinetu stają otworem. Nathan, nie patrząc na nas, idzie do sypialni. Andy uśmiecha się sztucznie.

– Kolacja za dziesięć minut.

Nathan zdjął garnitur. Stara się, choć nie za bardzo. Nie miałam pojęcia, że można z taką wrogością podawać komuś lazanię.

– Max, jak koncert w Los Angeles? Nie wiedzieliśmy, że tak szybko wrócisz.

Czy może być gorzej?

– W Santa Monica. Dobrze, dziękuję. Zaproponowano nam dwa kolejne koncerty.

O tak, może być gorzej.

– Chcecie dużo jeździć w trasę? – włącza się Andy. Nie wiem sama, czy w jego głosie więcej sceptycyzmu, czy nadziei.

– Więcej, na pewno. Nie mam zamiaru do końca życia spisywać stanu liczników.

– Więc to twój pomysł na przyszłość? – rzuca Nathan. – Myślisz, że macie realne szanse na sukces?

– Jezu Chryste – mówię.

Nathan unosi ręce pojednawczo. Milczy. Max w milczeniu dusi złość. Norah wpatruje się w okno. Pewnie wołałaby być też wszędzie, tylko nie tu. Grzebię widelcem w lazaniu ze szpinakiem na talerzu.

– Pytałem o koncert – zaczyna Nathan po dłuższej chwili – bo przez to niestety nie mogłeś pojechać z nami na piknik. Wybraliśmy się do lasów Muir z...

– Koszem piknikowym! – wpadam mu w słowo.

Nathan patrzy na mnie triumfalnie. To był test. Sprawdzał, czy Max wie o wyprawie z Cricketem.

– Niewiele straciłeś – zapewniam. – Oczywiście poza pysznym jedzeniem.

Max wyczuwa kłamstwo, choć oczywiście przy rodzicach nie śmie tego powiedzieć. Ale czuję, jak między nami wyrasta mur.

– Wiecie co? – rzucam. – Zmieńmy temat. Porozmawiajmy o Norah.

– Lola – zaczyna Andy.

Norah odwraca głowę w moją stronę, jakbym wytrąciła ją z transu.

– Tak? – Mruga szybko. – Co masz na sobie?

– Słucham?

– Co to jest? Kim dzisiaj jesteś?

Mam na sobie sukienkę z tęczową halką i brokat we włosach splecionych w warkocze. Łypię na nią groźnie.

– Sobą. Jestem sobą.

Norah marszczy brwi z dezaprobatą. Nathan wkracza do akcji.

– Dość tego – rzuca do niej.

– Ależ skąd, ma prawo krytykować moje ciuchy. – Patrzę na jej obwisły sweter, stary łań w kolorze owsianki w zlewie. – Bo to, co ma na sobie, to jest ostatni krzyk mody.

Max uśmiecha się pod nosem.

– No dobrze. – Andy wstaje zza stołu. – Komu ciasta?

– Poczekaj, aż zobaczysz moją kreację na zimowy bal – rzucam do Norah. – Jest wspaniała, bogata i piękna. Oszalejesz, mówię ci.

Norah wraca wzrokiem do okna. Jasne, najpierw mnie atakuje, a teraz czuje się urażona, jakby miała do tego prawo. Max znowu sztywnieje, a Nathan nie może się oprzeć, by znowu mu nie dokuczyć.

– A ty, Max? W czym wystąpisz?

– W smokingu – warczę. – Nie każę mu ubierać się w strój pasujący do mojego.

Max wstaje.

– Na mnie już czas.

Wybucham płaczem. Nathan jest speszony. Max bierze mnie za rękę i prowadzi do drzwi. Wychodzimy na zewnątrz. Mam w nosie, że mam szlaban.

– Ja... Przepraszam.

Tym razem nie mówi, że nie muszę tego robić.

– To było okropne, Lola.

– Wiem.

– Powiedz, Nathan bez problemu zaakceptował ścieżkę kariery Norah? No wiesz, wróżbiarstwo?

Zbiera mi się na mdłości.

– W niedzielę nie będzie tak źle.

– Niedziela. – Max unosi ciemną brew. – Lunch. No tak. – Puszczam moją rękę, wsuwa dłonie do kieszeni. – Mówiłaś poważnie o tym balu?

Zaskoczył mnie. Już setki razy opowiadałam o mojej sukni. Ocieram łzy, zła, że mam do dyspozycji tylko własne palce.

– A co?

– Lola, mam dwadzieścia dwa lata. – Max widzi moją minę i reaguje natychmiast. Tym razem bierze mnie za obie ręce, przyciąga do siebie: – Ale jeśli tak ci na tym zależy, pójdę z tobą. Skoro znoszę te durne obiady, zniosę i durny bal.

Wkurza mnie, że w jego ustach to brzmi jak kara.

Rozdział 17

Ta-dam! – St. Clair wbiega do foyer z egzaltacją cyrkowego magika. Jak zawsze popisuje się przed Anną. Jest czwartek, ma dzisiaj wolne, ale oczywiście i tak tu jest. Choć dzisiaj jest inaczej niż zwykle.

Przyprowadził kogoś ze sobą.

Z Cricketem jest tak, że nie sposób go nie zauważyć, kiedy wchodzi do pokoju. Pierwsze, co się zauważa, to jego wzrost, ale zaraz potem dostrzega się jego energię. Porusza się płynnie, wdzięczne, jak jego siostra, ale też z entuzjazmem, nad którym do końca nie panuje – ciągle rusza rękami, nogami, całym ciałem. Podczas ostatnich kilku spotkań był jakiś przygaszony, ale teraz jest w pełni sobą.

– Anno – oznajmia St. Clair – to jest Cricket.

Cricket góruje nad St. Clairem. Są jak Rocky i Bullwinkle i przyjaźnią się chyba równie długo, co zdradza niewymuszona swoboda między nimi. Pewnie kiedy zaprzyjaźnia się człowiek przesadnie dobry z przesadnie ekstrawertycznym, wygląda to właśnie tak lekko i łatwo.

Anna się uśmiecha.

– W akademiku ciągle się mijamy. Miło w końcu cię poznać.

– I wzajemnie – zapewnia Cricket. – Słyszałem o tobie same dobre rzeczy. Tak naprawdę, gdyby nie fakt, że jest tu z nami twój chłopak, kuśloby mnie, żeby się z tobą umówić.

Anna się rumieni. St. Clair wchodzi za kontuar i obejmuje ją mocno.

– Jest moooja – oznajmia. Para akurat kupująca bilety przygląda mu się podejrzliwie.

– Daruj sobie. – Anna odpycha go ze śmiechem. – Jeszcze cię wyleją, a wtedy do końca życia będę musiała cię utrzymywać, ty draniu.

Do końca życia.

Dlaczego to budzi mój niepokój? Chyba nie zazdroszczę im szczęścia? St. Clair siada, jak zawsze, na kontuarze i już żartują z czegoś innego. Cricket czeka po drugiej stronie szyby. Uśmiecha się. Podaję parze resztę.

– Co cię sprowadza do miasta w środku tygodnia? – pytam.

– Godzinę temu spotkałem St. Claira i mnie namówił. Obiecał, że obejrzymy film – dodaje głośno.

– No tak – mruczy St. Clair. – Film. Chodźmy. – I dalej gada z Anną.

Uśmiechamy się do siebie z Cricketem.

– Chodź. – Wskazuję mu drzwi do naszego kantorka. Do okienka podchodzi facet w koszmarnym swetrze, ale i tak odprowadzam Cricketa wzrokiem. Długie, pewne kroki. W moim sercu wzbiera rozpacz i radość zarazem. Wchodzi do kantorka. Opuszczam wzrok.

– Miłego oglądania – rzucam za koleśiem w swetrze. Cricket czeka za moimi plecami, gdy drukuję kolejne dwa bilety. Nie sposób się skoncentrować, mając go tak blisko. W końcu foyer pustoszeje. Siada koło mnie. Nogawki spodni unoszą się, odsłaniając skarpetki. Niebiesko-fioletowe prążki. I notatka na grzbiecie lewej dłoni: „R12, szampon, pudełko”.

– Jak się masz? – zaczyna i nie jest to kurtuazyjne pytanie.

– Żyję. – Zdejmuję okulary, masuję nasadę nosa.

– Już niedługo się wyprowadzi. – Majstruje coś przy zegarku. – Prawda?

– Prawda, pod warunkiem że skądś skombinuje pieniądze na kaucję i zaakceptuje ją wynajmujący, bo na razie nic z tego.

– Innymi słowy, jutro się nie wyprowadzi. – Krzywi się.

– Sytuacji bynajmniej nie poprawiają zarzuty włamania do ostatniego mieszkania, które zajmowała. – Splatam ręce na piersi. – Chce, żeby właściciel się z nich wycofał, a Nathan się na to nie zgadza. Bo przecież naprawdę to zrobiła.

Mars na jego czole pogłębia się i nagle do mnie dociera, że nie wie o niedawnym aresztowaniu Norah. Opowiadam o tym, bo... i tak wie już o wszystkim innym.

– Przykro mi. – Jest bardzo przejęty. – Mogę ci jakoś pomóc? – Widzę, ile go kosztuje, by nie wyciągnąć do mnie ręki.

– Pudełko? – pytam. Nie mogę dłużej wytrzymać.

Marszczy brwi.

– Słucham?

Wskazuję jego rękę:

– Przeczytaj rozdział 12, kup szampon, ale: pudełko? Co to ma znaczyć?

Prawą ręką odruchowo nakrywa lewą.

– Och. No, muszę znaleźć pudełko.

Czekam, co powie dalej.

Odwraca głowę, odwraca się całym ciałem.

– I znalazłem. W sensie: pudełko. Część rzeczy przenoszę z powrotem do rodziców. W akademiku jest mi za ciasno, a w domu mój pokój jest pusty. Mnóstwo przestrzeni. Na różne rzeczy.

– Rzeczywiście... często wracasz do domu na weekendy.

– Iferieiswięta. – Słowa wysypują się z niego i nagle rumieni się, jakby speszony tym entuzjazmem.

Już chyba żaden temat nie jest bezpieczny. St. Clair przerywa nam w tak idealnym momencie, że chyba podsłuchiwał:

– Ej, wiecie, że Cricket Bell jest spokrewniony z tym Aleksandrem Grahamem Bellem?

– Wie o tym każdy, kto zna Cricketa – odpowiadam.

– Tak? – Anna jest naprawdę zainteresowana. – Super.

Cricket drapie się w kark.

– Taka durna ciekawostka.

– Chyba żartujesz! – krzyczy St. Clair. – To jeden z najważniejszych wynalazców w historii. W historii, rozumiesz! I...

– I nic. – Cricket wpada mu w słowo.

Zaskakuje mnie tym, zaraz jednak przypominam sobie, jak pierwszego wieczoru po jego powrocie pojawił się ten temat i jego reakcję. Coś się zmieniło, ale co?

– Przepraszam za niego. – Anna uśmiecha się do ukochanego. – Ma bzika na punkcie historii.

Nie mogę go nie pochwalić.

– Cricket też jest wynalazcą.

– Nieprawda. – Wierci się niespokojnie. – Bawię się i tyle.

St. Clair jest zachwycony.

– Pomyśl tylko, jesteś potomkiem człowieka, który wymyślił... – wyjmuję komórkę z kieszeni – o, to!

– Nie wymyślił – powtarza Cricket sucho.

– No, nie tę konkretnie – przyznaje St. Clair. – Ale sam pomysł.

– Nie. – Jeszcze nigdy nie wdziałam Cricketa tak bardzo poruszonego. – On w ogóle nie wynalazł telefonu, koniec, kropka.

Nasza trójka mruga niespokojnie.

– Anna nie jarzyć – oznajmia Anna.

– To nie Alexander Graham Bell wynalazł telefon, tylko Elisha Gray. Mój przodek ukradł jego pomysł. Zresztą ten Gray nawet nie był pierwszy. Byli inni, jeszcze zanim Alexander w ogóle przyszedł na świat. Po prostu nie w pełni zdawali sobie sprawę z potencjału tego, co wymyślili.

St. Clair jest zafascynowany.

– Jak to: ukradł jego pomysł?

– Po prostu: ukradł cudzy pomysł, zebrał laury i zarobił fortunę, na którą nie

zasłużył. – Cricket jest wściekły. – Całe dziedzictwo mojej rodziny opiera się na kłamstwie.

No tak. To tłumaczy zmianę.

St. Clair ma wyrzuty sumienia, że niechcący sprowokował Cricketa do wybuchu. Już otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale Cricket kręci głową.

– Przepraszam, niepotrzebnie się uniosłem.

– Kiedy się dowiedziałeś? – pytam cicho.

– Jakiś czas temu. Przeczytałem taką książkę.

Nie podoba mi się wyraz jego twarzy. Przypomina mi się, że ostatnio uparcie nie chce rozmawiać o swoich wynalazkach.

– Cricket... tylko dlatego, że ukradł cudzy pomysł, nie oznacza, że ty...

On jednak zwraca się do St. Claira:

– Kino?

Przyglądamy mu się z Anną niespokojnie, ale St. Clair znowu wkracza do akcji.

– Tak jest, jeśli szanowne panie już nas nie potrzebują, udamy się na seans. – Cricket już idzie do drzwi. O dziwo, serce mi pęka.

Zatrzymuje się nagle, jakby natknął się na niewidzialną przeszkodę.

– Będziesz tu po seansie? – upewnia się.

Mam nagle sucho w gardle.

– Raczej tak.

Zagryza dolną wargę i wchodzi do sali kinowej.

– Ależ mu się podobasz – zauważa Anna.

Układam stosik monet i staram się opanować rozszalałe serce. Co to właściwie było?

– Cricket jest miły. Zawsze taki był.

– Czyli zawsze mu się podobałaś.

Fakt.

Anna wyjmuje spod lady płyn do czyszczenia szyb i ściera plamę, którą St. Clair zostawił na szkle. Poważnieje, pogrążona w myślach.

– Co jest? – pytam. Rozpaczliwie chcę zmienić temat.

– Co? Nic, wszystko w porządku.

– Wcale nie – odpowiadam. – Teraz twoja kolej. No, mów.

– Chodzi o to, że... przyjeżdża moja rodzina. – Odstawia płyn do czyszczenia szyb, zaciska dłoń na butelce. – Znają już Étienne'a z zeszłego roku, z ceremonii rozdania świadectw, i polubili go wtedy, ale moja mama jest przerażona naszym tempem. I dlatego trochę się boję tej wizyty.

Wyjmuję jej butelkę z dłoni.

– A ty? Jesteś przerażona waszym tempem?

Anna rozluźnia się i uśmiecha z rozmarzeniem.

– Skądże.

– Więc wszystko będzie dobrze. – Szturcham ją w bok. – Zresztą sama wiesz, że wszyscy go kochają. Może twoja mama już zapomniała, jaki jest czarujący.

Śmieje się. Do mojego okienka pochodzi następny klient. Drukuję bilet. Odchodzi i Anna znowu się odzywa:

– A u ciebie? Co z Makssem?

Nagle coś sobie uświadamiam.

– O nie! Chciałaś go poznać! A my wyszliśmy!

– Miałaś koszmarny dzień. – Wzrusza ramionami. – Nie przejmuj się tym.

– No tak, ale...

– Nie ma sprawy, naprawdę. Każdemu zdarzają się pomyłki. – Anna wstaje, sięga po klucze. – Najważniejsze to dwa razy nie powtarzać tego samego błędu.

Wyrzuty sumienia coraz bardziej dają mi się we znaki.

– Przepraszam za zeszły tydzień. Za to spóźnienie i...

– Nie to miałam na myśli.

– A co?

Anna przygląda mi się w zadumie.

– Czasami błędem jest nie: co, tylko: kto.

I odchodzi, sprawdza dziś bilety, a ja zostaję z płataniną myśli. Chodziło jej o Maksa? Czy o Cricketa?

Godzinę później zjawia się Franko. Ma koło trzydziestki, jest fatalnie ostrzyżony. W sensie, miejscami wygolony do gołej skóry.

– Cześć, Lola. Widziałaś to?

– Ale co?

– No wiesz... to z naszymi dyżurami i w ogóle?

– Nasz grafik?

– No. Widziałaś?

Rozglądam się dokoła.

– Nie tutaj, nie. – Ale Franko już przegląda kartki na blacie. Zrzuca słuchawkę z aparatu. Łapie ją w ostatniej chwili. – Uważaj!

– Masz? – Franko odwraca się gwałtownie, gdy się podnoszę. Jego łokieć ląduje na mojej twarzy. Moje okulary spadają na podłogę. – Oj, przepraszam. Poczekaj, Lola.

Przerażający chrzęst plastiku.

– Franko! – Mój świat zmienił się w plamy barw i światła.

– O rany, Lola, przepraszam. Prawdziwe?

Podbiega do nas Anna.

– Co jest? Co tu się dzieje? O rany. – Pochyliła się po, jak się domyślam, moje okulary. Jej głos nie brzmi zbyt optymistycznie. – Jezu.

– Co jest? – pytam.

– Nie widzisz? – Podsuwa mi je pod nos. Kawalki. Mnóstwo kawalków. Jęczę głośno.

– Przepraszam – powtarza Franko.

– Idź, proszę, na piętro – odsyła go Anna. Franko oddala się. – Masz zapasowe okulary? Szkła kontaktowe? Cokolwiek? – pyta. Jęczę głośniej. – No dobra, nie ma sprawy. Nasza zmiana zaraz się skończy. Ojciec zaraz po ciebie przyjedzie.

– Akurat dzisiaj miałam wrócić sama. – Oczywiście coś takiego zdarza się w ten jeden wieczór, gdy rodzice nie mogą mnie odebrać i jestem zdana na komunikację miejską.

– Dasz radę wrócić?

– Anno, stoisz niecały metr ode mnie, a ja nie wiem nawet, czy się uśmiechasz, czy wykrzywiasz.

– No dobrze... – Siada, żeby to przemyśleć, i podrywa się natychmiast. – Odwieziemy cię z Étienne'em. Mieszkasz rzut beretem od mojej szkoły.

– Nie musicie...

– Bez dyskusji – urywa. Szczerze mówiąc, kamień spada mi z serca. Do końca zmiany jestem do niczego. Zbieramy się do wyjścia, gdy wracają chłopcy. Anna podchodzi do plamy z grubsza przypominającej St. Claira.

– Musimy odwieźć Lolę do domu.

– Co? Dlaczego? Co się stało? – dopytuje plama cricketokształtna.

Tłumaczę ze wzorkiem wbitym w podłogę.

– Nic nie widzisz? – dopytuje St. Clair. – Nie widzisz, co teraz robię?

– Przestań! – prosi Anna i parszają śmiechem. Nie mam pojęcia, co się dzieje. To upokarzające.

– Zabiorę cię do domu – mówi Cricket.

– Nie musisz... – zaczyna St. Clair.

– Mieszkam tuż obok. Dla mnie to żaden problem.

Krępuje mnie moja bezradność.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Prawdziwość tego stwierdzenia chwyta mnie za serce. Nie drażni

się ze mną, nie usiłuje wzbudzić we mnie poczucia winy. Ale Anna ciągle się niepokoi. Podaje mi torebkę.

– Na pewno w porządku?

Co ma znaczyć: na pewno w porządku, że wracasz z Cricketem?

– Tak. – Uśmiecham się z otuchą. – Dzięki. – I wszystko jest w porządku, póki nie wychodzimy na zewnątrz. Od razu potykam się o chodnik.

Cricket mnie podtrzymuje.

A ja wzdygam się, zaskoczona jego dotykiem. Trzyma mnie. Choć dzieli nas gruba warstwa materiału, czuję, jak w moim ramieniu szaleje alarm przeciwpożarowy.

– Te chodniki to skandal – oznajmia. – Przez trzęsienia ziemi są jak wydmy. – Cofa rękę. Mrugam niespokojnie. Ostrożnie podaje mi ramię.

Waham się.

A potem łapię go pod rękę.

I nagle jesteśmy tak blisko, że czuję jego zapach. Jego zapach.

Jest czysty, jak zapach mydła, z nutą smaru technicznego. W milczeniu przechodzimy przez jezdnię na przystanek. Wtulam się w niego. Tylko troszeczkę. Sztynnieje, cofa drugą rękę, zaraz jednak powoli nakrywa nią moją dłoń. Pali mnie. Wiem, co chce mi powiedzieć. Zależy mi na tobie, chcę czuć tę więź. Nie puszczaj mnie.

A potem... Właśnie to robi.

Sadza mnie na przystanku na rozkładanym siedzeniu i puszcza. I nie patrzy na mnie. Czekamy w niespokojnym milczeniu. Oddalamy się od siebie z każdą mijającą chwilą. Jak będzie, czy znowu weźmie mnie za rękę, czy ja będę musiała to zrobić? Zerkam z ukosa, ale oczywiście niczego nie widzę.

Autobus staje przy krawężniku, otwierają się drzwi.

Cricket wyciąga do mnie rękę.

Zerkam w niebo, na żółty blask – to na pewno księżyc. Dziękuję.

Wsiadamy. Zanim wygrzebie kartę miejską, płaci za mój bilet. Autobus jest pusty. Rusza, nie czeka, aż usiądziemy, i Cricket zaciska dłoń. Nie muszę się go trzymać, ale i tak chwytam go dwiema rękami. Siadamy obok siebie. Zaciskam dłoń na jego koszuli, słyszę, jak wali mu serce.

– Cześć – szepczę.

Odrywa moje dłonie od siebie, odwraca w stronę przejścia.

– Bardzo cię proszę, nie komplikuj tego jeszcze bardziej – odpowiada cicho.

I nagle czuję się jak największy drań na świecie.

– No tak. – Odsuwam się najdalej, jak to możliwe. – Przepraszam. Oczywiście.

Między nami rozsiada się duch Maksa. Bezczelnie panoszy się na siedzeniu. W

autobusie jest zimno, podróż na dworzec trwa krótko. Tym razem to ja biorę go pod rękę. Prowadzi mnie odruchowo. Jazda z Van Ness do Castro przebiega w milczeniu. Pociąg kołysze się monotonnie, mknie przez ciemne tunele, a moje upokorzenie rośnie, ilekroć niechcący dotknę jego barku. Muszę stąd wyjść. Natychmiast. Drzwi się otwierają. Wybiegam na peron, na zewnątrz. Cricket jest tuż za mną. Nie potrzebuję jego pomocy.

– Nie potrzebuję go, nie, nie, nie...

Ale na chodniku znowu się potykam i nagle czuję jego dłonie w talii, a kiedy chcę się odsunąć, obejmuje mnie mocniej. Siłujemy się bez słów, bo cały czas usiłuję się uwolnić.

– Jak na takiego chudzielca masz mnóstwo siły – warczę.

Cricket parska śmiechem. Nie trzyma mnie tak mocno i uwalniam się z jego objęć. I zaraz się potykam.

– Litości, Lola. – Śmieje się. – Pomogę ci.

– Nigdy więcej nie wyjdę z domu bez zapasowych okularów albo szkieł.

– Taką mam nadzieję.

– A twoją pomoc przyjmuję tylko dlatego, że nie chcę się znowu potknąć i niechcący uszkodzić to poliestrowe чудо.

– Oczywiście.

– I między nami wszystko jest po staremu. – Głos mi drży.

– Oczywiście – powtarza miękko.

Oddycham głęboko.

– No, dobrze.

Nie ruszamy się. Czeka na mój ruch. Z wahaniem wyciągam rękę. Podaje mi ramię. Chwytam się go. Jak przyjaciela. Nic więcej, bo póki jest Max, więcej być nie może. A przecież kocham Maksa.

No i tak.

– Opowiedz mi o tej sukni – prosi Cricket przecznicę dalej.

– Jakiej sukni?

– Tej, do której robisz gorset. Wydaje się ważna.

Przypomina mi się rozmowa z Maksym i zaraz robi mi się głupio. Bale to taka babska rozrywka. Jeśli i Cricket mnie wyśmieje, nie zniosę tego.

– Na zimowy bal – wyjaśniam. – Ale nie, nie jest ważna.

– Opowiedz mi.

– To po prostu... długa, ogromna suknia.

– Ogromna jak... spadochron? Namiot cyrkowy?

Jak zawsze sprawia, że uśmiecham się wbrew sobie.

– Ogromna jak kreacje Marii Antoniny.

Gwiżdże z podziwem.

– Czyli naprawdę ogromna. Jak to się nazywa? Krynolina?

– Powiedzmy. W tamtych czasach nosiło się rogówki. Krynolina jest okrągła, a to jest takie jakby rusztowanie po bokach.

– Brzmi ciekawie.

– To megawyzwanie.

– Fajnie.

– No nie wiem. Tak naprawdę sama nie wiem, co robię. Rogówka to tak naprawdę mechanizm; to nie szycie, to konstrukcja. Mam wykresy, ale nie umiem się do tego zabrać.

– Pokażesz mi?

– Po co? – Ściągam brwi w zdumieniu.

– Może coś wymyślę. – Wzrusza ramionami.

Już mam powiedzieć, że nie potrzebuję pomocy, gdy nagle do mnie dociera... Przecież właśnie Cricket jest do tego odpowiednim człowiekiem.

– Tak... No... To bardzo miło z twojej strony, dzięki. – Jesteśmy przy moim ganku. Delikatnie ściskam jego ramię i puszczam go. – Dalej już sobie poradzę.

– Doszliśmy aż dotąd, doprowadzę cię do końca. – Łamie mu się głos. Po raz ostatni wyciąga do mnie rękę.

Szykuję się na kolejny dotyk.

– Cricket! – Krzyk spomiędzy naszych domów. Gwałtownie opuszcza rękę. Pewnie wynosiła śmieci. Obejmuje go od tyłu. Nie widzę jej, ale sądząc po głosie, ma łzy w oczach. – Trening był koszmar. Nie do wiary, że tu jesteś, miałeś nie przyjeżdżać. Jak to dobrze, zaraz ugotuję kakao i opowiem ci... Och, Lola.

Cricket zapada w dziwne milczenie.

– Twój brat był na tyle miły, że odprowadził mnie od stacji – tłumaczę. – Zbiły mi się okulary i właściwie nic nie widzę.

Nieruchomieje.

– Gdzie ty właściwie pracujesz? W kinie?

Dziwi mnie, że to wie.

– Tak.

Calliope ponownie zwraca się do brata.

– Poszedłeś do kina? A co z tym projektem na jutro? Takim wielkim i ważnym? O ile pamiętam, to dlatego nie mogłeś przyjechać do domu. Bardzo to dziwne.

- Cal... – zaczyna.
- Będę w kuchni. – Oddala się.
- Czekam, aż wejdzie do domu.
- Masz projekt na jutro?
- Długo nie odpowiada.
- Tak.
- Wcale się dzisiaj nie wybierałeś do domu, prawda?
- Nie.
- Przyjechałeś przeze mnie.
- Tak.
- Znowu cisza. Biorę go pod rękę.
- Więc odprowadź mnie do domu.

Rozdział 18

Zachęcam go. I nie mogę przestać.

Dlaczego nie mogę przestać?

Przyciskam dłoń do drzwi wejściowych, opieram o nie czoło. Słucham jego kroków niknących na zewnątrz. Idzie powoli, bez pośpiechu. To ja komplikuję nam życie. To ja utrudniam naszą przyjaźń. Ale to on ciągle wraca. Jest przecież na to za mądry. Powinien wiedzieć, że już dosyć, i zacząć trzymać się ode mnie z daleka.

Nie chcę, żeby odszedł.

Czego ja właściwie chcę? Odpowiedź jest niejasna, choć wiem na pewno, że nie chcę, żeby znowu skończyło się złamanym sercem, ani jego, ani tym bardziej moim. Cricket musi trzymać się z daleka.

Wcale tego nie chcę.

– Ten chłopak Bellów wyrósł na fajnego faceta – rzuca Norah.

Zaskoczyła mnie. Siedzi na turkusowym szeszlunku przy wykuszowym oknie wychodzącym na ulicę. Od jak dawna tu jest? Na pewno nas widziała. Ale czy słyszała? Odprowadza go wzrokiem, póki, jak się domyślam, nie zniknie jej z oczu, a potem koncentruje się na mnie.

– Lola, wyglądasz na zmęczoną.

– Mów za siebie.

– Jak sobie chcesz.

Ale ma rację. Jestem ledwo żywa. Mierzymy się wzrokiem. Norah jest jak za mgłą, ale i tak ją widzę. Szara bluza zwisa smętnie. Otuliła się jedną z zabytkowych kołder po babce Andy’ego. Długie włosy i chude ramiona zwisają bezwładnie. Ona cała zwisa. Jakby własne ciało ją zawiodło.

Ciekawe, co widzi, kiedy na mnie patrzy.

– Wiesz, czego nam trzeba? – mówi.

Nie podoba mi się to: nam.

– Czego?

– Herbatki.

– Nie chcę herbaty, chcę do łóżka. – Wzdycham.

Norah wstaje. Jęczy, jakby bolały ją wszystkie mięśnie, jakby była stara jak koc na jej ramionach. Bierze mnie za rękę. Wzdrygam się. Miejsce ciepłej, kojącej dłoni Cricketa zajmuje jej, wilgotna i chuda. Prowadzi mnie do kuchni. Jestem zbyt

wyczerpana, by protestować.

Przysuwa mi krzesło przy kuchennym stole. Osuwam się ciężko.

– Zaraz wracam – mówi. Słyszę, jak wchodzi na piętro, słyszę, jak otwiera drzwi do mojego pokoju, ale zanim zdążę się obudzić, zamyka je ponownie. Wraca i podaje mi okulary.

Znowu mnie zaskoczyła.

– Dzięki.

– Co się stało z tymi, w których wyszłaś?

– Ktoś na nie nadepnął.

– Ktoś nadepnął ci na okulary? – Teraz to Norah wydaje się wkurzona.

– No przecież nie celowo. – Mrużę oczy. – Oni nadal są na randce?

– Chyba tak. Co mnie to obchodzi? – Nalewa kranówki do miedzianego imbryka i z niepotrzebną siłą stawia na palniku, aż zadrżała cała kuchenka.

– Znowu się pokłóciliście – domyślam się.

Norah nie odpowiada, ale buszuje w swoim pudełku z herbatami, gniewnie i nerwowo.

W swoim pudełku z herbatami.

– O nie! – Zrywam się na równe nogi. – Nie będziesz mi wróżyć.

– Dlaczego nie? Właśnie tego ci trze...

– Nie masz pojęcia, czego mi trzeba. – Gorzkie słowa padają, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

Norah nieruchomieje. Włosy opadają jej na twarz, zasłaniają jak tarcza. A potem zakłada je za ucho, jakby nic się nie stało, i wyjmuje małą paczuszkę z pudełka.

– Fenghuang dancong oolong. Fenghuang, czyli feniks. Pasuje do ciebie.

– Nie.

Norah otwiera szafkę, w której trzymamy szklanki, i wyjmuje różową filiżankę. Nie poznaję jej; pewnie to jej. Znowu ogarnia mnie złość.

– Wstawiłaś swoje naczynia do naszych szafek?

– Tylko dwa. – Wyjmuje drugą w kolorze jadeitu. – Ta jest moja.

– A gdzie kryształowa kula? Koło telewizora? A turban w pralce?

Puste filiżanki uderzają o spodeczki, gdy stawia je na stole.

– Wiesz przecież, że nie znoszę tych wszystkich bzdur. Kostium nie nadaje znaczenia ani głębi. Kostium to oszustwo.

– A ty oczywiście nie oszukujesz?

– Siadaj – mówi spokojnie.

– Nigdy nie chciałam, żebyś mi wróżyła; niby dlaczego teraz miałyby być inaczej.

Norah zastanawia się przez chwilę.

– Nie jesteś nawet odrobinę ciekawa?

– Nie. – Odpowiadam za szybko. Wyczuwa moje wahanie, jakby wiedziała, że w głębi duszy odpowiadam inaczej. Bo kto nie jest choćby odrobinę ciekawy? Wiem oczywiście, że czytanie z fusów to bzdura, ale w moim życiu wszystko tak się pokomplikowało, że nawet w takim oszustwie szukam odpowiedzi. Może dowiem się czegoś o Crickecie. Czegoś, czego nie wiem, a może jej wróżba skłoni mnie do myślenia o czymś, z czego do tej pory nie zdawałam sobie sprawy.

Zadowolenie na jej twarzy. Wracam na miejsce, ale uciekam wzrokiem, żeby jej pokazać, jak bardzo nie chcę tu być. Czajnik gwizdże przeciągle. Norah wysypuje łyżeczkę herbaty do dzbanka. Dom trzeszczy cicho, napar nabiera mocy. Im dłużej czekamy, tym bardziej się denerwuję. Kilka razy zbieram się do odejścia, ale ciekawość każe mi zostać.

– Pij – mówi w końcu Norah. – Zostaw w filiżance mniej więcej pół łyżeczki.

Sączę powoli, bo herbata jest gorąca. Delikatna w smaku, brzoskwiniowa, z jeszcze jakąś mocniejszą nutą. Jakby dymu? Norah nie zwraca uwagi na temperaturę. Wypija swoją i dolewa sobie. W końcu dochodzę do dna. Zaglądam do różowej filiżanki, wpatruję się w zielono-brązowe liście, szukam symboli. Nic nie widzę.

– Co teraz?

– Weź filiżankę w lewą rękę.

– To ręka magii?

To też puszcza mimo uszu.

– Teraz obróć trzy razy, w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara. Szybciej. Tak, teraz dobrze. A teraz wyrzuć zawartość na spodek.

– Przecież listki też wypłyną.

– Spokojnie. Połóż dłoń na dnie filiżanki. Zamknij oczy i pomyśl o tym, czego chciałabyś się dowiedzieć.

Głupio się czuję. Przecież właśnie o tym myślę. I... i jeszcze o Crickecie Bellu.

– Odwróć z powrotem, ale ostrożnie – uprzedza. Powoli odwracam filiżankę. Fusy przywarły do cienkich ścianek dzięki ostatnim kroplom naparu. – Daj mi to. – Przez kilkanaście minut siedzi w milczeniu. W kościstych dłoniach przechyla filiżankę na wszystkie strony, może po to, żeby widzieć jej zawartość pod różnym kątem, a może po prostu dlatego, że w kuchni jest słabe, mdłe światło. – No cóż. – Odstawia filiżankę na stolik i daje mi znak, żebym przysunęła się bliżej. Robię to. – Widzisz chmurę? Tutaj, koło uszka?

– Tak jakby. Tak.

– To oznacza, że otaczają cię problemy, jesteś zagubiona i przerażona. No, ale skoro ja tu jestem, sprawa jest jasna i bez fusów. A ten trójkąt, o tutaj, symbolizuje wrodzony talent artystyczny. Ale i to wiadomo bez wróżb.

Zaskoczyła mnie – zarówno szczerością, jak i komplementem, rzadkim w jej ustach. Przysuwam się bliżej.

– Widzisz te kropki, otaczające brzeg filiżanki?

Twierdząco kiwam głową.

– Linia kropek oznacza podróż, która potrwa kilka miesięcy. Gdyby koło się zamknęło, ciągnęłaby się przez co najmniej rok – tłumaczy. – Ale kończy się tutaj, w tym kształcie. Co ci to przypomina?

– Eeee... Księżyc? Z... patyczkiem?

– A może wiśnię?

– O tak! Wiśnię!

– Wiśnia symbolizuje pierwszą miłość. Innymi słowy, droga doprowadzi cię do pierwszej miłości.

Podskakuję nerwowo, uderzam nogami w stolik. Jej spokój sugeruje, że spodziewała się takiej reakcji. Wie, co czuję do Cricketa? Czy raczej, co czułam do niego w przeszłości? Była wtedy w pobliżu, ale czy coś w ogóle zauważyła?

Bawi się mną.

Milknie na chwilę.

– A co tu widzisz?

Wpatruję się przez długie minuty. Szukam psów, butów, czegoś znajomego, ale widzę tylko mokre listki herbaty. Co chwila wracam wzrokiem do wisienki. Odstawiam filiżankę na stolik.

– Nie wiem. Z jednej strony jest ich więcej. Takie zakręcone.

– Dobrze. Pętla u nasady sugeruje, że podejmowałaś – albo wkrótce podejmiesz – pochopne decyzje.

– To źle czy dobrze?

Wzrusza ramionami.

– Może być i tak, i tak, ale czy impulsywne decyzje kiedyś wyszły komuś na dobre?

– To mądrość z terapii? – warczę.

Norah pochmurnieje.

– Widzisz tutaj, jak się na siebie nakładają? To sugeruje kłótnie, wiele kłótni. Zazwyczaj prowadzą do rozstania – mówi zwięźle.

– Rozstania. – Wstaję. – Wielkie dzięki. Bardzo pouczające.

Kłótnie, rozstania, spontaniczne decyzje. Zagubienie? A ja myślałam, że wróżby

mają sprawić, że człowiek czuje się lepiej. Myślałam, że właśnie po to ludzie chodzą do wróżek. I jeszcze ta podróż do pierwszej miłości? Tylko dlatego, że Max ją obraził, nie musi pchać mnie na siłę w ramiona innego chłopaka.

Choć to naprawdę wyglądało jak wisienka.

Nie wiem, czemu w ogóle zawracam sobie tym głowę. Norah uważa, że przebranie to oszustwo? Że nie ma sensu? Ha, niech sama spojrzy w lustro. Ona cała, kimkolwiek jest, nie ma sensu. Wściekła, szoruję zęby i szykuję się do snu. Gaszę światło i wtedy w oknie naprzeciwko robi się jasno.

A więc zostaje na noc.

Czy rozmawiał z Calliope? Ciekawe, czy zdąży skończyć ten projekt na zajęcia, bez względu na to, co to jest. Pewnie nie. Wiercę się pod kołdrą. Nie mogę zasnąć, czy to z powodu wyrzutów sumienia wobec Cricketa, czy wskutek kofeiny w herbacie, a może przez tę idiotyczną wisienkę. Może to wcale nie oznacza pierwszej miłości, tylko coś całkiem innego. Pierwszą skonsumowaną miłość. Tak, to już bardziej sensowne, a w każdym razie oznacza, że moja droga doprowadzi mnie do Maksa.

A zatem jestem na właściwej drodze?

Słyszę, jak okno się otwiera.

I nic więcej.

Nie wiem dlaczego, ale czekam, aż mnie zawoła. Gdy tego nie robi, sięgam po okulary i wstaję. Wyteżam wzrok w ciemność. Cricket wpatruje się w nocne niebo. Obserwuję go w milczeniu. Nie rusza się. Nie panuję nad sobą. Rozsuwam zasłony i otwieram okno.

– Cześć – rzucam.

Patrzy mi prosto w oczy nieprzytomnym spojrzeniem, jakby myślami nadal był wśród gwiazd.

– Jak twoja siostra?

Powoli kiwa głową.

– Dojdzie do siebie.

– Przykro mi w związku z twoim projektem.

– Nie przejmuj się.

– Dasz radę to nadgonić?

– Może.

– Czy... chcesz te wykresy?

Delikatny uśmiech.

– Jasne.

– Dobrze, poczekaj. – Buszuję w stertach papierów na podłodze, aż znajduję

segregator – moje źródło inspiracji. Wpinałam do niego wydruki z Internetu, fotografie i kserokopie projektów, odkąd na początku lata, gdy poznałam Maksa, wymyśliłam sobie tę suknię. Wracam do okna. Cricket siedzi na parapecie, jak za pierwszym razem, gdy zobaczyłam go po jego powrocie. Pod koniec lata. – Rzucić ci? – Zerkam niespokojnie na kompostownik Andy’ego na dole.

Chwila namysłu i jego odpowiedź:

– Zaraz wracam.

Znika, zostawia mnie samą. Oglądam jego pokój. Na razie jest pusty, ale Cricket zostawia już na nim swoje ślady: pismo naukowe przy łóżku, kolorowe gumki na toalecie, marynarka na oparciu krzesła. Wraca po chwili. Niesie miotłę i koszyk owoców. Wyjmuje je powoli i układa na komódce.

Nagle boję się, że zaraz wyjmie wisienkę.

Ale nie.

Umieszcza pusty koszyk na drewnianej rączce miotły, podnosi. Koszyk zjeżdża. Cricket wychyla się z okna, wyciąga ręce i w ten sposób dosięga mnie końcem kija od szczytki.

– Gotowa?

Jestem gotowa.

– Ahoj, kapitanie!

Przechyla miotłę i koszyk zsuwa się po kiju prosto w moje ramiona. Śmieję się radośnie.

– Wiesz, tak naprawdę mogłam ci go po prostu rzucić.

– Lepiej nie ryzykować. Mógłbym nie złapać.

– Zawsze łapiesz. – Wkładam segregator do koszyka. – Jest ciężki.

– Dam radę. – Cricket unosi miotłę pod kątem. Wspinam się na palce, wsuwam koszyk na kij i puszczam. Miotła opada pod jego ciężarem, ale Cricket unosi ją na tyle, że koszyk płynnie sunie w jego kierunku. – Ha! – Uderza kłamrą przy pasku o parapet, cofając się w głąb pokoju, i ze zdumieniem stwierdzam, że pamiętam tę kłamrę. I pasek, ten sam od lat, z czarnej, popękanej skóry. Poprawia sobie koszulę, która nieco się uniosła. Jest tak długi, że wszystkie koszule są na niego odrobinę za krótkie. Kolejny szczegół, o którym zapomniałam.

Kręcę głową, żeby nie myśleć o jego brzuchu, ale się uśmiecham.

– Było to zarazem idiotycznie proste i zdecydowanie zbyt skomplikowane.

Odpowiada uśmiechem.

– To moja specjalność.

Rozdział 19

Kiedy następnego ranka przechodzę koło domu Bellów, ktoś na mnie czyha, ale nie ten bliźniak, którego chciałabym zobaczyć.

– Musimy pogadać. – Calliope krzyżuje ręce na piersi. Ma na sobie jasnoniebieski dres, w tym samym odcieniu co jej oczy. Oczy Cricketa. Bliźnięta mają też takie same ciemne, niemal czarne włosy, choć jej układają się miękko i grzecznie. Za to ich uśmiechy to niebo i ziemia. Cricket uśmiecha się, jakby to było silniejsze od niego, jakby zwyczajnie nie był w stanie nad nim zapanować; grymas Calliope jest wyćwiczony. No jasne. Wiadomo, z jakim zacięciem podchodzi do treningów.

Najwyraźniej czekała na mnie, zanim uda się na poranne bieganie. Stwierdzenie, że jestem zdenerwowana, to naprawdę mało powiedziane.

– O czym? – Zasłaniam się torbą; dzisiaj idę do szkoły z błyszczącą winylową torbą treningową. Vintage.

– Co ty wyprawiasz?

Rozglądam się niespokojnie.

– Eee... idę do szkoły?

– Z moim bratem. – W jej głosie pojawiają się jeszcze twardsze nuty. – To się musi natychmiast skończyć. Mam już dosyć tego, jak go wykorzystujesz.

– Słucham?

– Nie udawaj idiotki. Wiesz doskonale, o co mi chodzi. Zawsze miał do ciebie słabość; robi, co tylko zechcesz. Więc jak, zerwałaś wczoraj z chłopakiem, zanim wróciłaś do domu z Cricketem pod rękę?

Rumienię się.

– Zaproponował mi pomoc, bo stłukły mi się okulary. Nic nie widziałam.

– Oczywiście, i dlatego flirtowałaś i wtulałaś się w niego, tak?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– On nie jest taki jak ty – mówi dalej. – Nie jest zbyt doświadczony. Miał tylko jedną dziewczynę, i to krótko, i to nie na poważnie. Nie sądzę, żeby posunął się dalej niż do pocałunków.

Rumienię się coraz bardziej. Sugeruje, że ja – owszem, a to nie jej sprawa.

– Innymi słowy, mój brat nie ma pojęcia, jeśli chodzi o dziewczyny i sam w życiu nie zorientuje się, że ktoś robi go w balona. Ale ja tak, więc dobrze ci radzę, zostaw go.

Oczy zachodzą mi mgłą. Nadal nie jestem w stanie znaleźć odpowiednich słów.

Calliope podchodzi o krok bliżej.

– Powroty do domu specjalnie po to, żeby cię zobaczyć, rozpacz, ilekroć okazuje się, że wyszłaś gdzieś z Maksem. Przestań się nim bawić.

Dość tego.

– Myślisz się. – Prostuję się powoli, kręg po kręgu. – Jesteśmy z Cricketem przyjaciółmi. Przyjaciółmi; wiesz, co to znaczy? – Zawieszam głos, przecząco kręcąc głową. – Nie, pewnie nie.

– Owszem, wiem. I wiem, że zawracasz w głowie mojemu najlepszemu przyjacielowi.

– Zawracam... zawracam mu w głowie? A co powiesz na to, jak sama go okłamałaś? Dwa lata temu? Kiedy powiedziałaś mu, że nie chciałam przyjść na imprezę?

Teraz to ona się rumieni.

– Obawiasz się, że znowu go stracisz. Pewnie teraz, gdy wyjechał na studia, czujesz się bardzo samotna. – Mijam ją. – Pewnie nie jest łatwo, gdy największy fan zostawia cię i zaczyna żyć własnym życiem.

Łapie mnie za poły bluzy, żeby mnie zatrzymać.

– Tu nie chodzi o mnie.

– Zawsze chodzi o ciebie. – Wyrywam się. Jestem naprawdę zła. – Ale żebyś wiedziała; twój brat ma własne życie. I choć nie występuje przed tysiącami widzów, jest równie zdolny jak ty. Tylko że ty tego nigdy nie zauważasz, bo i ty, i twoja rodzina funkcjonujecie tylko w egoistycznym świecie Calliope.

– Nie on jeden ma talent – cedzi. – Mam dwóch zdolnych braci. A Cricket wie, że nam na nim zależy.

– Czyżby? Jesteś tego pewna?

– Powiedziałyby, gdyby było inaczej. – Ale nagle wydaje się zaniepokojona.

– I mówi – cedzę przez zęby. – Do mnie, do moich rodziców. A teraz przepraszam bardzo, ale spieszę się do szkoły.

Zarzuty Calliope krążą mi nad głową jak czarne chmury. Wykorzystuję go. Nie robię tego celowo – nigdy celowo nie skrzywdziłabym Cricketa – ale też wiem, że nie wychodzi mu to na dobre. Jej słowa zaboląły, a już naprawdę krzywię się wstydliwie, ilekroć przypomnę sobie ten zarzut o flirtowaniu.

Jeszcze gorsza jest świadomość, że miał dziewczynę. Nawet jeśli brak mu

doświadczenia, nie powinnam tak reagować na wieść, że kogoś miał. A robi mi się niedobrze. Przecież mam Maksa, więc Cricket też mógłby kogoś mieć. Teraz.

O Boże. Na myśl o nim z nową dziewczyną robi mi się słabo. Błagam, nie miej nowej dziewczyny, póki nie oswoję się z tą całą przyjaźnią.

I czuję się jeszcze gorzej, bo to przecież bardzo egoistyczne życzenie.

Max dzwoni po szkole i informuje, że czeka go kolejna sobota w Santa Monica. Wiedziałam, że planowali tam dalsze koncerty, ale fakt, że nie wspomniał o tym wcześniej w tym tygodniu, sprawia, że zaczynam podejrzewać, że chodzi o dodatkowy występ, że ucieka przed niedzielnym lunchem. Nie widziałam go od tamtej strasznej kolacji. Najchętniej wtuliłabym się w niego i liczyła, że wszystko znowu będzie dobrze między nami.

Proponuje, że wyskoczmy razem na kolację, gdy będę miała przerwę w pracy. Umawiamy się w obskurnej tajskiej knajpce. Nie jestem w stanie trzymać rąk z dala od niego. Pragnę bliskości. Właściciel łypie na nas groźnie, gdy całujemy się przy stoliku w kącie.

– Przyjdiesz do mnie po pracy? – pyta.

– Andy ma po mnie przyjechać, nadal mam szlaban. A jutro, zanim wyjedziecie? Mogę powiedzieć, że mam wcześniejszą zmianę?

– Wyjeżdżamy wcześniej, w Los Angeles jest sklep muzyczny, do którego chcemy zajrzeć. Nie rób takiej miny, Lola – dodaje, widząc, że się dąsam. Splota swoje palce z moimi. – Zobaczymy się za kilka dni.

Bez niego weekend mija bardzo powoli. A także bez Cricketa. Zostaje po nim tylko wspomnienie, na szczęście nie osad z fusów, tylko kartka przyklejona do okna: „Mistrzostwa. Do zobaczenia za tydzień”. Dlaczego wcześniej nie mówił, że wyjedzie? Czy Calliope powiedziała mu o naszej kłótni?

Chciałabym do niego zadzwonić, ale nie mam numeru telefonu. Mogłabym oczywiście poprosić Lindsey – na pewno zapisała go w pamięci komórki – ale boję się, że wyszłoby dziwnie, gdybym tak za wszelką cenę usiłowała się z nim skontaktować. Calliope pewnie urwałaby mi głowę, gdyby się dowiedziała. Więc tylko odrabiam lekcje i gapię się na kartkę w oknie.

Jest już środa i kartka nadal tam wisi.

Im dłużej wpatruję się w jego pismo – bardzo kanciaste, bardzo męskie – tym bardziej chcę sama sobie udowodnić, że możemy być przyjaciółmi. Lubię go, a on mnie. Nie jest w porządku, że Calliope zabrania nam nawet spróbować.

I dlatego jakimś cudem znajduję się w pociągu do Berkeley. Myślę intensywnie. Nie tylko o tej przyjaźni, ale też coraz bardziej nerwowo myślę o moim segregatorze. Nie do wiary, że mu go dałam. Cały! Nie tylko pięć czy sześć stron z projektami, nie, cały, pół roku planów i marzeń. Co sobie myśli, kiedy go przegląda? Przypominam sobie kolejne fotografie, beztroskie, pełne koronek i kiczu, moje odręczne notatki i szkice, i najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Pewnie uważa, że mam lukier zamiast mózgu.

Muszę to odzyskać.

Zresztą notatki naprawdę będą mi potrzebne. Czeka mnie mnóstwo pracy przy sukni. Więc tak naprawdę kierowały mną czysto praktyczne względy, gdy tuż po lekcjach wsiadłam do pociągu. Te podmiejskie są ładniejsze niż te tłukące się przez San Francisco. Mkną od stacji do stacji z głośnym rykiem, ale pasażerowie są jak zawsze znudzeni i zaspani. Nerwowo bawię się okularami słonecznymi w czerwonych oprawkach w kształcie serduszek i patrzę, jak za oknem miga brudny przemysłowy krajobraz Oakland.

Nudna podróż. Trwa tylko dwadzieścia minut, ale jeśli do tego dodać czekanie na pociąg i na poprzedni, którym dojechałam do dworca, robi się z tego ponad godzina. Nie do wiary, że St. Clair robi to codziennie. Teraz już wiem, gdzie się uczy. Spędza w pociągu godzinę – nie, dwie, bo też droga powrotna – tylko po to, żeby zobaczyć się z Anną. A ona co weekend jeździ do niego.

Co Cricket powie na mój widok? Wie, że to długa wyprawa. Może powinnam powiedzieć, że byłam tu na zakupach i pomyślałam, że wpadnę do niego. Przyjaciele tak robią, prawda? A potem od niechcienia wspomnę o segregatorze i zabiorę go do domu. Tak jest, przyjaźń i segregator. Bo tak przecież jest naprawdę.

Więc dlaczego nie powiedziałaś Maksowi?

Poruszam się niespokojnie i odpycham do siebie to pytanie.

Najwyraźniej szlaban dotyczy tylko spotkań z moim chłopakiem. Kiedy powiedziałam Andy'emu, że wybieram się do Lindsey na maraton serialowy *Pushing Daisies*, nawet nie mrugnął, ba, dał mi jeszcze pieniądze na pizzę. Myślę, że ma wyrzuty sumienia z powodu Norah. Minęło już dziesięć dni, a nic nie wskazuje na to, by miała się wkrótce wyprowadzić. Wczoraj nawet jedna z jej stałych klientek przyszła na wróżbę. Rodzice i ja byliśmy już w łózkach, gdy ktoś zaczął histerycznie, nerwowo dzwonić do drzwi. Domyślam się, że wieczorem, po powrocie Nathana, dojdzie do kolejnej przykrej rozmowy. Andy pewnie też wolałby oglądać telewizję i zajadać pizzę.

Nie wiem właściwie, czemu mu nie powiedziałam, że wybieram się do Cricketa. Naprawdę nie sądzę, żeby miał coś przeciwko temu. Może raczej obawiałam się, że

powiedzą o tym Maksowi. To znaczy, oczywiście sama mu o tym powiem, w odpowiedniej chwili, kiedy już będzie całkiem, ale to całkiem jasne, że łączy mnie z Cricketem tylko przyjaźń.

Kiedy pocujemy się ze sobą swobodnie.

Wysiadam w centrum Berkeley i idę w stronę kampusu. Po rozmowie z St. Clairem wiem, w którym akademiku mieszka Cricket. Wydrukowałam sobie mapkę z Internetu. Nie powinnam mieć większych problemów, choć minęło już sporo czasu, odkąd tu ostatnio byłam. Czasami w weekendy zaciągałam Lindsey na zakupy na Telegraph Avenue, ale od zeszłych wakacji – od Maksa – nie wybrałyśmy się nigdzie razem.

Tutejsze budynki mają w sobie więcej Kalifornii niż San Francisco; są ładne, ale nowe i zadbane. Tu nie ma zaniedbanych domków wiktoriańskich z witrażami w oknach i farbą odłóżącą od ścian, tu wszystko jest z cegły. Wszędzie rosną piękne drzewa, ocieniają uliczki, szersze, czystsze, spokojniejsze. Ale panuje tu duży ruch, a wszyscy, którzy mnie mijają, czy to pieszo, czy na rowerze, są w wieku studenckim.

Prostuję się, żeby dodać sobie pewności siebie.

Dziwnie się czuję na myśl, że Cricket tu mieszka. W moich wspomnieniach do tego stopnia zlewa się z lawendowym domem na ulicy Castro, że nie wyobrażam go sobie w innym miejscu. A może właśnie tutaj robi zakupy. A tutaj wpada na tacos. A w tamtym sklepie kupuje drobiazgi z logo drużyny uniwersyteckiej.

Nie. Nie wyobrażam sobie Cricketa w koszulce z misiem.

I dlatego jest moim przyjacielem.

Kolejny kwadrans zajmuje mi dotarcie do akademików Foothill. Odruchowo doliczam ten czas do listy zalet St. Claira i Anny. Nie do wiary, ile dziennie poświęcają czasu, żeby się spotkać. A nigdy nie słyszałam, żeby narzekali, nigdy. I pomyśleć, że Cricket tak często przyjeżdża do domu! I to z ciężką torbą!

Nagle przychodzi mi do głowy niepokojąca myśl. Jak na faceta, Cricket ma sporo ciuchów; niemożliwe, żeby przywiózł do domu całe pranie. Czyli pierze tutaj. Czyli... Co właściwie? Pranie to pretekst, żeby przyjechać do domu na weekend? Przecież nie potrzebuje pretekstu, żeby spotkać się z Calliope. Czeka na niego. A więc wymówka jest po to, by ukryć inny powód częstych przyjazdów.

W głowie rozbrzmiewa mi głos Calliope: Powroty do domu specjalnie po to, żeby cię zobaczyć. I niewygodne pytanie. A co ja niby teraz robię? Przyjechałam przecież tu specjalnie po to, żeby się z nim zobaczyć.

O rany...

Zatrzymuję się jak wryta. Akademik Foothill to dwa budynki, po dwóch stronach ulicy. Wymyśliłam sobie, że to będzie wieżowiec, że wejdę do środka, podejść do...

do recepcji i... Ale nie dość, że nie ma żadnej recepcji, to na dodatek są to dwa budynki, oba przypominają labirynt pawilonów. Pawilonów zła otoczonych wysokim ogrodzeniem.

I co teraz?

Tylko spokojnie, Dolores. Na pewno znajdziesz jakieś rozwiązanie. Coś wymyślisz. Nie ma problemu. Przecież dotarłaś aż tutaj.

Naciskam klamkę furtki. Zamknięta.

Niech to szlag.

Chwileczkę. Ktoś nadchodzi! Wyjmuję komórkę z kieszeni i paplam jak najęta:

– O Jezuu, wiem. A widziałaś tego kolesia w ostrogach na stacji benzynowej? – Udaję, że wyciągam rękę do furtki w tej samej chwili, gdy dziewczyna po drugiej stronie naciska klamkę. Przytrzymuje ją. Macham jej z wdzięcznością, przechodzę i dalej mówię sama do siebie.

Jestem wewnątrz. Wewnątrz.

Lindsey byłaby ze mnie taka dumna! No dobra, jaki byłby jej następny krok? Rozglądam się po dziedzińcu i z rozpaczą stwierdzam, że z wewnątrz sytuacja wygląda jeszcze gorzej niż z zewnątrz – niekończące się budynki, piętra, korytarze. I wszędzie zamki. Na wszystkim. Pieprzona forteca.

Co za głupi pomysł. Najgłupszy ze wszystkich głupich pomysłów, jakie miałam w moim głupim życiu. Powinam po prostu wrócić do domu. Przecież nadal nie mam pojęcia, co chciałam powiedzieć, gdyby udało mi się dotrzeć do Cricketa. Ale wkurza mnie, że dotarłam już tak daleko. Siadam na ławce i dzwonię do Lindsey.

– Musisz mi pomóc.

– Jak? – Jest podejrzliwa.

– Jak mam się dowiedzieć, w którym budynku mieszka Cricket?

– A potrzebujesz tej informacji, bo...

Ściszam głos.

– Bo... jestem w Berkeley?

Długa cisza.

– Och, Lola. – I westchnienie. – Mam do niego zadzwonić?

– Nie!

– Więc chcesz się tak zjawić bez zapowiedzi? A jeśli nie będzie go w domu?

Cholera. O tym nie pomyślałam.

– Dobra, daj spokój – mruczy Lindsey. – Zadzwoń do tego, jak mu tam, St. Clair.

– Głupio mi. Nie masz dostępu do uniwersyteckiej bazy danych czy czegoś takiego?

– Nie sądzisz, że gdybym miała dostęp do czegoś takiego, już dawno bym z tego

skorzystała? Nie, musisz zwrócić się od informatora. Twoim informatorem w tej sytuacji jest St. Clair.

– A nie ty?

– Cześć, Lola.

– Poczekaj! Jakby dzwonili moi rodzice, powiedz, że jestem w toalecie. Jemy pizzę i oglądamy seriale.

– Nienawidzę cię.

– A ja cię kocham.

Rozłącza się.

– No dobrze – mówi ktoś z angielskim akcentem. – Po pierwsze, nie jesteś w toalecie, po drugie nie jesz pizzy, po trzecie: kogo kochasz?

Odwracam się gwałtownie i rzuca mu się na szyję.

– Nie wierzę!

St. Clair wyplątuje się z moich objęć.

– Co ty tu robisz?

– Dobrze trafiłam? Mieszkasz tutaj? W którym budynku? – Rozglądam się nerwowo.

– No, nie wiem. Niby dlaczego miałbym zaufać dziewczynie w żółtym sztormiaku w słoneczny dzień?

Uśmiecham się.

– Jakim cudem zawsze jesteś w odpowiednim miejscu w odpowiedniej chwili?

– To mój dar. – Wzrusza ramionami. – Szukasz Cricketa?

– Powiesz mi, gdzie mieszka?

– A wie, że się do niego wybierasz?

Nie odpowiadam.

– Aha.

– Myślisz, że będzie miał coś przeciwko temu?

St. Clair kręci przecząco głową.

– Nie będzie, na pewno. No, chodźmy. – Prowadzi mnie przez dziedziniec, w stronę brązowego budynku na tyłach kompleksu. Wchodzimy na piętro, otwiera drzwi i znajdujemy się na drugim piętrze, w brzydkim, zniszczonym korytarzu. Idzie przede mną, tupiąc głośno ciężkimi butami na bieżniku. Cricket nigdy nie tupie.

A Max?

– Tu jest mój pokój. – St. Clair wskazuje tandetne drzwi z drewnopodobną okładziną. Parskam śmiechem, widząc przyklejony do nich rysunek. To karykatura St. Claira w napoleońskim kapeluszu. – A tutaj... – Idziemy dalej i zatrzymujemy się przy czwartych drzwiach z kolei. – Monsieur Bell. – Na jego drzwiach też wisi kartka.

Szkic nagiej kobiety jadącej na białym tygrysie. Wnosi do nieba topór bojowy.

St. Clair się uśmiecha.

– Czy to... na pewno jego pokój?

– Z całą pewnością.

Przyglądam się nagiej lasce na tygrysie. Jest chudą blondyną i wcale mnie nie przypomina. Choć to i tak bez znaczenia. A już na pewno nie powinna mnie obchodzić opinia kogoś, kto coś takiego wieszka sobie na drzwiach. A jednak.

– Spieszę się na pociąg – mówi St. Clair. – Powodzenia. – Wybiega z budynku.

Zabiję go, jeśli sobie ze mnie zakpił.

Oddycham głęboko. Raz. Drugi.

A potem pukam.

Rozdział 20

Lola? – Cricket jest wyraźnie zaskoczony. – Co ty tu robisz?

– Ja... – Teraz, gdy tu stoję, moje wytłumaczenia wydają się idiotyczne. No wiesz, byłam w okolicy i pomyślałam sobie, że wpadnę pogadać. A, i jeszcze chciałam odebrać ten nieszczęsny segregator, który wzięłam tylko dlatego, że jesteś na tyle miły, że pomożesz mi przy sukni; włożę ją na bal, na który pójdę z innym chłopakiem. – Byłam ciekawa, czy coś wymyśliłeś w sprawie rogówki. Trochę... zależy mi na czasie.

Zależy mi na czasie? W życiu nie użyłam tego określenia.

Cricket nadal jest w szoku.

– To znaczy, oczywiście chciałam się też z tobą zobaczyć.

– No, to mnie widzisz. Cześć.

– Wszystko w porządku? – Zza jego pleców wygląda dziewczyna. Jest ode mnie wyższa i bardzo szczupła. I ma złote włosy spływające naturalnymi falami, i opaleniznę, która wygląda jak rodem z deski surfingowej, a nie z butelki z samoopalaczem.

I jest wyraźnie wściekła na mój widok.

Władczym gestem kładzie mu rękę na ramieniu. Ma podwinięte rękawy i dotyka jego gołej skóry. Robi mi się niedobrze.

– Przepraszam. Nie powinnam zjawiać się bez uprzedzenia. Pogadamy później, dobrze? – I szybkim krokiem oddalam się korytarzem.

– Lola!

Zatrzymuję się i odwracam powoli.

Jest zagubiony.

– Dokąd się wybierasz?

– Nie chciałam ci przeszkadzać, byłam w okolicy, na zakupach i... ale ty oczywiście jesteś zajęty. – Nie świruj. Cricket może się spotykać, całować, nawet, o Boże, chodzić do łóżka, z kim tylko zechce.

– Pada? – Dziewczyna mierzy surowym wzrokiem mój sztormiak i kalosze.

– Och, nie, po prostu pasowały mi do sukienki. – Rozpinam sztormiak i odsłaniam sukienkę w tym samym odcieniu żółtego. Cricket rusza się nerwowo, jakby dopiero teraz poczuł na sobie jej rękę. Odsuwa się.

– To moja koleżanka, Jessica. Uczyliśmy się razem fizyki. Jess, to Lola. Ta, o której... o której ci opowiadałem.

Jessica nie wydaje się tym zachwycona.

Opowiadał jej o mnie.

– Chciałaś popracować nad suknią? – pyta.

– To nic takiego. – Podchodzę bliżej. – Możemy to zrobić kiedy indziej.

– Nie! Przecież tu jesteś! A zazwyczaj cię tu nie ma. – Zerka nerwowo na Jessicę. –

Jutro skończymy, dobra?

– Dobra. – Łypie na mnie krwiożerczo i odchodzi.

Cricket niczego nie zauważa. Szeroko otwiera drzwi.

– Wchodź. Jak mnie znalazłaś?

– St. Cla... – Och.

Dwa łóżka. Nad jednym jest plakat z nocnym niebem i konstelacjami, tablica Mendelejewa, obok – biurko uginające się pod stosami papierów, drucików i metalowych części. Nad drugim – jeszcze więcej nagich kobiet ze świata fantasy, ogromny telewizor i kilka konsoli.

– Masz współlokatora.

– No tak. – Nie wie, do czego zmierzam.

– Bo widzisz, zaskoczył mnie... rysunek na drzwiach.

– Och nie, nie. Preferuję kobiety z... mniejszą liczbą broni i drapieźników. – Milknie na chwilę, uśmiecha się. – Ale gołe mogą być. Wolałbym tylko, żeby miała złotego retrievera i teleskop. O tak, tak byłoby znacznie lepiej.

Parskam śmiechem.

– A może wiewiórkę i próbówkę?

– Królika i notes – podsuwam.

– Ale z wykresami i wzorami matematycznymi.

Komicznie rzucam się na jego łóżko.

– Tego już za wiele! – Śmieje się, ale poważnieje, widząc, jak się wiercę. Jest jakiś nieswój. Opieram się na łokciach. – Co jest?

– Jesteś w moim pokoju – mówi cicho. – Jeszcze pięć minut temu cię nie było, a teraz jesteś.

Podnoszę się, nagle świadoma zarówno tego, że jestem na jego łóżku, jak i ledwie wyczuwalnego zapachu mydła i smaru. Patrę w kierunku jego głowy, ale unikam jego wzroku.

– Nie powinnam była tak wpaść bez uprzedzenia. Przepraszam.

– Nie, fajnie, że tu jesteś.

Zdobywam się na odwagę i patrzę mu w oczy, ale Cricket już mnie nie widzi. Sięga po coś na biurku. Niemal cały blat niknie pod stosem kartek i niedokończonych

projektów, ale jedna część jest czysta, leży tam tylko mój segregator.

– W ostatni weekend zacząłem nad tym pracować, kiedy byliśmy w Pensylwanii...

– O, właśnie. – Sprawdziłam, że zawody odbywały się w tym roku w Reading w Pensylwanii. Zachowuję się jak należy. – Jak poszło Calliope? – pytam uprzejmie.

– Dobrze, dobrze. Pierwsze miejsce.

– Czyli przełamała złą passę drugiego miejsca?

Podnosi głowę.

– Co? Och nie. Na początku sezonu zawsze wygrywa. Nie żeby jej to w czymkolwiek ujmowało – dodaje roztargniony. Skoro pytanie o siostrę nie robi na nim wrażenia, zakładam, że nie wie o naszej rozmowie. I lepiej niech tak zostanie. – No, dobra – mruczy. – Zobacz, nad czym pracowałem.

Siada koło mnie na łóżku. Jest teraz w trybie szalonego naukowca wynalazcy, więc zapomniał o własnej zasadzie zachowania dystansu. Wyjmuje szkice, które wsunął do środka, opowiada o materiałach, obwodach i innych sprawach, o których w ogóle nie myślę, bo widzę tylko, z jaką czułością trzyma na kolanach mój segregator.

Jakby był kruchy. Jakby był bezcenny.

– I co ty na to?

– Super – odpowiadam. – Wielkie dzięki.

– Będzie ogromna. Ale taką właśnie chciałaś, prawda? Masz dość materiału?

Ojoj. Powinnam go była uważniej słuchać. Wczytuję się w jego zapiski. Podaje mi kalkulator. Wbijam cyfry i sama nie mogę uwierzyć, jak to wszystko do siebie pasuje.

– Tak. Na szczęście kupiłam więcej materiału, tak na wszelki wypadek.

– Jutro odbieram wszystko, co mi potrzebne do rogowki, więc w weekend u rodziców mogę zacząć pracę. Ale będą mi potrzebne... – Rumieni się.

Uśmiecham się.

– Moje wymiary?

– Nie wszystkie. – Jest już czerwony jak burak.

Zapisuję mu te, których potrzebuje.

– Nie jestem jedną z tych dziewczyn, nie mam z tym problemu.

– I nie powinnaś, jesteś doskonała. Jesteś piękna.

Powiedział to. A tak bardzo uważał.

– Niepotrzebnie to powiedziałem. – Odkłada mój segregator i siada. Odsuwa się tak daleko ode mnie, jak to możliwe bez wkraczania na teren współlokatora. – Przepraszam. – Pociera tył głowy, patrzy w okno.

– Nie szkodzi. Dziękuję ci.

Milczymy. Na dworze zapada zmrok.

– Wiesz co? – Nerwowo bawię się zapięciem sztormiaka. – W kółko się za coś przepraszamy. Może powinniśmy już przestać. Może powinniśmy bardziej postarać się być przyjaciółmi. Przyjaciele mogą sobie mówić takie rzeczy bez specjalnego stresu.

Cricket odwraca się do mnie.

– I zjawiać się bez zapowiedzi.

– Co prawda, gdybyś dał mi swój numer, nie musiałabym tego robić.

Uśmiecha się. Wyjmuję komórkę z kieszeni i rzucam do niego, a on odrzuca mi swoją. Wbijamy sobie wzajemnie nasze numery. Jest w tym coś oficjalnego. Cricket oddaje mi moją ze słowami:

– Jestem pod Naga Tygrysica.

Śmieję się.

– Poważnie? A ja pod Goła Baba na Tygrysie.

– Naprawdę?

Śmieję się jeszcze głośniej.

– Nie. Pod Lola.

– Jedyna i niepowtarzalna.

Podchodzę do niego i wkładam mu telefon w otwartą dłoń.

– Z twoich ust to nie lada komplement, Cricket.

Powoli, pytająco unosi brwi.

A potem w pokoju zapala się światło.

– Oj, sorry. – Chłopak o połowę niższy i dwa razy szerszy od Cricketa rzuca na łóżko paczkę chipsów o smaku cebulowym. – Sorry, stary.

Cricket zrywa się na równe nogi.

– To mój współlokator, Dustin. Dustin, to Lola.

– Hm – mruży Dustin. – Myślałem, że jesteś gejem.

– Hm – odpowiada Cricket.

– No wiesz, wiecznie jeździsz do miasta i olewasz Heather, ilekroć tu przychodzi.

Heather? Kolejna dziewczyna?

– Ale się myliłem. – Dustin kręci głową i rzuca się na łóżko, obok chipsów. – No dobra, to już nie muszę się bać, że na mnie lecisz.

Spinam się cała.

– Skąd pomysł, że miałyby na ciebie lecieć? Przecież ty też nie lecisz na każdą dziewczynę na świecie, prawda? Niby dlaczego on miałyby lecieć na każdego faceta?

– Ej! – Dustin patrzy na Cricketa. – O co tu chodzi?

Cricket odchrząka.

– Chodźmy już, Lola. Nie chcesz przecież spóźnić się na pociąg.

– Nie uczysz się tutaj? – Dustin zwraca się do mnie.

– Nie, w mieście. – Wsuwam segregator do torby.

Mierzy mnie wzrokiem.

– Studenteczka sztuki, co?

– Nie. Uczennica.

– Słucham?

– Liceum – dopowiadam.

Dustin unosi brwi. Patrzy na Cricketa.

– Stary, to legalne? – W jego głosie splatają się podziw i szacunek.

– Cześć, Dustin. – Cricket przytrzymuje mi drzwi.

– Czy to legalne?! – krzyczy, gdy zatrząskują się za nami drzwi.

Cricket zamyka oczy.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj, a już na pewno nie za niego. – Wzdrygam się. Wychodzimy na zewnątrz. Nic dziwnego, że Cricket tak często wraca do domu. – Zresztą przywykłam już – dodaję. – Ciągłe słyszę takie...

Cricket staje w miejscu.

– Bzdury. – Hm.

– No tak. Oczywiście. – Z wielkim wysiłkiem odpycha od siebie ducha Maksa. Zawsze obecny, zawsze z nami. – A co dzisiaj robi twój chłopak?

– Nie wiem, jeszcze z nim dzisiaj nie rozmawiałam.

– A zazwyczaj rozmawiacie? Codziennie?

– Tak – odpowiadam niespokojnie. Tracę go. Dzisiaj jednak odsuwa się ode mnie fizycznie, a w myślach buduje między nami barierę, żeby się ode mnie odciąć. – Chcesz coś zjeść czy coś? – rzucam nagle. Nie odpowiada. – Zresztą nieważne, na pewno masz coś do roboty – dorzucam.

– Nie! – I już spokojniej, z opanowaniem: – Tak, chodźmy coś zjeść. Szczególne życzenia?

– Cóż... Andy dał mi pieniądze na pizzę.

Cricket oprowadza mnie po kampusie, pokazuje poszczególne budynki – wszystkie bez wyjątku dostojne i dumne – w których ma zajęcia. Opowiada o wykładowcach i innych studentach i po raz kolejny uderza mnie, że ma inne życie. Życie, którego częścią nie jestem.

Wędrujemy Telegraph Avenue, najbardziej ruchliwą ulicą w centrum Berkeley. Ta

część miasteczka najbardziej przypomina San Francisco – salony tatuażu, sklepy z koralikami, księgarnie, sklepy muzyczne, z tytoniem, ze skarbami z Nepalu. I handlarze uliczni handlujący tandetą – wszystkim możliwym, poczynając od paskudnej biżuterii przez kolorowe sznurówki, koszarne bohomazy i wszechobecne wizerunki Boba Marleya. Przeciskamy się przez grupę roztańczonych Hare Krisznówców w pastelowych szatach, z dzwoneczkami. O mały włos, a wpadłabym na faceta w futrzanej czapie i pelerynie. Rozpościera na mikroskopijnym stoliku kawałek aksamitu i szykuje się do stawiania tarota, tu, na środku ulicy. W tej chwili odczuwam ulgę, że Norah nie lubi przebieranek – przynajmniej nie wygląda jak ten koleś.

Bezdomni są wszędzie. Starszy facet o poniszczonej twarzy zjawia się nie wiadomo skąd, kuleje i zatacza się przed nami jak zombi. Odruchowo odskakuję w tył.

– Ej – mówi cicho Cricket. Domyślam się, że zauważył moją reakcję. Odczuwam ulgę na myśl, że wie, skąd się bierze. Że nie muszę niczego tłumaczyć i że mnie z tego powodu nie osądza. Uśmiecha się. – Jesteśmy na miejscu.

W knajpie upieram się, że zapłacę dwudziestką od Andy’ego. Siadamy przy kontuarze, przy oknie wychodzącym na ulicę i zjadamy pizzę – ja kawałek wegetariańskiej z pesto, Cricket – trzy kawałki z pepperoni. Sący też wiśniową colę.

– Fajnie, że Andy dał nam pieniądze na obiad – stwierdza. – Ale czemu akurat pizza?

– Och, bo pizza była po drodze – odpowiadam. Patrzy na mnie pustym wzrokiem, więc dodaję: – Po drodze do Lindsey. Myśli, że jestem u Lindsey.

Cricket odstawia puszkę.

– No nie, powiedz, że to żart.

– Nie. Tak było łatwiej, niż tłumaczyć Andy’emu... – Urywam. Sama nie wiem, co miałabym dalej powiedzieć.

– Niż tłumaczyć mu, że chciałaś się ze mną spotkać?

– Nie. To znaczy, tak. Ale nie sądzę, żeby mieli coś przeciwko temu – dodaję szybko.

Traci cierpliwość.

– Więc dlaczego im nie powiedziałaś? Jezu, Lola. A gdyby coś ci się stało? Nie wiedzieliby, gdzie jesteś!

– Powiedziałam Lindsey. – Co prawda już po fakcie. Odsuwam solniczkę od siebie.

– Wiesz, mówisz jak moi rodzice.

Cricket spuszcza głowę, przeczesuje palcami ciemne włosy. Kiedy znowu podnosi głowę, włosy sterczą bardziej niż zwykle. Wstaje.

– Chodź.

– Co?
– Musisz iść do domu.
– Jem. I ty też.
– Nie możesz tu zostać, Lola.
– Nie do wiary. Mówisz poważnie?
– Tak. Nie chcę mieć tego na... na koncie.
– Co to ma znaczyć, do cholery?
– To, że kiedy twoi rodzice dowiedzą się, że byłeś tu bez ich wiedzy, będą mieli mi to za złe.

Teraz i ja wstaję. Jest ode mnie prawie czterdzieści centymetrów wyższy, ale staram się patrzeć na niego z góry.

– A niby czemu tak ci zależy na tym, żeby byli o tobie dobrego zdania? Czy naprawdę muszę ci przypomnieć – po raz kolejny – że mam chłopaka?

To okrutne słowa. Żałuję, że je wypowiedziałam, ale jest już za późno. W niebieskich oczach Cricketa maluje się gniew.

– W takim razie dlaczego tu właściwie jesteś?

Wpadam w panikę.

– Bo obiecałeś mi pomóc.

– I ci pomagałem. A ty nagle zjawiasz się... w moim pokoju! Wiedziałaś, że w weekend będę w domu...

– W zeszły nie byłeś!

– A teraz jeszcze mam prosić cię o pozwolenie, zanim wyjadę? Co, taką przyjemność sprawia ci świadomość, że tam siedzę i... wzdycham do ciebie?

Ciskam niedojedzony kawałek pizzy do śmieci, wybiegam z restauracji. Dogania mnie, jak zawsze. Łapie mnie za ramię.

– Poczekaj, Lola. Sam nie wiem, co mówię. Wszystko dzieje się za szybko. Zacznijmy jeszcze raz.

Wyrywam mu się, biegnę w kierunku dworca. Dotrzymuje mi kroku.

– Wracam do domu, Cricket. Robię to, co mi kazałeś.

– Nie odchodź, proszę. – Słyszę desperację w jego głosie. – Nie tak.

– Nie możesz mieć wszystkiego, nie rozumiesz? – Zatrzymuje się gwałtownie, chwieję się na nogach. Mówię do siebie, nie do niego.

– Staram się – zapewniam. – Bardzo się staram.

Te słowa łamią mi serce.

– Cóż. Ja też.

Zmieszanie. A po chwili.

– Ty... ty się starasz? Tak jak ja? – Słowa padają szybko, wpadają na siebie.

Wszystko byłoby o wiele łatwiejsze, gdybym mogła mu powiedzieć, że mnie nie interesuje, że nie ma u mnie żadnych szans. Ale to, jak Cricket Bell na mnie patrzy, jakby to, co teraz powiem, było dla niego najważniejsze na świecie, sprawia, że tylko prawda przechodzi mi przez usta.

– Nie wiem, rozumiesz? Patrzę na ciebie, myślę o tobie i... nie wiem. Jeszcze nigdy nie byłam tak zagubiona.

Mina jak przy trudnym równaniu.

– I co to znaczy?

– To, że wracamy do punktu wyjścia. A ja na stację. Idę.

– Pojadę z tobą...

– Nie.

Chce protestować, chce mieć pewność, że cała i zdrowa dotrę do domu, ale wie, że jeśli ze mną pojedzie, przekroczy linię, która ma zostać nietknięta. I mnie straci.

Więc żegnamy się.

A kiedy pociąg odjeżdża, czuję, że i tak go straciłam.

Rozdział 21

Uwielbiam patrzeć na Maksa na scenie. Gra w tej chwili swój ulubiony, chwilowo, cover. Kiedy pierwszy raz zagrał *I Saw Her Standing There*, patrząc na mnie z krzywym uśmiechem, myślałam, że umrę. Oto stałam się jedną z tych dziewczyn. Z dziewczyn, którym dedykuje się piosenki.

To nadal ekscytujące.

Jesteśmy z Lindsey na Scare Francisco, wielkim rockowym festiwalu z okazji Halloween w parku Golden Gate. Jest sobota, nadal mam szlaban, ale już od dawna mamy te bilety, a zresztą w domu jest Norah. Odmówiono jej przyjęcia do wszelkich ośrodków dla byłych narkomanów w całym mieście, więc umówiła się ze starym kumplem Ronniem. Ronnie to skrót od Weronika, i to właściwie jest ona, nie on; jedyny problem w tym, że obecny współlokator wyprowadzi się dopiero w styczniu. Rodzicom nie daje to spokoju, więc pozwolili mi dzisiaj wyjść.

Zgodnie z naszą tradycją mam na sobie dzinsy, skromną bluzkę, czarną prostą perukę z grzywką i czerwone trampki. Lindsey jest w sukience z lat pięćdziesiątych, krótkim fartuszku vintage, na wysokich obcasach, w blond peruce, z wielkimi błyszczącymi klipsami na uszach.

Przebrałyśmy się za siebie nawzajem, to jasne. Właściwie co roku zakładam to samo. Ona zawsze ma na sobie coś innego.

Amfetamina kończy grać na czwartej scenie. Pakują sprzęt, a na estradzie rozstawia się następny zespół, Pot Kettle Black. Wachluję się ulotką reklamową domu strachów i staram się robić to dyskretnie, żeby nikt nie zauważył, że chcę ochłodzić nie tyle twarz, co pachy. Nie chcę przy Maksie śmierdzieć. Jeszcze mnie nie widział. Słońce świeci nieubłaganie i mimo filtra 25 mam czerwony nos. Rzadkie fale upałów przychodzą najczęściej właśnie jesienią.

– Nie mogę się już doczekać, kiedy będziesz prawdziwą panią detektyw i będę mogła nosić twoją odznakę – mówię do Lindsey. – Od razu aresztowałabym tę laskę przebraną za seksowną kotkę. Jezu.

– A ja nie mogę się doczekać, kiedy ortopeda zabroni ci nosić obcasy.

– Za to wyglądasz bosko, skarbie.

– Lola?! – woła ktoś za nami.

Odwracam się i widzę Calliope. Przechyliła głowę na bok.

– To naprawdę ty. Miałaś rację – rzuca przez ramię. Podążam za jej wzrokiem i

widzę, jak zza pleców gigantycznego Anioła Piekieł wyłania się jej brat. W sensie, zza pleców faceta przebranego za Anioła Piekieł. Wachluję się ulotką. Znowu mi gorąco. Nie wiem, które z bliźniąt niepokoi mnie bardziej.

– Skąd wiedziałeś? – drąży Calliope. – Lola wygląda tak... Normalnie.

– Uznam to za komplement – szepcze mi Lindsey do ucha.

– W Halloween zawsze przebiera się za Lindsey – tłumaczy Cricket. Wyglądają normalnie, choć na jego dłoni widzę napis: „Strachy”. – Superstrój, Lindsey. Bosko wyglądasz.

Lindsey, która niby nie przejmuje się ciuchami, wydaje się zadowolona z komplementu.

– Dzięki.

Nie może patrzeć mi w oczy. Widział zespół Maksa? Co o nim sądzi? Odkąd odwiedziłam go w Berkeley, kontaktowaliśmy się tylko raz. Tego samego wieczoru dostałam esemes od nagiej tygrysicy z pytaniem, czy dotarłam do domu. W czymkolwiek innym wykonaniu po kłótni coś takiego uznałabym za nieznośne, ale Cricket po prostu zawsze jest miły.

Nie mam pojęcia, czy Calliope wie, że go odwiedziłam. Pewnie nie, bo nadal ze mną rozmawia. Dzięki ci, Boże, za małe cuda.

– Ej! – Tak mniej więcej patrzę Cricketowi w oczy. – Co tu robicie?

– To samo co wy – odpowiada zwięźle Calliope. – Słuchamy muzyki. Odwołali mi trening. Petro jest chory.

– Petro? – powtarza Lindsey.

– Petro Petrov, mój trener.

Z trudem tłumimy z Lindsey śmiech. Calliope na szczęście tego nie zauważa. Dziwne, ale nagle do mnie dociera, że od bardzo dawna nie widziałam bliźniąt razem. Mają podobne figury, choć Calliope jest o wiele drobniejsza. Mimo to jest wyższa od rywalek. Po tym, jak gwałtownie urosła, musiało minąć sporo czasu, zanim ponownie odnalazła się na tafli. Cricket tłumaczył mi kiedyś, że u osoby wysokiej środek ciężkości znajduje się wyżej, a przez to pomyłki są bardziej widoczne. Brzmi sensownie. Teraz jednak odzyskała pewność siebie i nikt nie może jej lekceważyć. W każdej chwili mogłaby rozłożyć mnie na łopatki.

Czuję, że dostrzega napięcie między Cricketem a mną i na pewno dokładnie to sobie przemyśli.

– Dlaczego się nie przebraliście? – pyta Lindsey.

– Przebraliśmy. – Calliope uśmiecha się po raz pierwszy. – Za bliźnięta.

Lindsey odpowiada uśmiechem.

- No jasne, teraz widzę. Jedno- czy dwujajowe?
- Nie masz pojęcia, ile osób nas o to pyta – wtrąca Cricket.
- I co im mówicie?
- Że mam ptaka.

O Boże. Wszyscy parskają śmiechem, a mi płoną policzki. Pomyśl o czymś innym, Dolores. Czymkolwiek. Ogórek. Banan. Cukinia. Cholera. Nie, nie, nie, nie! Odwracam się, gdy Calliope dławi się komicznie.

- Zmieniamy temat – rzuca.
- Nie jesteście przypadkiem głodni? – walę bez namysłu. No nie. Bogu dzięki, że czytanie w myślach to ściema.
- Umieram z głodu – zapewnia Cricket.
- Mówi ktoś, kto przed chwila wciągnął trzy burrito – mruczy Calliope. Cricket gładzi się po brzuchu, aż brzęczą jego bransoletki.
- Zazdrościsz mi.
- To nie fair. Cricket obżera się od rana do nocy i je same potworne rzeczy...
- Pyszne rzeczy – poprawia.
- Same potworne i pyszne rzeczy i nie tyje ani odrobinę. A ja liczę kalorie w każdym kielku.
- Co? – Lindsey nie wierzy własnym uszom. Ja też nie. – Masz boską figurę. Naprawdę, boską.

Calliope przewraca oczami.

- Powiedz to mojemu trenerowi. I komentatorom sportowym.
- I mamie – dorzuca Cricket. Calliope łypie na niego groźnie. Odpowiada tym samym. Niesamowite, że mają to samo mordercze spojrzenie.

I nagle parskają śmiechem.

- Wygrałem! – twierdzi Cricket.
- O nie. Roześmiałeś się pierwszy.
- Remis – orzeka Lindsey.
- Ej! – Calliope patrzy na mnie i natychmiast poważnieje. – Czy to nie twój chłopak? O niech to kościotrup.

Do tego stopnia mnie zaskoczyli, że zapomniałam, że Max zjawi się lada chwila. Najchętniej wepchnęłabym Cricketa z powrotem za Anioła Piekieł, a sądząc po jego minie, też nie miałby nic przeciwko temu. Max przeciska się przez tłum jak wilk na łowach. Macham bez entuzjazmu. Odpowiada skinieniem i wraca wzrokiem do Cricketa.

Zamyka mnie w objęciu wytatuowanych ramion.

– Jak koncert?

– Super – mówię szczerze. Obejmuje mnie mocno, zmusza, żebym zmierzyła się z eleganckim słoniem między nami. – To mój sąsiad, Cricket. Pamiętasz? – Jakby któreś z nas zdołało zapomnieć.

– Cześć. – Cricket najchętniej zapadłby się pod ziemię.

– Cześć – rzuca Max znudzonym głosem. Przy czym to nawet nie jest jego typowy znudzony głos; to znudzony głos, którym chce powiedzieć: widzisz, jak bardzo mam cię w nosie?

– A to jego siostra, Calliope.

– Widzieliśmy wasz występ – mówi Calliope. – Byliście super.

Max mierzy ją wzrokiem.

– Dzięki – odpowiada po chwili. Grzecznie, ale obojętnie. Jego zachowanie zbija ją z tropu. Wraca do mnie wzrokiem i marszczy brwi. – W coś ty się ubrała?

Powiedział to w taki sposób, że nie mam ochoty odpowiadać.

– Przebrała się za mnie – mówi Lindsey.

Max w końcu ją dostrzega.

– A ty jesteś nią. No cóż. Szczerze mówiąc, nie będę płakał, kiedy Halloween się skończy.

Jestem w szoku. Obecność Cricketa obudziła w nim najniższe instynkty.

– Moim zdaniem wyglądają super. – Cricket prostuje się na całą wysokość. Z góry patrzy na mojego chłopaka. – I fajnie, że robią to co roku.

Max pochyla się i mówi tak cicho, że tylko ja go słyszę.

– Idę spakować sprzęt do wozu. – Całuje mnie szybko, zaraz jednak zmienia zdanie. Zwalnia i całuje mnie Naprawdę. – Napiszę, kiedy skończę. – I odchodzi, z nikim się nie żegnając.

Umieram ze wstydu.

– On... źle znosi większe grupy.

Calliope krzywi się z niesmakiem, a mi się robi słabo, bo wiem, co sobie myśli – prowokuję Cricketa, a jednocześnie zadaję się z czymś takim. Tylko że to wcale nie był mój chłopak. Pogarda na twarzy Cricketa jest jeszcze gorsza. Już sobie wyobrażam rozmowy, w których Calliope wykorzysta tę sytuację, by dowodzić, że jestem płytka i niegodna jego przyjaźni.

Patrzę na Lindsey.

– Przepraszam. Na pewno nie to chciał powiedzieć.

– Co tam. – Wznosi oczy do nieba. – Wiesz, że mnie nie znosi. Też za nim nie przepadam.

Zniżam głos.

– Nieprawda, że cię nie znosi.

Wzrusza ramionami. Nie wytrzymam tego dłużej, nie przy bliźniętach, więc biorę Lindsey za rękę i odchodzę na bok.

– Musimy już iść. Na szóstej scenie zagra zespół, który strasznie chciałam zobaczyć.

– Dobrze, idziemy z wami – decyduje Calliope. – Znacie te zespoły lepiej niż my.

Wyję w głębi duszy, gdy idą za mną i milczącą grobowo Lindsey. Mijamy tłumy duchów, kościotrupów i piratów i docieramy do sceny numer sześć, na której kiepski zespół punkowy pastwi się nad *Thrillerem*. Wytężam wzrok, usiłując odczytać nazwę na perkusji.

– Płonące Oliwki?

– Piekielne Diabły – poprawia zirytowana Lindsey.

– Głupia nazwa – decyduję.

– Oliwki jeszcze gorsza – zauważa Calliope. – Zdawało mi się, że bardzo chciałaś ich zobaczyć.

– Myślałam, że są inni – mruczę.

– Coś takiego – mówi Cricket.

W tym „coś takiego” jest niedowierzanie, a ja wstydzę się coraz bardziej. Obstaję przy swoim, usiłuję zatracić się w muzyce, ale nie mieści mi się w głowie, że kilka minut temu mój chłopak tak paskudnie potraktował Lindsey. Że Cricket widział, że traktuje ją tak paskudnie. I cieszę się, że zareagował, zanim Max jeszcze bardziej pogorszył sytuację, ale dlaczego to musiał być akurat on? To ja powinnam była się odezwać. Pomarańczowe słońce zalewa nas żarem. Znowu oblewam się potem. Peruka przyciąga promienie. Zastanawiam się, jak bardzo źle wyglądają pod nią moje włosy i czy mogę zaryzykować i ją zdjąć. W końcu mała chmurka zasłania bezlitosne słońce. Wzdycham z ulgą.

– Nie ma za co – mówi Cricket.

Dopiero wtedy dostrzegam, że stoi za mną. To on jest tą chmurą.

Uśmiecha się dziwnie ponuro.

– Wydawało mi się, że ci gorąco.

– Zespół jest do bani, a poza tym strasznie bołą mnie nogi – oznajmia Lindsey. – Chodźmy stąd.

Telefon wibruje mi w kieszeni. Wiadomość od Maksa.

„Jestem na łączce Marx koło punktu pierwszej pomocy. A ty?”

Początkowo planowałam, że przez jakiś czas posiedzimy razem z Maksem i Lindsey, a o zmierzchu wrócimy do domu. Uwielbiam Halloween. Dawniej w dzielnicy Castro

zamykano wszystkie ulice i urządzano gigantyczną uliczną imprezę, na której bawiło się nawet sto tysięcy osób, ale kilka lat temu ktoś w tym zamieszaniu zginął. Miasto położyło kres zamykaniu ulic i sugerowało bawienie się we własnej dzielnicy, ale i tak nie ma to jak tłum rozbawionych transów na Halloween.

Tylko że teraz nie mam ochoty bawić się razem z Lindsey i Maksem. I naprawdę chcę zostać teraz z przyjaciółką, ale z Maksem nie widziałam się od dwóch tygodni.

Nie. Powinam zostać z Lindsey.

– Max? – domyśla się.

– Tak. Chce się spotkać, ale napiszę mu, że wolę wcześniej iść do domu.

– Będzie wściekły, jeśli nie przyjdiesz.

– Nie będzie – zapewniam i zerkam niespokojnie na Cricketa. Choć tak naprawdę Lindsey ma rację. Tylko że w jej ustach jakimś cudem to brzmi gorzej, niż jest naprawdę.

– Nie widzieliście się od dawna. Nie chcę stać na drodze waszych amatorów.

Wolałabym, żeby Cricket tego wszystkiego nie słyszał.

– Jest w porządku, naprawdę – ciągnie. – Jeszcze trochę zostanę z nimi – wskazuje bliźnięta – a potem wrócę autobusem do domu. Jestem zmęczona.

Odpycha mnie, bo jest urażona. Kiedy jest w takim humorze, nie ma na nią rady, trzeba jej ustąpić.

– No dobra, czyli pogadamy wieczorem?

– Leć – mruczy.

Zanim odejdę, jeszcze raz ukradkiem zerkam na Cricketa. I zaraz tego żałuję. Wydaje się bardzo udręczony. Jakby za wszelką cenę chciał mnie zatrzymać, ale nie pozwalają mu na to jego niewidzialne demony. Żegnaj się niewyraźnie. Idąc na łąkę, zdejmuję perukę. Nie mam torebki – Lindsey ich nie używa – więc zostawiam ją na gałęzi klonu. Może ktoś doda ją do swego przebrania. Potrząsam włosami. Rozpinam górne guziki bluzki, podwijam rękawy. Lepiej, ale to nadal nie jestem ja.

Czy raczej, to aż za bardzo ja. Czuję się naga.

Max opiera się o namiot pierwszej pomocy. Na mój widok się odpręża. Cieszy się, że przyszłam sama. Ale kiedy go całuję, znowu sztywnieje. Przeszywa mnie dreszcz.

– Nie teraz, Lola.

Odmowa boli. Czy to przez mój wygląd?

– Nadal się z nim spotykasz – mówi.

Czyli jest zazdrosny. Znowu się pocę.

– Z kim? – Gram na zwłokę.

– Z Pasikonikiem. Chrząszczem. Trutniem.

Nie podoba mi się, że nabija się z jego imienia.

– To wcale nie jest zabawne. A to, co powiedziałaś Lindsey, było okropne.

Krzyżuje ręce na piersi.

– Od dawna się z nim spotykasz?

– Nie spotykam się z nim. Natknęliśmy się na niego i jego siostrę przypadkiem, przysięgam. – Milczy, więc nerwowo paplam dalej: – Daję ci słowo, wpadliśmy na nich z Lindsey całkiem przypadkowo, i to najwyżej trzy minuty przed tym, zanim przyszedłeś.

– Nie podoba mi się, jak na ciebie patrzy.

– Max, to jest tylko mój sąsiad.

– Ile razy widziałaś się z nim od tamtego spotkania w Amoeba Records?

Waham się i w końcu decyduję na coś na kształt prawdy.

– Czasami w weekendy widuję go przez okno.

– Przez okno? Przez okno w twoim pokoju? W sypialni?

Mrużę oczy.

– A potem zaciągam zasłonę. Koniec dyskusji.

– Lola, nie wierzę, że...

– Nigdy mi nie wierzysz!

– Bo zawsze i wszędzie kłamiesz! Myślisz, że nie wiem, że coś przede mną ukrywasz? Co się wydarzyło w lesie Muir?

– Co?

– Słyszałaś. Nathan chciał cię sprowokować, żebyś mi coś wyznała, wtedy, na kolacji. On był z wami, prawda? Ten sąsiad.

– Jezu, całkiem oszalałaś. To był piknik. Rodzinny piknik. Odbija ci, wymyślasz coś sobie. – Wpadam w panikę. Skąd wie?

– Czyżby?

– Tak!

– Bo jedno z nas bardzo się tym denerwuje.

– Tak, bo zarzucasz mi okropne rzeczy! Nie mieści mi się w głowie, że myślisz, że mogłabym cię okłamać w takiej sprawie! – Jezu, pójdę do piekła, to już pewne. Zaczynam płakać. – Dlaczego od razu zakładasz, że chciałabym cię zdradzić?

– Sam nie wiem. Może dlatego, że nigdy nie jesteś taka sama. Nic w tobie nie jest prawdziwe.

Te słowa są jak cios w serce.

Max widzi, że posunął się za daleko. Wzdryga się, jakby znikło zakłęcie.

– Przepraszam, nie chciałem tego powiedzieć. Wiesz przecież, że uwielbiam te

twoje szalone kreacje.

– Zawsze mówisz to, co myślisz – szepczę.

Przez dłuższą chwilę masuje sobie skronie.

– Przykro mi. Chodź tutaj. – Obejmuje mnie serdecznie. Odwzajemniam uścisk, ale mam wrażenie, że Max znika. Chcę mu powiedzieć, że mi przykro, ale boję się wyznać mu prawdę. Nie chcę go stracić.

Kiedy dwoje ludzi się kocha, wszystko ma się udać. Musi się udać. Bez względu na okoliczności. Przypominają mi się piosenki, które pisze, te, które gra w swoim mieszkaniu tylko dla mnie. Myślę o naszej przyszłości, gdy nie będę już zależna od rodziców. Kostiumy za dnia, kluby muzyczne w nocy. Oboje odniesiemy sukces, i to dzięki sobie.

Dzięki naszej miłości.

Max całuje mnie w szyję. W podbródek. W usta. Całuje mnie chciwie, zaborczo. Max to ten jeden, jedyny. Kochamy się, więc na pewno tak jest.

Odrywa się ode mnie.

– To jestem prawdziwy ja. A ty?

Kręci mi się w głowie.

Ale na wargach czuję smak strachu. Smak kłamstwa.

Rozdział 22

Rozmawiam o Maksie z księżycem, ale to zdecydowanie za mało. Jego promienie odbijają się niesamowitym blaskiem w oknie Cricketa.

– Max nie lubi, kiedy ubieram się normalnie, ale jednocześnie zawsze, kiedy się kłócimy, wypomina mi moje przebrania. Nigdy nie jestem taka, jakby tego chciał.

Księżyc znika za chmurami.

– No dobra, fakt, okłamałam go. Ale wiesz przecież, jaki potrafi być zazdrosny. Mam wrażenie, że mnie do tego zmusza. A nie powinnam przecież walczyć o prawo do przyjaźnienia się z innym chłopakiem.

Czekam. Ciemne niebo milczy.

– Jasne, sytuacja z Sam-Wiesz-Kim jest dziwna, prawda. Może... Może Max i Calliope mają trochę racji. Ale Max nigdy, naprawdę nigdy mi nie ufa, więc niby jak mam odpowiedzieć tym samym? Rozumiesz, o co mi chodzi? Widzisz, jakie to wszystko skomplikowane? – Zamykam oczy. – Proszę, powiedz, co mam robić?

Przez zamknięte powieki przenika jasne światło. Otwieram oczy. Chmury się przesunęły. Blask księżyca pada na okno Cricketa.

– Masz dziwne poczucie humoru – stwierdzam.

Promienie nawet nie drgną. Sama nie wiem, co mną kieruje, ale nagle chwytam z biurka garść spinek i rzucam nimi w jego okno. Puk! Puk! Puk! Jeszcze siedem wsuwek i okno Cricketa się uchyla.

– Cukierek albo psikus – mówię.

– Stało się coś? – Jest zaspany i dezorientowany. Ma na sobie tylko bokserki i bransoletki na przegubach.

O Boże. Ma na sobie tylko bokserki.

– Nie.

– Nie? – Trze zaspane oczy.

Nie patrz na jego ciało. Nie patrz. Nie patrz.

– Byłeś gdzieś dzisiaj? Siedziałam w domu i rozdawałam cukierki. Nathan kupił dobre, drogie czekoladki, nie tanioczę, jak zazwyczaj, wiesz, różne pyszne czekoladki o najróżniejszych smakach. U was pewnie też było mnóstwo dzieciaków, co?

Patrzy na mnie pustym wzrokiem.

– Obudziłaś mnie, żeby rozmawiać o czekoladkach?

– Ciągłe jest bardzo gorąco, prawda? – Wyrzucam z siebie. I mam ochotę zapaść się

pod ziemię.

Bo Cricket znieruchomiał. Nagle zdał sobie sprawę, że jest praktycznie nagi. A ja wcale, wcale, wcale na niego nie patrzę.

– Chodźmy na spacer!

Moja propozycja wytrąca go z zadumy. Wycofuje się, gra na zwłokę.

– Teraz? – pyta z ciemności. – Jest druga czterdzieści dwa.

– Chciałabym pogadać.

Cricket wraca. Znalazł spodnie. Włożył je.

Czerwienię się.

Zastanawia się przez chwilę, wkłada koszulkę przez głowę i kiwa głową. Zbiegam na dół, mijam sypialnię rodziców i gabinet, w którym śpi Norah, i niezauważona wychodzę na zewnątrz. Cricket już tam jest. Mam na sobie spodnie od piżamy w kawałki sushi i białą koszulkę. Kiedy widzę go w pełni ubranego, czuję się nagle naga, a uczucie to narasta, gdy widzę, jak pochłania wzrokiem moją odsłoniętą skórę. Idziemy razem na szczyt naszego wzgórza. Jakimś cudem oboje wiemy, dokąd zmierzamy.

Miasto jest ciche. Głośne duchy Halloween poszły już spać.

Dochodzimy do jeszcze wyższego wzgórza, które oddziela nas od parku Dolores. Na szczyt prowadzi osiemdziesiąt stopni. Wiem, bo policzyłam. Na mniej więcej dwudziestym Cricket się zatrzymuje.

– Powiesz, o co ci chodzi, czy mam zgadywać? Bo nie jestem zbyt dobry w zgadywankach. Powinno się mówić prosto z mostu, a nie owijać w bawełnę.

– Przepraszam.

Uśmiecha się po raz pierwszy od bardzo dawna.

– Ej, żadnego przeproszania.

Uśmiecham się w odpowiedzi, ale zaraz poważnieję.

On też.

– Chodzi o Maksa?

– Tak – odpowiadam cicho.

Powoli idziemy dalej.

– Zdziwił się dzisiaj na mój widok. Nie wie, że się przyjaźnimy, prawda?

Smutek w jego głosie każe mi zwolnić. Oplatam się ramionami.

– Nie. Nie wiedział.

Cricket się zatrzymuje.

– Wstydzisz się mnie?

– Niby dlaczego miałabym się ciebie wstydzić?

Wbija ręce w kieszenie.

– Bo nie jestem fajny.

Zbija mnie z tropu. Fakt, Cricket nie jest fajny tak, jak fajny jest Max, ale to najbardziej interesujący znany mi człowiek. Jest dobry, inteligentny i atrakcyjny. I dobrze ubrany. Naprawdę dobrze ubrany.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Proszę cię. Max to seksowny bóg rocka, a ja to chłopak z sąsiedztwa. Kujon, głupi naukowiec, którego życie ogranicza się do trybun przy lodowisku. Z nich kibicuje siostrze.

– Nie jesteś... Nie jesteś kujonem, Cricket. Zresztą nawet gdyby, co z tym nie tak? I niby dlaczego nauka miałaby być głupia?

Wydaje się bardzo poruszony.

– Och nie – mówię. – Tylko mi nie mów, że chodzi o twojego praprapra coś tam dziadka. Bo to nie ma...

– Ma, i to ogromne znaczenie. Z jego spadku mamy ten dom, treningi Calliope, moje studia, wszystko, co kiedykolwiek miałem... to nie jest nasze. Wiesz, jak skończył Alexander Graham Bell, gdy już został sławny? Do końca życia krył się na odludziu, w Kanadzie. Ze wstydu.

– Więc dlaczego to zrobił?

Cricket przeczesuje włosy palcami.

– Z tego samego powodu, z którego wszyscy popełniamy błędy. Z miłości.

– Och. – Zabolało. Właściwie nie wiem, dlaczego aż tak bardzo, ale zbolało.

– Jej ojciec był potężny i bogaty, czego o Aleksandrze nie można powiedzieć. Miał pomysł, jak zbudować telefon, ale nic mu się nie udawało. Jej ojciec dowiedział się, że kto inny – Elisha Gray – chciał zgłosić patent, więc tego samego dnia co on poszli do urzędu patentowego, skopiowali jego pomysł, zgłosili go i twierdzili, że byli tam pierwsi. Alexander został jednym z najbogatszych ludzi w Ameryce i mógł się ożenić z moją prapraprababką. Kiedy Elisha zorientował się, że zrobili go w balona, było już za późno.

Jestem w szoku.

– To straszne.

– W książkach historycznych aż się roi od kłamstw. Historię piszą zwycięzcy.

– Ale przecież Alexander był geniuszem. Wynalazcą. To akurat jest prawdziwe. Nie chodzi o to, co się dostało, tylko oto, co się z tym robi.

– Konstruuje bezużyteczne maszyny – odpowiada cicho. – To równie beznadziejne. Powinienem stworzyć coś, co zmieni świat coś, co... zmaże tę plamę.

Ogarnia mnie złość.

– Jak myślisz, co byłoby ze mną, gdybym uwierzyła, że geny są aż tak ważne w naszym życiu? Gdybym uznała, że tylko dlatego, że moi biologiczni rodzice podjęli pewne decyzje, moje życie, moje marzenia nie są nic warte? Wiesz, co by to dla mnie oznaczało? Wiesz, co to już teraz dla mnie oznacza?

Peszy się.

– Przepraszam, nie myślałem..

– No właśnie, nie myślałeś. Masz dar, ale w niego wątpisz. – Kręcę głową, żeby odzyskać jasność myślenia. – Nie możesz pozwolić, by wstyd mówił ci, kim jesteś. Twoje nazwisko to jedno, ty – to drugie. Sam podejmujesz decyzje.

Patrzy na mnie.

Odwzajemniam spojrzenie i czuję, jak moje zmysły budzą się do życia. Narasta między nami takie napięcie, że zaczynam się bać.

Uciekam wzrokiem.

Wchodzimy na szczyt pagórka i przed nami rozpościera się całe miasto. Słoczone domki, złote wzgórza, wieżowce, zatoka. Fantastyczny widok. Siedzimy na bryle asfaltu, wpatrzeni w dal. To czyjś podjazd, ale nikt nas nie widzi, zasłaniają nas drzewa eukaliptusów, których zapach przesyca nocne powietrze.

Cricket oddycha powoli, głęboko.

– Brakowało mi tego. Eukaliptusy zawsze kojarzą mi się z domem.

Ogarnia mnie ciepło, bo nawet teraz, mając nowe życie w Berkeley, uważa, że dom jest tutaj.

– Wiesz – mówię – kiedy byłam mała, rodzice martwili się tym, jak się ubieram.

– Czemu?

– Bali się, że ludzie pomyślą, że to oni mnie tak stroją. Że geje obsypują mnie brokatem i świecidełkami.

Parska śmiechem.

– Ale potem zrozumieli, że taka właśnie jestem, i zaakceptowali to, wspierali mnie, pomagali. A potem, tamtego lata, to ty nauczyłaś mnie, jak mam sama siebie zaakceptować. Nie przejmować się tym, co mówią inni. I wtedy... wcale nie było tak źle.

– Ja?

– Tak, ty. Teraz ja ci mówię: w życiu nie zapomnę tego mechanicznego ptaszka, którego skonstruowałaś. Tego, który śpiewał tylko wtedy, gdy otworzyło się klatkę.

– Pamiętasz to? – Nie wierzy własnym uszom.

– I tę machinę, godną Rube'a Goldberga, która ostrzyła ołówek po pięćdziesięciu

wcześniejszych etapach? Albo układankę z klocków domina, nad którą ślęczałeś przez dwa tygodnie, a która runęła w ciągu minuty? To było niesamowite. To, że coś jest niepraktyczne, wcale nie znaczy, że nie warto tego tworzyć. Czasami wystarczy piękno i magia rzeczywistości.

Odwracam się do niego. Krzyżuję nogi.

– Tak jak moja suknia à la Maria Antonina. Nie jest praktyczna, ale przez moment... gdy wkroczę na bal w fantastycznej, skomplikowanej kreacji, której nikt przedtem nie widział... Marzę o tym.

Cricket wpatruje się w światła miasta nad zatoką.

– I będziesz ją miała.

– Z twoją pomocą. – Najchętniej przyjacielsko szturchnęłabym go w bok, ale ograniczam się do słownego kuksańca: – No to jak, jutro bierzesz się za moją rogówkę?

– Już się wziąłem. – Znowu patrzy mi w oczy. – Dzisiaj też nad nią pracowałem. Byłem w domu, tylko nie rozdawałem cukierków.

Jestem wzruszona.

– Cricket Bell, najmilszy znany mi facet.

– No właśnie – prycha. – Miły facet.

– Co?

– Dokładnie to powiedziała moja pierwsza i, jak dotąd, jedyna dziewczyna, gdy ze mną zrywała.

– Och. – Zaskoczył mnie. Dziewczyna. W końcu. – To bardzo... głupi powód.

Cricket przysuwa się bliżej i prawie trąca mnie kolanem. Prawie.

– To nie takie rzadkie, jak ci się zdaje. Mili faceci mają pecha w miłości i w ogóle.

Aluzja do Maksa, ukryta w kpinie z samego siebie. Puszczam to mimo uszu.

– Kim była?

– Koleżanką Calliope. W zeszłym roku.

– Łyzwiarka?

– Do tego ogranicza się krąg moich znajomych.

Nie cieszy mnie ta wiadomość. Łyzwiarki są po prostu boskie. I utalentowane. I takie... wysportowane. Wstaję, krew dudni mi w uszach.

– Muszę do domu.

Zerka na nadgarstek, ale nie ma na nim zegarka.

– Tak, już bardzo późno. Albo bardzo wcześnie. – Pokonujemy osiemdziesiąt stopni do naszej ulicy, gdy nagle Cricket staje. – Och, nie. Chciałaś pogadać o Maksie. Czy...

– Chciałam pogadać. – Nie daję mu dokończyć. Zerka na księżyc. Jest wielki,

prawie w pełni. – Myślałam, że o Maksie, ale nie. Dzisiaj musieliśmy pogadać o tobie.

– Opuszczam wzrok.

Stoję na słowie BELL.

Na kostce z logo PacificBell, firmy telekomunikacyjnej. Są wszędzie, na każdej ulicy.

– Widzisz? – mówię.

– Ilekroć widzę nazwę Dolores Street, myślę o tobie – wyrzuca z siebie. – Park Dolores. Mission Dolores. Jesteś tu wszędzie, na każdym roku. To cała ty.

Zamykam oczy. Nie powinien mówić takich rzeczy, ale jednocześnie nie chcę, żeby przestał. Nie mogę dłużej zaprzeczać, że jest dla mnie ważny. Nie potrafię tego nazwać, jeszcze nie. Ale to już jest. Otwieram oczy i... Cricketa nie ma.

Żwawym krokiem wbiega na swój ganek.

Kolejny znikający halloweenowy duch.

Rozdział 23

Lubię eksperymentować z nowymi rzeczami. Na przykład dwa lata temu zostałam weganką. Tylko na trzy dni, bo nie mogłam wytrzymać bez sera cheddar, ale próbowałam. W sklepach też wiecznie przymierzam kapelusze. To jedyny element garderoby, z którym sobie nie radzę, który do mnie nie pasuje, ale próbuję uparcie, bo wierzę, że pewnego dnia znajdę właściwy kapelusz. Być może będzie to staroświecki toczek ze sztucznymi peoniami, a może stetson przewiązany czerwoną bandanką.

Znajdę go. A na razie usiłuję go wypatrzyć.

Denerwuje mnie więc, gdy Lindsey sugeruje, że za mało się staram, by wymyślić sposób, jak ułożyć loki. Moje sztuczne loki. Sama biedzi się nad chemią, a ja pożyczam sobie ręczną parówkę jej rodziców, by ułożyć białe pukle w odpowiednie loki. Później przykleję je do peruki Marii Antoniny, ale najpierw muszę to cholerstwo zakręcić.

– Nie masz nic większego? Albo mniejszego? – Wskazuję leżącą przede mną kolekcję przedmiotów o cylindrycznym kształcie; są wśród nich długopisy, szklanki, nawet luneta. Żaden nie pasuje.

Przewraca kartkę w podręczniku.

– No niestety. To twoja peruka. Musisz się bardziej postarać.

Rozglądam się po jej pokoju, choć i tak wiem, że niczego tu nie znajdę. Panuje tu taki porządek, że mam wrażenie, że gdyby miała coś odpowiedniego, dostrzegłabym to już dawno. Ściany pokrywa żółta farba, w kolorze okładek serii o Nancy Drew. Ukochane książki stoją równo poukładane na najwyższych półkach biblioteczki, a poniżej stłoczyła opasłe tomy o tytułach takich jak: *Najwięksi szpiedzy w historii*, *Dochodzenia dla bystrzaków* i *Tao zwalczania przestępczości*. Przy łóżku, w schludnych segregatorach, leżą roczniki pism „Miesięcznik Detektywa” i kilka katalogów ze sprzętem do obserwacji z pozaznaczanymi stronami i wypisaną listą życzeń.

Ale przedmiotów o cylindrycznym kształcie nie ma.

– Po pasjonującym wyścigu wyborczym nowojorski senator Joseph Wasserstein chyba zdołał zapewnić sobie miejsce na podium – oznajmia spiker w tupeciku. Są wybory, a ponieważ państwo Lim nie mają kablówki, na wszystkich kanałach mówią tylko o tym. Włączyłyśmy telewizor z jednego powodu – żeby zagłuszyć Neila Diamonda. To przedpotopowy piosenkarz w koszulach wyszywanych cekinami. Nawet to mnie do niego nie przekona, choć w życiu nie powiem tego pani Lim. Jeśli akurat nie

szykuje fantastycznego koreańskiego zarcia w restauracji, udziela się na drugiej co do wielkości stronie jego fanów.

Patrzę na dziennikarza.

– Ten koleś mógłby mi pomóc. Czy on naprawdę sądzi, że ktoś się nabierze na to cudo na jego głowie? – Na ekranie jest teraz senator Wasserstein z rodziną. Czekają na ostateczne wyniki. Żona ma tę nieskazitelną fryzurę i sztywny uśmiech żony polityka, ale nastoletni syn chyba czuje się nieswojo. Właściwie jest nawet przystojny. Mówię to na głos. Lindsey podnosi głowę.

– Jezu, ależ ty jesteś przewidywalna.

– Co takiego?

– Jest nieszczęśliwy. Podobają ci się tylko tacy udręczeni.

– Nieprawda. – Wyłączam telewizor i zaraz dociera do nas vibrato Neila.

Lindsey śmieje się głośno.

– O tak, Max jest znany z czarującego uśmiechu.

Marszczę brwi. Minęły już dwie niedziele bez obiadków. Dzień po Halloween zadzwonił i powiedział, że nie przyjdzie, ani teraz, ani nigdy więcej. Nie mam mu za złe, że ma dość tych przesłuchań. Rodzicom powiedziałam, że ma koncerty, a Norah do tego stopnia wybiła ich z rytmu, że nie pytają dalej. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że zapomną, że ten niedzielny obiadek był żelaznym warunkiem.

Co jakiś czas udaje mi się spotkać z Maksym – przed pracą w kinie, podczas przerwy na obiad, raz u niego, po szkole. Rodzice myślą, że jestem u Lindsey. Za to często widuję Cricketa. Skończył rogówkę w ciągu jednej nocy, potem doszło jeszcze popołudnie przymiarek u mnie w domu. Jest gigantyczna i wspaniała. Czuję się, jakby miała na sobie wieżowiec, tylko w poziomie.

Skończyłam też gorset, więc teraz pracuję nad najfajniejszą częścią całego projektu, czyli samą suknią. Cricket pomógł mi wymierzyć i skroić materiał. Okazuje się, że zna się nie tylko na matematyce i fizyce; ma też pojęcie o szyciu, a to dlatego, że Calliope wiecznie ma jakieś problemy z kostiumami.

Zaliczyłam jeszcze tylko jedną scysję z Calliope, znowu przed lekcjami, choć tym razem spotkałyśmy się przypadkiem. Wbiegła na mnie, wychodząc z domu. Nie zauważyła mnie. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Wszędzie musisz być, co? – warknęła i oddaliła się biegiem.

– Ja tu mieszkam! – odparłam, masując obolałe ramię.

Puściła to mimo uszu.

Ponieważ jednak mieliśmy z Cricketem wspólny projekt, moją suknię, łatwiej było się przyjaźnić. Doszło do tylko jednej niezręcznej sytuacji, gdy przyszedł pierwszy raz.

Nie chciało mi się sprzątać i na środku pokoju leżał wściekle różowy stanik. Na jego widok Cricket przybrał ten sam kolor.

Szczerze mówiąc, ja też.

Cricket. Chwileczkę.

I nagle już wiem, na czym zakręcę te nieszczęsne loki.

– Zaraz wracam! – wołam do Lindsey i biegnę na parter. Pani Lim siedzi przy komputerze. Staram się przekrzyknąć Neila Diamonda. – Gdzie jest miotła? Niczego nie stłukłam – dodaję pośpiesznie.

– Tutaj – rzuca z roztargnieniem i wskazuje schowek w holu. – Coś takiego, troll na forum. Twierdzi, że Wayne Newton jest lepszy od Neila, wyobrażasz sobie?

– Co za bzdura. – Biorę miotłę. Jest taka sama jak ta, za pomocą której Cricket przejął mój segregator... Wracam na górę do Lindsey. – Proszę! Idealna średnica!

Uśmiecha się.

– I dość miejsca, by kręcić kilka pukli jednocześnie. Super.

– Pomożesz mi?

– Oczywiście. – I na szczęście to robi, bo, jak się okazuje, to nudne, czasochłonne zajęcie. – Masz szczęście, że cię Kocham.

Kolejny kosmyk ląduje na podłodze. Tłumię jęk. Lindsey śmieje się znużona. Wtóruję jej.

– To chyba naprawdę jeden z moich gorszych pomysłów – przyznaję.

– Nie jeden z, tylko najgorszy pomysł w historii. – Jej kosmyk spada na ziemię. – Jezu! – krzyczy i zwijamy się ze śmiechu. – Oby Cricket miał rację i efekt końcowy był wart tego wysiłku.

Jakbym wpadła pod pociąg.

– Kiedy to powiedział?

Lindsey poważnieje.

– Och. W niedzielę. Po południu.

– W niedzielę? W zeszłą niedzielę? Rozmawiałaś z nim?

Wbija wzrok w biały kosmyk.

– Tak. Spotkaliśmy się.

Upuszczam miotłę.

– Co?

– No, nie w tym sensie – odpowiada szybko. – Cały czas byliśmy wszyscy w większej grupie. Jak kumple.

Buzuje mi w głowie.

– W jakiej grupie? Jacy kumple?

– Zadzwoił z pytaniem, czy nie wybrałabym się na kręgle z nim i Calliope. I z... z Charliem. Byłaś w pracy, i tak nie miałybyś czasu. Dlatego ci nie powiedzieliśmy.

Zamurowało mnie. Lindsey unosi mój koniec miotły, wsuwa mi go w dłonie. Biorę odruchowo.

– Powiedziałam im o Charliem podczas festiwalu Scare Francisco, gdy poszłaś do Maksa – opowiada. – Sama nie wiem dlaczego. Po prostu nagle wszystko wypaplałam. Może byłam zła, że ty znowu jesteś z Makssem, a ja sama.

Wyrzuty sumienia. Znowu.

– No więc Cricket wymyślił, że fajnie będzie, żebyśmy wyszli wszyscy razem, też ja i Charlie, ale najpierw grupą, jak kumple. No wiesz, żeby było łatwiej.

To był mój pomysł. Mój!

– Więc poszliśmy na kręgle... i było fajnie.

Nie wiem już sama, co boli bardziej; to, że do tej pory mi o tym nie powiedziała, że za moimi plecami spotkała się z Cricketem, czy że Cricket wpadł na ten sam genialny pomysł co ja i na dodatek zebrał za niego wszystkie pochwały.

No dobra, ja wymyśliłam podwójną randkę, a Cricket przecież nie romansuje ze swoją siostrą. Ale mimo wszystko. Pewnie udałoby się i tak. A mnie przy tym nie było. Mnie, niby najlepszej przyjaciółki.

– To... To super, Lindsey.

– Przepraszam, powinnam była powiedzieć ci wcześniej. Ale nie wiedziałam, jak zareagujesz na wiadomość, że spotkałam się z bliźniakami, a naprawdę mi na tym zależało. Poza tym byłaś zajęta. Ostatnimi czasy jesteś bardzo zajęta.

Odkąd poznałaś Maksa. Równie dobrze mogła to powiedzieć. Wracam wzrokiem do loków.

– Cieszę się, że z nimi poszłaś, naprawdę. I że z Charliem było fajnie. – I w połowie mówię szczerze.

– Z bliźniakami też – odpowiada ostrożnie. – Kiedy Calliope wyluzuje, jest całkiem fajna. Żyje w ciągłym stresie.

– Hm. Też to słyszałam.

– Naprawdę, Lo. Ona chyba się zmieniła, nie jest tak wredna jak dawniej, chce go tylko chronić.

Łypię na nią groźnie.

– Jej brat studiuje. Chyba może sam o siebie zadbać.

– Owszem, i teraz mówi głośno, co myśli. Choć czasami wychodzą z tego dziwne rzeczy – dodaje. – Wiesz przecież, że nigdy nie chciał cię zranić. A kiedy nie ma cię w pobliżu, bez przerwy o ciebie wypytuje. I o Maksa. Podobasz mu się. Zawsze mu się

podobałaś, chyba pamiętasz?

Przestaję kręcić pukle.

– I nie zabij mnie za to, że to powiem – dodaje szybko – ale od razu widać, że on tobie też się podoba.

Coś utkwilo mi w gardle. Przełykam z trudem.

– Dlaczego tak uważasz?

Wyjmuje mi parówkę z rąk.

– Bo każdy ślepy widzi, że nadal za nim szalejesz.

Nakrywam do kolacji, gdy widzę kolejny wycinek z gazety przy moim nakryciu. Andy kontratakuję. Artykuł o chorobach przenoszonych drogą płciową wśród nastolatków. Ciskam go do kosza. Czy rodzice wiedzą, że spałam z Makssem?

Wiem, że on miał przede mną wiele dziewcząt... wiele kobiet. Ale badał się i jest zdrowy. Niemniej jednak nieraz myślę o tych kobietach. Wyobrażam sobie Makska w barach, w jego mieszkaniu, w łóżkach w całym mieście, z tymi uwodzicielskimi demonami, upojnymi, zauroczonymi. Max zapewnia, że prawda nie jest taka czarująca. Prawie mu wierzę.

Sytuacji nie poprawia fakt, że akurat dzisiaj, kiedy nie pracuję wieczorem, Amfetamina gra w klubie burleski Honey Pot, do którego nie wejdę jako nieletnia. Udaję, że wcale się tym nie przejmuję. Wiem, że burleska to forma sztuki, ale i tak czuję się nieswojo. Wydaję się sobie bardzo dziecinna. Nie znoszę tego uczucia.

Tego wieczoru dręczy mnie wiele problemów.

Jest piątek. Czy w weekend Cricket przyjedzie do domu?

Słowa Lindsey przez cały tydzień chodziły mi po głowie. Jakim cudem to czuję? Jednocześnie zależy mi na Crickecie i zarazem martwię się związkiem z Makssem. Chcę, żeby między nami wszystko było w porządku, naprawdę. Przecież ma być tak prosto. Nie chcę żadnych komplikacji. Nie chcę interesować się Cricketem.

Podczas kolacji Andy i Nathan wymieniają zatroskane spojrzenia nad zapiekanką z warzywami.

– Wszystko w porządku, Lo? – pyta w końcu Andy. – Wydajesz się jakaś roztargniona.

Odrywam wzrok od kuchennego okna, przez które ledwo widać ganek Bellów.

– Słucham? Co? Tak, wszystko w porządku.

Rodzice przyglądają mi się podejrzliwie, a tymczasem do kuchni wchodzi Norah i zajmuje miejsce przy stole.

– To była Chrysanthemum Bean, ta z głosem jak kaczka. Jutro wieczorem przyjdzie na wróżbę, zanim, jak co tydzień, kupi los na loterii.

Nathan krzywi się i posypuje świeżo zmielonym pieprzem swoją zapiekankę. I jeszcze. I jeszcze.

Andy wierci się niespokojnie. Zawsze narzeka, że Nathan zabija jego dania nadmiarem pieprzu.

– Jezu, przestań już – mówi Norah do brata. – Nie widzisz, że skacze mu ciśnienie? Nawet mi skacze.

– Nic mi nie jest – ucina Andy, choć widzę, że jest na granicy wybuchu.

Odkąd zjawiała się Norah – a w ślad za nią jej klientki, które nie powinny wydawać skromnych zasobów ani na wróżby, ani na zdrapki – nie zjedliśmy ani jednego posiłku w spokoju. Odwracam się i widzę smukłą postać wbiegającą na schody w sąsiednim domku. I prostuję się tak energicznie, że nagle wszyscy milkną, chcąc zobaczyć, co przykuło moją uwagę. Cricket maca się po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy. Ma na sobie spodnie bardziej obcisłe niż zazwyczaj. W tym samym momencie, gdy to dostrzegam, uświadamiam sobie, co do niego czuję.

Pożądanie.

Znajduje klucz i w tej samej chwili otwierają się drzwi. Calliope mu otwiera. Opadam z powrotem na krzesło. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że się uniosłam. Andy chrząka.

– Cricket dobrze wygląda.

Rumienię się po uszy.

– Ciekawe, czy ma dziewczynę? – ciągnie. – Wiesz może?

– Nie – mamroczę.

Nathan parska śmiechem.

– Pamiętam, jak dawniej ciągle wpadaliście na siebie niby przypadkiem.

Andy posyła mu znaczące spojrzenie i Nathan milknie. Norah uśmiecha się pod nosem. A więc to prawda, wszyscy wiedzieli o moim niewydarzonym romansie. No świetnie.

Wstaję.

– Idę na górę. Mam lekcje do odrobienia.

– W piątek? – dziwi się Andy, a Nathan w tej samej chwili mruczy:

– Najpierw pozmywaj.

Niosę talerze do zlewu. Czy Cricket będzie jadł kolację z rodziną, czy od razu pójdzie do siebie? Płuczę talerze tak energicznie, że zacynam się nożem. Syczę pod nosem.

- Wszystko w porządku? – pyta jednocześnie cała trójka.
- Tylko się skaleczyłam, to nic takiego.
- Uważaj – rzuca Nathan.

Rodzice są mistrzami stwierdzania rzeczy oczywistych. Zwalniam jednak i kończę zmywanie bez dalszych incydentów. Zmywarka szumi monotonnie, a ja biegnę na górę, do siebie. Smętnie zwieszam ramiona. W jego pokoju jest ciemno.

Uspokój się, to tylko Cricket.

Zajmuję ręce przyszywaniem aplikacji do sukni Marii Antoniny. Mija dwadzieścia minut. Trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt.

Co on robi?

Na dole u Bellów pali się światło, więc pewnie cała rodzina siedzi razem i... Jezu, może przez najbliższe osiem godzin będą oglądali telewizję. O rany. Nie dość, że nie mogę się skoncentrować, to jeszcze jestem zła. Zła na Cricketa, że go tu nie ma, zła na siebie, że się tym przejmuję. Zmywam makijaż, wydaję szkła kontaktowe z oczu, wkładam piżamę – upewniwszy się najpierw, czy zaciągnęłam zasłony – i uciekam do łóżka.

Na zegarku jest 21.37. Zespół Maksa jeszcze nawet nie zaczął grać.

A myślałam, że już gorzej być nie może.

Wiercę się i kręcę, a przed oczami przesuwiają mi się różne obrazy: Cricket, Max, tancerki burleski w wielkich muszlach. W końcu zapadam w niespokojny się, póki nie rozlegnie się ciche uderzenie w szybę. Natychmiast otwieram oczy. Czy mi się to śniło?

Stuk! Znowu.

Zrywam się z łóżka i rozsuwam zasłony. Cricket Bell siedzi na parapecie, machając nogami. W jednej dłoni trzyma coś małego, drugą bierze zamach. Otwieram okno i na jego widok eksploduje we mnie mieszanina uczuć.

Podoba mi się. Po prostu.

Znowu.

Opuszcza rękę.

– Nie miałem kamyczków.

Serce staje mi w gardle. Przełykam ślinę.

– Czym rzucasz? – Wyteżam wzrok, ale nie widzę.

– Włóż okulary, to zobaczysz.

Wracam. Podnosi coś z uśmiechem.

Też się uśmiecham.

– Po co ci tyle wykałaczek?

– Robię koreczki – odpowiada ze śmiertelną powagą. – Dlaczego miałaś zgaszone

światło?

– Spałam.

– Jeszcze nie ma nawet wpeł do jedenastej. – Przestaje machać nogami. – Nie na randce?

Wolę omijać ten temat.

– Wiesz co? – Wskazuję jego nogi. – Idę o zakład, że jeśli je wyprostujesz, dotkniesz mego parapetu.

Próbuje. Są jednak trochę za krótkie. Uśmiecham się znowu.

– A myślałam, że dosięgniesz.

– No tak, Cricket i jego monstrualnie długie nogi. Całe ciało.

Śmieję się. W jego oczach błyszczy rozbawienie.

– To domy stoją za daleko od siebie – mówię. – Twoje ciało jest doskonałe.

Opuszcza nogi i przygląda mi się uważnie tak długo, że w końcu odwracam głowę. Cricket też kiedyś powiedział, że moje ciało jest doskonałe. Rumienię się na samo wspomnienie, a także dlatego, że niechcący coś zdradziłam. W końcu przerywa ciszę.

– To bez sensu. – Przerzuca nogi przez parapet i znika w pokoju.

Zaskakuje mnie.

– Cricket?

Słyszę, jak krząta się w pokoju.

– Daj mi pięć minut, skocz do łazienki czy coś.

Niezły pomysł. Nie wiem, ile widać w ciemności, ale odrobina makijażu nie zaszkodzi. Już sięgam po tusz do rzęs, gdy uświadamiam sobie, jakie to... nierozsądne. Malować się dla chłopaka, z którym nie chodzę. Ograniczam się do wiśniowego błyszczyka, ale ledwie czuję na wargach jego smak, przeszywa mnie dreszcz.

Wiśniowy. Fusy z herbaty. Pierwsza miłość.

Wracam do pokoju, ścieram błyszczyk z ust, gdy za oknem rozlega się głośnie brzęk! A potem widzę, co chce zrobić.

– Jezu, Cricket. Nie!

– Utrzyma mnie, spokojnie. Tylko przytrzymaj z tej strony, dobrze? Tak na wszelki wypadek?

Trzymam z całej siły. Wyjął półkę z szafy, taką z grubego drutu pokrytego białym plastikiem, i umieścił jak pomost między naszymi oknami.

– Uważaj! – mówię to za głośno i kładka drży.

Cricket się uśmiecha.

– W porządku, wszystko jest OK.

Rzeczywiście, przebiega zwinnie i zaraz jest koło mnie. Jego twarz jest tuż przy

mojej.

– Już możesz puścić – szepcze.

Ręce mnie bolą od zaciskania. Cofam się, przesuwa, żeby mógł wejść do środka. Zeskakuje z parapetu, muskając przy tym moją nogę. Przeszywa mnie dreszcz. Dotknęliśmy się po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy. Jest taki wysoki, że jego serce jest na wysokości mojego policzka.

Jego serce.

Odskakuję w tył.

– Co ty wyprawiasz? – syczę, nagle spięta. – Mogłeś spaść i skrócić sobie kark.

– Pomyślałem, że dobrze będzie pogadać twarzą w twarz. – Mówi cichym, niskim głosem.

– Przecież mogliśmy się spotkać na spacerze, na dworze.

– Mam wracać? – waha się.

– Nie! To znaczy... nie. Skoro już tu jesteś.

Nagle rozlega się pukanie do drzwi. Odskakujemy od siebie.

– Lola? – pyta Nathan. – Słyszałem jakiś hałas. Wszystko w porządku?

Otwieram szeroko oczy. Wpadam w panikę. Zabiją mnie, jeśli zastaną chłopaka w moim pokoju, nawet jeśli to Cricket! Każ mu schować się za łóżkiem, tak żeby był niewidoczny od drzwi. Wstaję. Oby Nathan nie słyszał jęku sprężyn.

– Spadłam z łóżka – mówię sennie. – Byłam bardzo śpiąca i śnił mi się koszmar.

– Koszmar? – Drzwi się uchylają. Nathan wsuwa głowę do pokoju. – Dawno ich nie miałaś. Chcesz o tym pogadać?

– Nie, to była taka bzdura... ścigał mnie wilk. Albo wilkołak, sama nie wiem. Ale wiesz, jakie są sny. Już w porządku. – Idź, błagam. Im dłużej będzie tam stał, tym bardziej prawdopodobne, że dostrzeże kładkę.

– Na pewno wszystko w porządku? Podczas kolacji byłaś nieobecna myślami, potem się skaleczyłaś i...

– Nic mi nie jest, tato. Dobranoc.

Milknie, zrezygnowany, zamyka drzwi.

– Dobranoc. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Już prawie, prawie wyszedł, gdy nagle mówi:

– Właściwie dlaczego masz na nosie okulary, skoro już jesteś w łóżku?

– Mam? – Nerwowo podnoszę rękę do oczu. – O rany. Czyli jestem bardziej zmęczona, niż mi się zdawało.

Nathan ściąga brwi.

– Martwię się o ciebie, Lo. Ostatnio nie byłaś sobą.

Naprawdę nie uśmiecha mi się ta rozmowa w obecności Cricketa.

– Tato...

– Chodzi o Norah? Zdaję sobie sprawę, że odkąd z nami zamieszkała, nie jest łatwo, ale...

– Nic mi nie jest, tato. Naprawdę.

– Może o Maksa? O Cricketa? Kiedy go dzisiaj zobaczyłaś, zrobiłaś się jakaś dziwna, a nie chciałem narobić ci wstydu, gdy...

– Dobranoc, tato.

Błagam, nie mów już więcej.

Wzdycha ciężko.

– W porządku, Lol. Ale zdejmij okulary, żebyś ich nie zgmiotła.

Odkładam je na stolik przy łóżku. Nathan wychodzi. Cricket czeka, aż na schodach umilkną jego kroki. Nagle wysuwa głowę i choć wiem przecież, że tu jest, drgam nerwowo.

– Ojcu chodziło o to, że... – Szukam jakiejś wymijającej odpowiedzi. – Widziałam, jak wróciłaś, a w tej samej chwili Norah opowiadała o jakiejś koszarnej klientce. Chyba się jakoś skrzywiłam.

Nienawidzę siebie.

Milczy.

– I... Co teraz? – pytam.

Cricket odwraca się do mnie tyłem. Opiera się o łóżko.

– Jeśli chcesz, zaraz sobie pójdę.

Smutek. Pożądanie. Ból tak silny, że nie mieści mi się w głowie, że choć przez chwilę sądziłam, że zniknął. Patrzę na tył jego głowy i mam wrażenie, że w moim pokoju zabrakło tlenu. Rozpływam się. Tonę.

– Nie – odpowiadam w końcu szeptem. – Dopiero co przyszedłeś.

Chcę go znowu dotknąć. Muszę go dotknąć. Umrę, jeśli tego nie zrobię. Wyciągam rękę do jego włosów. Nawet tego nie zauważa. Ale odwraca się, zanim dotarłam do celu.

I odsuwa się gwałtownie, gdyomal nie wyłupiam mu oka.

– Przepraszam! – szepczę.

– Co ty wyprawiasz? – Ale śmieje się i żartobliwie zamierza na mnie. Łapię go za palec i nagle, tak po prostu, dotykam go. Zaciskam dłoń na jego palcu. On jednak koncentruje się na tęczowym plasterku na palcu wskazującym.

– Skaleczyłaś się?

– To nic takiego. – Puszczam go, znowu speszona. – Zmywałam.

Patrzy, jak splatam dłonie.

– Fajne paznokcie – mówi w końcu.

Czarne, z różowym paskiem pośrodku. I nagle wiem, jak mogę go bezkarnie dotykać.

– Już wiem. Zrobię ci manikiur. – Już wstaję i sięgam po mój ulubiony granatowy lakier. Nie wiadomo skąd, wiem, że nie będzie protestował.

Wracam na podłogę. Cricket nadal opiera się o łóżko. Prostuje się.

– Będzie bolało? – pyta.

– Bardzo. – Potrzęsam buteleczką. – Więc staraj się nie wrzeszczeć za głośno, wolałabym, żeby Nathan nie wracał.

Cricket uśmiecha się, a ja sięgam po podręcznik do chemii.

– Połóż to sobie na kolanach, muszę mieć równą powierzchnię. A teraz połóż na tym rękę. – Siedzimy blisko siebie, o wiele bliżej niż podczas pracy nad moją suknią. – Zacznę od lewej dłoni.

Cricket przełyka ślinę.

– W porządku.

Cricket unosi ją odrobinę. Tego wieczoru na jej grzbiecie widnieje gwiazda. Zastanawiam się, co ma oznaczać, wsuwając rękę pod jego palce. Podskakuje gwałtownie.

– Musisz siedzieć spokojnie – mówię, ale uśmiecham się. Dotyk.

W świetle księżyca maluję mu paznokcie granatowym lakierem. Rozluźniamy się, gdy pochłania mnie praca. Powolne, staranne ruchy pędzelkiem. Nie rozmawiamy. Skóra przy skórze. Tylko książka między jego nogami a moją dłonią. Cały czas czuję na sobie jego wzrok, nie na rękach, na twarzy. Pali mnie jak słońce Afryki.

Kończę i unoszę na niego wzrok. Odwzajemnia moje spojrzenie. Księżyc przesuwa się na niebie, rozświetla jego rzęsy i po raz kolejny dociera do mnie, że jestem sama, w ciemności, z chłopakiem, który kiedyś złamał mi serce. Którego pocałowałby mnie, gdybym nie miała chłopaka. Którego pocałowałabym, gdybym nie miała chłopaka.

Którego i tak chcę pocałować.

Zagryzam dolną wargę. Patrzy jak zahipnotyzowany. Pochylam się do przodu, przysuwam do niego. Powietrze między nami jest gorące, niemal parzy. Zerka w dół, w wycięcie mojej koszulki. Jest blisko, tak bardzo blisko.

Rozchyłam usta.

I wtedy się odsuwa.

– Chcę tego – szepcze ochryple. – Wiesz, że chcę.

Sprawdza prowizoryczną kładkę, wchodzi na nią. Nie odwraca się, więc nie widzi

moich łez. Zostaje po nim tylko smuga granatowego lakieru na framudze okiennej.

Rozdział 24

Loolaa. Piękna Lola. – Franko ma czerwone oczy i rozszerzone źrenice. Jak zawsze.

Buszuję w szufladach w kantorku, ciskam na podłogę wyschnięte długopisy i zakurzone notatniki.

– Widziałeś gdzieś tusz do drukarki biletów?

– Nie. A widziałaś prażoną kukurydzę? Jest taka... aerodynamiczna. Chyba ją zjem. Mam ziarenka na zębach?

– Nie – warczę.

– Chyba jednak mam. Między zębami, tu, z przodu. – Wstaje, przesuwając językiem po zębach w obrzydliwej parodii autopocałunku. – Jakie piękne są dzisiaj kable.

– Jasne. Kable.

– Oczywiście nie śmiałybym ich przeciąć, ale są takie... Takie piękne.

Jezu, jeśli zaraz się nie zamknie, uduszę go gołymi rękami. Macham do St. Claira, który dzisiaj sprawdza bilety. Akurat nie ma klientów, więc podchodzi do mnie.

– Na miłość boską, zamień się z nim – proszę.

– Jesteś piękny, St.Clair – rzuca Franko.

– Kiedy jesteś na haju, wszyscy są piękni. – Siada na miejscu Franka. – Drań.

Franko człapie dalej.

– Dzięki – mruczę. – W tej chwili... nie mam na niego siły.

Wzrusza ramionami.

– Tylko teraz czy do końca listopada?

– Nie zaczynaj znowu – proszę. Ale to fakt. Od totalnej, upokarzającej klęski z Cricketem przed dwoma tygodniami – i jego całkowitego zniknięcia z mego życia jako konsekwencji – jestem okropna. Jestem zła, jest mi przykro. Nie, jestem wściekła, bo to wszystko moja wina. Rzuciłam się na niego. Co on sobie teraz o mnie myśli? Zapewne nic dobrego. Dzwoniłam do niego dwukrotnie, wysłałam trzy esemesy z przeprosinami. I nic.

Tyle, jeśli chodzi o miłego chłopaka.

– Miły chłopak? – pyta St. Clair. – Czyli kto?

O nie. Znowu mówię na głos.

– Ja – kłamię. – Miłego chłopaka już nie ma.

Z westchnieniem zerka na zegar na ścianie.

– Super.

– Przykro mi. – Mówię szczerze. Przyjaciele – Lindsey, Anna i St. Clair – okazują mi mnóstwo cierpliwości. Więcej, niż na to zasłużyłam. Powiedziałam Lindsey, co się stało. St. Clair, a przez niego zapewne i Anna znają wersję Cricketa. Nie wiem, co im powiedział. – Dzięki, że zamieniłeś się z Frankiem.

I znowu to europejskie wzruszenie ramionami.

W milczeniu pracujemy przez kolejną godzinę. Czas płynie, a wyrzuty sumienia doskwierają coraz bardziej. Muszę zmienić moje podejście, przynajmniej wobec przyjaciół.

– Powiedz – zagajam podczas kolejnej chwili spokoju – jak było z rodziną Anny? Jej matka i brat przyjechali na Święto Dziękczynienia?

Uśmiecha się po raz pierwszy, odkąd tu wszedł.

– Owinąłem ich sobie dokoła palca. Wspaniale.

Uśmiecham się i skłaniam się przesadnie.

– Moje gratulacje.

– Dziękuję – odpowiada z równą powagą. – Zatrzymali się u mojej mamy.

– To... dziwne.

– Nie tak bardzo. Moja mama jest w porządku, nietrudno się z nią dogadać.

Drwiąco unoszę brew.

– A gdzie wy mieszkaliście?

– Tam, gdzie zawsze. – Z powagą odwzajemnia moje spojrzenie. – Każde w swoim akademiku.

Parskam śmiechem.

– A ty? – pyta. – Jak Święto Dziękczynienia? Z chłopakiem?

– Nie. – Płaczę się w wymówkach, że Norah jest nieznośna, a Max zajęty, ale to wszystko brzmi sztucznie i fałszywie. Zapada cisza. – Jakim... – Szukam odpowiednich słów. – Jakim cudem wam się udaje? Patrząc na was, wydaje się, że to takie łatwe.

– Bo to jest łatwe. Bo Anna to ta jedyna.

Ta jedyna. Serce staje mi w piersi. Też myślałam, że Max to ten jeden jedyny, ale... ale jest ten drugi.

Ten pierwszy.

– Wierzysz w to? Że każdy ma swoją drugą połówkę?

Coś się zmienia w jego spojrzeniu. Smutnieje.

– Mogę mówić tylko za siebie – odpowiada. – Ale dla mnie, tak, dla mnie jest tylko Anna. Każdy musi sam do tego dojść. Nie odpowiem za ciebie. Nikt tego nie zrobi.

– Och.

– Lola. – Przysuwa się do mnie z krzesłem. – Wiem, że teraz wszystko wygląda

okropnie. W imię przyjaźni i szczerości powiem ci też, że w zeszłym roku przechodziłem przez coś podobnego. Kiedy poznałem Annę, byłem z inną dziewczyną. Długo trwało, zanim zdobyłem się na odwagę i zrobiłem to, co tak boli. Ale tak trzeba.

Przełykam ślinę.

– A co tak boli?

– Szczerość ze sobą.

– Lola. Wyglądasz... inaczej.

Dzień później stoję po południu na progu Maksa, bez peruki i szalonego makijażu. Mam na sobie zwykłą spódniczkę i prostą bluzkę. Moje naturalne włosy luźno spływają na ramiona.

– Mogę wejść? – pytam nerwowo.

– Oczywiście. – Odsuwa się na bok. Wchodzę.

– Jest Johnny?

– Nie, jestem sam. – Max milknie na chwilę... – Rodzice wiedzą, że tu jesteś?

– Nie muszą wiedzieć o każdym moim kroku.

Kiwa głową.

– Fakt.

Podchodzę do kanapy, biorę ze stolika książkę Noama Chomsky'ego, przeglądam od niechcienia, odkładam z powrotem na stolik. Nie wiem, od czego zacząć. Szukam odpowiedzi. Przyszłam tu dzisiaj, żeby przekonać się, czy Max to ten jeden jedyny.

Przygląda mi się dziwnym wzrokiem, jakby zaskoczyło go coś więcej niż sam fakt, że zjawiłam się niespodziewanie. Pod jego wzrokiem robi mi się jeszcze bardziej nieswojo.

– Co jest? – pytam. – Czemu tak patrzysz?

– Przepraszam. Wyglądasz dzisiaj bardzo... młodo.

Serce staje mi w piersi.

– To źle?

– Nie. Jesteś piękna. – I ten jego cudowny uśmiezek. – Chodź tutaj.

Osuwa się na sfatygowaną kanapę. Wtulam się w jego ramiona. Siedzimy w milczeniu. Czeka, aż coś powiem, wie, że nie przyszłam bez powodu. Ale nie mogę znaleźć właściwych słów. Myślałam, że wystarczy, że tu będę. Myślałam, że wszystko będzie jasne, gdy go zobaczę.

Dlaczego prawda jest taka trudna?

Obrysowuję palcami wytatuowaną pajęczynę. Muskam chłopca w wilczej skórze w

zagłębieniu łokcia. Max wzdycha głośno. Całujemy się. Sadza mnie sobie na kolanach. W jego objęciach jestem bezradna.

– Lolita – szepcze.

A ja sztywnieję.

Max niczego nie zauważa. Unosi skraj mojej bluzki. To wystarczy, żebym oprzytomniała. Opuszczam ją gwałtownie. Zaskakuję go tym.

– Co jest?

Z trudem panuję nad głosem.

– Którą, Max?

– Ale którą: co? – Jest oszołomiony. – O czym my teraz rozmawiamy?

– Którą Dolores Nolan kochasz? Lolę? Czy Lolitę?

– A co to niby ma znaczyć?

– Wiesz doskonale, co to ma znaczyć. Mówisz do mnie Lolita, ale dziwnie się zachowujesz, kiedy nie przebieram się i wyglądam na tyle lat, ile mam. Więc jak to jest? Podobam ci się starsza czy młodsza? – Pojawia się jeszcze gorsza myśl. – A może jesteś ze mną tylko dlatego, że jestem taka młoda?

Max jest wściekły. Odpycha mnie, wstaje.

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać? Teraz?

– A kiedy będzie lepsza chwila? Kiedy, Max?

Bierze zapalniczkę ze stolika.

– Myślałem, że problem twojego wieku jest już za nami. Że to coś, z czym inni mają problem, nie my.

– Chcę tylko znać prawdę. Kochasz mnie? Czy mój wiek?

– Jak, do cholery, możesz w ogóle tak myśleć? – Ciska zapalniczką przez pokój. – Na wypadek gdybyś zapomniała, to ty się za mną uganiałaś. Wcale tego nie chciałem.

– Jak to: ty tego nie chciałeś? Nie chciałeś mnie?

– Tego nie powiedziałem! – krzyczy. – Chciałem cię, a jakże. Ale tacy jak ja nie powinni umawiać się z takimi jak ty, zapomniałaś już? Przecież o to chodzi, prawda? Jezu, nie wiem, co mam powiedzieć. Mam wrażenie, że każda odpowiedź będzie zła.

Prawda jest jak cios w żołądek. Każda odpowiedź jest zła.

– Masz rację – szepczę.

– Oczywiście, że mam rację. – Chwila ciszy. – Ale z czym mam rację?

– Nie ma właściwej odpowiedzi. Nie istnieje. To się nie może dobrze skończyć.

Patrzy na mnie z góry. Przez dłuższą chwilę milczymy oboje.

– Nie mówisz poważnie – stwierdza w końcu.

Zmuszam się, by wstać.

– Chyba tak.

– Chyba. – Zaciska usta. – I to po twoich rodzicach. Po niedzielnych obiadkach? Masz pojęcie, przez co przeszedłem, żeby z tobą być?

– Kiedy właśnie o to chodzi! – wybucham. – Nie powinieneś przez nic przechodzić...

– A miałem wybór? – Max jest coraz bliżej.

– Tak! Nie! Nie wiem... – Dygoczę na całym ciele. – Tylko chcę być szczerą.

– Och. – Dzieli nas tylko centymetry. – Nagle chcesz być szczerą.

Z trudem przełykam ślinę.

– Szczerze mówiąc – cedzi – sam już nie wiem, kim jesteś. Ilekroć się widzimy, jesteś kimś innym. Kłamiesz i oszukujesz. Wbrew temu, co myślisz, co ci wmawiają rodzice, nie jesteś wyjątkowa. Jesteś tylko małą zagubioną dziewczynką. To myślę.

I wtedy... robi mi się czarno przed oczami.

– Ale myślałam... – wykrztuszam z trudem. – Myślałam, że mnie kochasz.

– Tak, też tak myślałem. Dzięki, że otworzyłaś mi oczy.

Cofam się przerażona. Przez jedną szaloną chwilę chcę rzucić się na kolana i błagać go o wybaczenie. Obiecać, że będę kimś innym, że będę jedną osobą.

Max splata ręce na piersi.

I wtedy... chcę go zranić.

Podchodzę do niego, patrzę mu w oczy.

– Wiesz co? – syczę. – Owszem, kłamałam. Bo Cricket Bell mi się podoba. I tak, masz rację, przez cały ten czas się z nim spotykałam! Był w moim pokoju, a ja w jego. Pragnę go. Słyszysz, Max? Pragnę go.

Dygocze z wściekłości.

– Wynoś się.

Biorę torebkę, otwieram drzwi.

– Nigdy więcej nie chcę cię widzieć – mówi lodowatym tonem. – Nic już dla mnie nie znaczysz. Rozumiesz?

– O tak – odpowiadam. – Dzięki, że otworzyłaś mi oczy.

Rozdział 25

Kręci mi się w głowie. Mam plamy przed oczami. Zataczam się. Na piechotę czy autobusem? Na piechotę czy autobusem? Na piechotę. Tak, przejdę się do domu. Ale wtedy widzę autobus i jakimś cudem wsiadam do niego. Szlocham na głos. Wąsaty hiper przesiada się rząd dalej. Starszy facet w czapeczce baseballowej łypie na mnie groźnie, kobieta w kolorowej kurtce ma taką minę, jakby chciała coś powiedzieć. Odwracam się i szlocham dalej.

A potem pociągam za linkę i wysiadam. Ciężkim krokiem człapię pod górę. Do domu. Mam wrażenie, że coś szarpie mnie za żołądek, piersi, serce. Jakby ktoś wrywał mi wnętrzności, wystawiał je na pośmiewisko całego świata.

Jak on mógł? Jak mógł to powiedzieć?

Jakim cudem moje życie zmieniło się tak nagle, tak całkowicie? W jednej chwili wszystko było w porządku, a w następnej... O Boże. To już koniec. Marzę tylko o tym, by zakopać się w łóżku i zniknąć. Nie chcę nikogo widzieć. Z nikim rozmawiać. Nie chcę myśleć, nie chcę działać.

Max. Przyciskam rękę do serca. Nie mogę oddychać.

Do domu, Dolores. Już prawie jesteś na miejscu.

Od domu dzielą mnie tylko dwa budynki, gdy ich widzę. Rodzinę Bellów. Stoją pośrodku małego podjazdu, pogrążeni w ożywionej dyskusji. Pan Bell, wysoki i szczupły jak bliźnięta, tyle że jasnowłose, kręci głową i wskazuje ulicę. Pani Bell – niska, za to z ciemnymi włosami bliźniaków – masuje skronie palcami. Calliope stoi do mnie tyłem z rękami na biodrach. A Cricket... Cricket patrzy na mnie. Wydaje się wstrząśnięty, zapewne zarówno moim widokiem, jak i tym, jak dzisiaj wyglądam. Odwraca się w moją stronę i widzę coś jeszcze.

Trzyma dziecko na biodrze.

Ukrywam twarz za włosami i wbiegam do domu. Bellowie przestali gadać. Patrzą na mnie, słuchają moich stłumionych szlochów. Jest też Alexander, starszy brat. Nie dostrzegłam go wcześniej, bo stał za Cricketem, a jest od niego sporo niższy.

Dziecko. No tak, Abigail, córka Alecka.

Max. Jego imię powraca rykoszetem. Zapominam o Bellach, trzaskam drzwiami, biegnę na górę. Nathan słyszy moje kroki i rusza za mą.

– Co jest, Lola? Co się stało?

Zamykam za sobą drzwi, osuwam się na posadzkę. Nathan dobija się do mnie, zadaje

mnóstwo pytań, zaraz dołączają do niego Andy i Norah. Nawet Betsy energicznie wali ogonem w ścianę.

– Zerwałam z Maksem, jasne? Dajcie mi święty spokój! – Urywam nagle, bo coś boleśnie ściska mnie za gardło. Zza drzwi dochodzą nerwowe szepty. Wygląda na to, że Norah namawia rodziców, żeby odeszli. Słyszę, jak Betsy pobrzękuje obrozą, schodząc za wszystkimi do saloniku.

Zapada cisza.

Jestem sama. Naprawdę sama.

Rzucam się na łóżko w ubraniu i butach. Jak Max mógł być tak okrutny? A ja? Jak mogłam odpowiedzieć podobnie? Ma rację. Jestem kłamczuchą i oszustką i... nie jestem wyjątkowa. Nie ma we mnie nic wyjątkowego. Jestem głupią małolatą szlochającą w poduszkę. Dlaczego wszystko zawsze sprowadza się do tego momentu? Po Crickecie przed dwoma laty. Po Norah, przed dwoma miesiącami. A teraz po Maksie. Już zawsze będę małolatą szlochającą w poduszkę.

Ta myśl sprawia, że płaczę jeszcze bardziej.

– Lola? – Nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło, odkąd słyszałam ten cichy głos za oknem. – Lola? – Głośniej. Próbuje jeszcze raz po chwili, ale nie wstaję. Jasne, zjawia się teraz, po dwóch tygodniach milczenia. Po tym, jak nie oddzwonił. Kiedy jestem na dnie rozpacz.

Jestem złym człowiekiem.

Nie, to Max jest zły. Jest zazdrosny, trudny, pełen pogardy.

Ale ja jestem gorsza. Jestem dzieckiem, które bawi się w przebieranki i samo nie wie, kim jest pod kolorowym przebraniem.

Rozdział 26

Umysł podpowiada, że powinnam dać upust emocjom. Ale nie mogę już płakać. Jestem pusta. Wyczerpana. I nie mam siły się ruszać.

 Nie, żebym specjalnie chciała.

 Bo na tym polega problem z depresją. Kiedy jestem w takim stanie, nie chcę poczuć się lepiej. Dobrze mi tak, jak jest. Chcę się zakopać w cierpieniu, kulić pod jego ciężarem, wciągać je w płuca. Chcę się nim napawać, chcę je hodować, pieścić, czcić. Jest moje. Chcę w nim trwać, zasypiać wtulona w jego ramiona i nie budzić się jak najdłużej.

 W tym tygodniu spędziłam w łóżku mnóstwo czasu.

 Kiedy człowiek śpi, nikt go o nic nie pyta. Nikt niczego od niego nie chce. I nie trzeba mierzyć się z trudnościami. No więc wlekłam się do szkoły i wlekłam się do pracy. I spałam.

 Maksa nie ma. I to nie w sensie, że już nie jesteśmy razem, ale naprawdę go nie ma. Prosiłam Lindsey, żeby poszła do niego po książkę, którą u niego zostawiłam, i Johnny powiedział, że wyjechał we wtorek. Nie chciał zdradzić dokąd.

 Więc w końcu uciekł. Beze mnie.

 To okropne, że każda myśl o nim sprawia mi taki ból. I nie chodzi o to, że chcę z nim być, bo nie, ale przez tak długi czas znaczył dla mnie tak wiele. Był moją przyszłością, a teraz jest niczym. Dałam mu wszystko, a teraz go nie ma. Był moim pierwszym facetem, więc nigdy go nie zapomnę, ale on o mnie – tak. Z czasem będę tylko kolejną dziewczyną w długim szeregu.

 Nie wiedziałam, że można zarazem za kimsz tęsknić i go nienawidzić. Myślałam, że będziemy z Maksem razem na zawsze. Nikt w to nie wierzył. Mieliśmy udowodnić im, że się mylą, ale to my nie mieliśmy racji. A może tylko ja. Czy Max wierzył, że on i ja to już na zawsze?

 Odpowiedź, bez względu na to, jak by nie brzmiała, jest zbyt bolesna, by o niej myśleć.

 Rodzice się o mnie martwią, ale dają mi spokój, żebym mogła powoli dojść do siebie. Jakby po złamanym serca można było dojść do siebie.

 Koło północy – ni to piątek, ni to sobota – jest znowu pełnia. Dawniej farmerzy nazywali grudniowe pełnie Księżycem Zimowym albo Księżycem Długich Nocy. I jedno i drugie pasuje. Zostawiłam otwarte okno, żeby napawać się jego zimnem, żeby

jego smutek zlewał się z moim, ale to był błąd. Trzęsę się z zimna. Mam za sobą długą zmianę w kinie, jestem wyczerpana, nie mam siły, by wstać i zamknąć okno.

Ale nie mogę spać.

W świetle księżycy jasnoniebieski jedwab sukni à la Maria Antonina mieni się srebrzyście. Jest już niemal gotowa. Do balu jeszcze półtora miesiąca, mnóstwo czasu.

To i tak nieważne. Nie idę.

I nie chodzi nawet o to, że nie mam z kim. Po prostu bez sensu jest iść w czymś tak idiotycznym. Max miał rację. Ten bal to idiotyzm. Moja suknia nie wzbudzi podziwu, tylko kpiny. Nie mam pojęcia, jak długo gapiłam się w materiał, gdy za oknem zapala się żółte światło.

– Lola? – Wołanie w ciemności.

Zamykam oczy. Nie mogę rozmawiać.

– Wiem, że tam jesteś. Zaraz przyjdę, dobrze?

Sztywnieję, słysząc znajomy brzęk półki z jego szafy na parapecie. W weekend też mnie wołał, ale udawałam, że go nie słyszę. Wsłuchuję się w cichy zgrzyt półki o parapet i po chwili Cricket cicho zeskakuje na podłogę.

– Jestem – szepcze. – Możesz ze mną pogadać, możesz nie gadać, ale jestem.

Zaciskam mocno powieki.

– Wiem od St. Claira, co się stało. Z Makssem. – Czeka, aż coś powiem, a gdy milczę, mówi dalej: – Ja... przepraszam, że nie oddzwoniłem. Byłem zły. Powiedziałem Cal, że byłem u ciebie, i wpadła w szał. Powiedziała, że uprzedzała cię, że masz trzymać się ode mnie z daleka, i strasznie się pokłóciliśmy. Byłem na nią wściekły, że działa za moimi plecami, a na ciebie, że mi nie powiedziałaś. Jakbym... Jakbym twoim zdaniem miał tego nie udźwignąć.

Zwijam się w kłębek i krzywię boleśnie. Właściwie dlaczego mu nie powiedziałam? Bo nie chciałam, żeby zrozumiał, że Calliope miała rację? Żeby posłuchał jej, a nie mnie? Jestem okropna. I tak samo boję się Calliope, jak ona mnie.

– Ale... Jezu, to wszystko wyszło nie tak. – Słyszę, jak niespokojnie wierci się na podłodze. – Chciałem powiedzieć, że ostatnio dużo o tym wszystkim myślałem i tak naprawdę wcale nie mam do ciebie pretensji. Nie do ciebie, tylko do siebie. To ja ciągle do ciebie przychodzę, to ja nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka. To wszystko to moja wina.

– Cricket. To nie twoja wina – odzywam się ochryple.

Milczy. Otwieram oczy. Patrzy na mnie. Odpowiadam tym samym.

– Księżyc jest dzisiaj bardzo jasny – stwierdza w końcu.

– Ale jest zimno. – Wróciły łzy. Płyną mi po policzkach.

Cricket pochyla się, gładzi mnie po karku, przesuwa dłoń wyżej, na brodę, na policzek. Zamykam oczy i czuję, jak kciukiem ociera mi łzy. Siada ostrożnie. Odwracam głowę. Zamyka ją w dłoniach. Siedzimy tak przez kilkanaście minut.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci o rozmowie z Calliope – szepczę.

Odsuwa się delikatnie i widzę, że na grzbiecie jego dłoni znowu widnieje gwiazda.

– Jestem po prostu zły, że w ogóle z tobą rozmawiała, to nie jej sprawa.

– Martwiła się o ciebie i tyle. – Zaczynam mówić i nagle zdaję sobie sprawę, że naprawdę tak uważam. – Miała do tego prawo. Nie jestem dobra.

– Nieprawda – odpowiada. – Skąd ten pomysł.

– Dla Maksa byłam okropną dziewczyną.

Długa cisza.

– Kochałaś go? – pyta cicho.

Przełykam ślinę.

– Tak.

Cricket jest poruszony.

– Nadal go kochasz? – pyta. Zanim odpowiem, dodaje szybko: – Nie, nie mów, nie chcę wiedzieć. – I nagle jest w moim łóżku, czuję na sobie jego ciało, jego biodra, jego usta są tuż-tuż.

Moje zmysły eksplodują. Tak długo na niego czekałam.

I muszę poczekać jeszcze trochę.

W ostatniej chwili wsuwam dłoń między nasze wargi. Czuję na dłoni jego miękkie usta. Odsuwam ją bardzo, bardzo powoli.

– Nie, nie kocham już Maksa. Ale nie chcę dawać ci tej pustej, złamanej Loli. Chcę, żebyś miał mnie całą, kiedy będę mogła ci to wszystko odwzajemnić. W tej chwili niewiele mam do zaoferowania.

Leży nieruchomo, ale wyczuwam bicie jego serca.

– Ale kiedyś będziesz mnie chciała? To, co kiedyś do mnie czułaś... też nie do końca zniknęło?

Nasze serca biją tym samym oszalałym rytmem. Grają tę samą melodię.

– Nigdy – odpowiadam.

Cricket zostaje do rana. I choć już więcej nie rozmawiamy, i choć nie robimy niczego, właśnie tego mi trzeba. Kojącej obecności kogoś, komu ufam. Zasypiamy w końcu i śpimy mocno.

Tak mocno, że nie zauważamy wschodu słońca.

Nie słyszymy krzątani na dole.

Nie słyszymy Nathana, póki nie stoi tuż nad nami.

Rozdział 27

Nathan chwytając Cricketa za ramię i ściąga go z łóżka. Cricket kuli się w kącie, a ja po omacku szukam okularów. Skóra mi płonie.

– Co tu się dzieje, do cholery? Czy on zakradł się, gdy... – Nathan urywa, dostrzega kładkę między oknami. Podchodzi do Cricketa, który garbi się tak bardzo, że jest już niemal wzrostu Nathana. – Od jak dawna zakradasz się do pokoju mojej córki? Od wielu dni? Tygodni? Miesięcy?

Cricket jest tak przerażony, że z trudem wydusza z siebie odpowiedź.

– Nie, proszę pana, skądże. Bardzo przepraszam, proszę pana.

Andy wpada do pokoju, zaspany i rozczochrany.

– Co się dzieje? – Widzi skulonego Cricketa i minę Nathana.

– Zrób coś – błagam go. – Bo go zabije!

Andy posępnieje, a ja przypominam sobie coś, co dawno temu powiedział Max – o ile gorzej jest znosić dwóch nadopiekuńczych ojców. Zaraz jednak łagodnieje i z wahaniem podchodzi do Nathana.

– Skarbie, posłuchaj, ja też mam ochotę rozerwać go gołymi rękami, ale najpierw porozmawiajmy z Lolą.

Nathan jest przerażająco nieruchomy. Jest tak wściekły, że z trudem formułuje słowa:

– Wynocha. I to już.

Cricket rzuca się do okna. Andy'emu oczy wychodzą z orbit na widok kładki, ale mówi tylko:

– Przez drzwi, Cricket. Przez drzwi. Wejściowe.

Cricket podnosi pojednawczo ręce i w świetle dnia widzę, że nadal ma na paznokciach resztki granatowego lakieru.

– Chciałem tylko powiedzieć, że niczego nie robiliśmy, my tylko... rozmawialiśmy i spaliśmy. W sensie: spaliśmy – dodaje szybko. – Z zamkniętymi oczami i dłońmi na kołdrze. Jak dzieci. Nie zrobiłbym niczego bez państwa wiedzy. Niczego nie... to znaczy...

– Cricket – syczę.

Patrzy na mnie smutno.

– Przepraszam. – A potem wybiega, schodzi na parter i wychodzi. Nathan też wychodzi i trzaska drzwiami do pokoju rodziców.

Andy milczy przez dłuższy czas. W końcu wzdycha.

– Możesz mi z łaski swojej wyjaśnić, czemu dziś rano w twoim łóżku spał chłopak?

– Niczego nie robiliśmy. Musisz mi uwierzyć! Przyszedł, bo wiedział, że mi smutno. Chciał się upewnić, że nic mi nie jest.

– Dolores, właśnie w ten sposób chłopcy wykorzystują dziewczyny. Albo innych chłopców – dodaje. – Atakują, kiedy się tego nie spodziewasz, kiedy jesteś w dołku.

Denerwuje mnie to, co sugeruje.

– Cricket nie mógłby mnie wykorzystać.

– Wszedł z tobą do łóżka, wiedząc, że cierpisz przez innego.

– I tylko rozmawialiśmy!

Andy splata ręce na piersi.

– Ile to już razy?

Mówię prawdę. Chcę, żeby mi uwierzył, żeby uwierzył, że Cricket nie zrobił niczego złego.

– To był dopiero drugi, ale za pierwszym nie został na noc.

Zamyka oczy.

– To było przed tym, jak zerwałaś z Maksem, czy już po?

Serce podchodzi mi do gardła.

– Przed.

– Powiedziałaś o tym Maksowi?

Robi mi się słabo.

– Nie.

– I nie zastanawiałaś się, czy to w porządku?

Zaczynam płakać.

– Tato, my się przyjaźnimy.

Andy krzywi się boleśnie i siada na moim łóżku.

– Lola, wszyscy wokół widzą, że ten chłopiec jest w tobie zakochany. Ba, nawet ty o tym wiesz. I choć okropne jest, że tu był, jeszcze gorsze jest to, że go zwodzisz. Miałaś chłopaka. Co ty sobie myślałaś? Nie wolno tak ludzi traktować. Żadnego z nich.

Nie przypuszczałam, że można się poczuć jeszcze gorzej, a jednak.

– Posłuchaj... – Sądząc po minie Andy'ego, wolałby zjeść tłuczone szkło, niż powiedzieć to, co zaraz padnie z jego ust. – Wiem, że dorastasz. I choć to trudne, godzę się z pewnymi... rzeczami, które robisz. Ale jesteś inteligentną młodą kobietą, rozmawialiśmy o tym nieraz i mam nadzieję, że od tej pory będziesz podejmowała właściwe decyzje.

O Boże. Nie mogę na niego patrzeć.

– I musisz zrozumieć, że to dla nas bardzo trudne, zwłaszcza dla Nathana. Norah była w twoim wieku, gdy uciekła z domu i zaszła w ciążę. Ale zawsze możesz ze mną pogadać. Chciałbym, żebyś to robiła.

– Dobrze. – To słowo z trudem przechodzi mi przez gardło.

– I nie chcę znowu zastać chłopaka w twoim pokoju, jasne? – Czeka, aż skinę głową, i dopiero wtedy wstaje. – No dobrze. Pogadam z Nathanem i zobaczę, co da się zrobić. Ale nie łudź się choć przez chwilę, że to ci ujdzie płazem.

– Wiem.

Podchodzi do drzwi.

– Nigdy więcej, rozumiemy się.

– A... A kiedy wyjdę za mąż?

– Kupimy mu polówkę. Będzie na niej spał podczas wizyt.

Nic na to nie poradzę, parskam śmiechem. Andy wraca. Obejmuje mnie.

– Nie żartuję – zapewnia.

Po południu już znam karę. Szlaban na całe nadchodzące ferie zimowe. Kolejny miesiąc w domu. Szczerze mówiąc, wcale się tym nie przejęłam. Przeraza mnie inny element kary, ten, o którym nie rozmawiamy.

Rodzice stracili do mnie zaufanie. Muszę zdobyć je na nowo.

Przez cały dzień liczę, że zobaczę Cricketa w oknie, ale w ogóle nie wchodzi do swego pokoju. Koło trzeciej widzę, jak przemyka się przy oknie w kuchni, więc wiem, że nadal jest w domu. Dlaczego mnie unika? Jest mu wstyd? Jest zły? Czy rodzice zadzwonili do państwa Bell? Wolę o to nie pytać, żeby im nie podsuwać tego pomysłu, na wypadek gdyby jednak jeszcze na to nie wpadli.

Zanim Cricket w końcu zapali światło u siebie, jestem w rozsypce. Jest kilka minut po ósmej. Odkładam pracę domową z angielskiego i podbiegam do okna. Już jest. Otwieramy je jednocześnie i nocną ciszę przerywa... ryk.

Cricket znowu ma na rękach córeczkę Alecka.

– Sorry! – woła. – Nie mogę jej odłożyć!

– W porządku! – odkrzykuję.

I wtedy coś do mnie dociera. Gwałtownie zamykam okno. Cricket wydaje się zaskoczony, ale podnoszę palec do ust i bezgłośnie mówię: sekundę. Wyrywam kartkę z zeszytu i piszczę fioletowym markerem. Przyciskam kartkę do szyby.

„Rodzice! Pogadamy później! Bez małej!”

Chyba kamień spadł mu z serca. Zaraz z przerażeniem zamyka okno. Przez kolejną

minutę oboje, z duszami na ramionach, czekamy, aż moi rodzice wpadną do mego pokoju. Ale nie. Jednak nawet przez zamknięte okna słyszę szloch Abigail. Cricket nosi ją a rękach, kołysze, ale mała ciągle ryczy.

Gdzie Aleck? Jego żona? Czy to nie oni powinni się tym zająć?

Do pokoju Cricketa wpada Calliope. Bierze od niego Abigail, która ryczy coraz głośniej. Bliźnięta krzywią się boleśnie i Cricket przejmuję bratanicę. Mała uspokaja się trochę, ale nadal płacze. Calliope zerka w moją stronę. Nieruchomieje. Macham jej nieśmiało. Odpowiada gniewnym spojrzeniem.

Cricket widzi jej minę, mówi coś i Calliope wychodzi, a po chwili zapala się światło w jej pokoju. Cricket odwraca się do mnie plecami, cały czas kołysząc Abigail, gdy do pokoju wchodzi pani Bell. Zaciągam zasłonę. Nie wiem, co się u nich dzieje, ale nie chcę, żeby jego mama pomyślała, że ich podglądam.

Ponownie siadam nad wypracowaniem z angielskiego, ale nie mogę się skupić. Znajome, obezwładniające poczucie winy. Kiedy w zeszłym tygodniu widziałam Bellów na podjeździe, byli czymś wyraźnie przejęci. A ja nawet nie zapytałam Cricketa, o co chodziło. Był tu przez całą noc, a mnie to nawet nie przyszło do głowy. A przecież on zawsze pyta o wszystko, co dzieje się w moim życiu. Ależ ze mnie egoistka.

Dociera do mnie nowe objawienie: nie zasługuję na niego.

Cricket gasi światło i ten nagły mrok tylko utwierdza mnie w moich obawach. Jest dla mnie za dobry. Jest taki kochany i uczuciowy. Jest człowiekiem honoru. Nie zasługuję na niego, ale... i tak go pragnę.

Czy można sobie na kogoś zasłużyć?

Nie wraca przez prawie dwie godziny. Kiedy w końcu wraca, znowu odsłaniam okno, a Cricket – swoje. Widzę, że jest zmęczony, smętnie zwiesza ramiona, ba, jeden kosmyk włosów opadł mu na czoło. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby włosy mu opadały.

– Przepraszam – mówi znudzony. Cicho, bo wie, że zagrożenie ze strony rodziców jeszcze nie minęło. – Za tę noc. Za ranek. Za dzisiaj. Twoi rodzice nie odpuścili, prawda? Taki ze mnie...

– Przestań już, proszę. Nie musisz przepraszać.

– Wiem. Żadnych przeprosin. – Jest pochmurny.

– Nie. Nie przepraszaj za wczoraj. Za dzisiaj. Chciałam, żebyś u mnie był.

Podnosi głowę. I znowu intensywność jego spojrzenia sprawia, że serce tłucze mi się w piersi.

– To ja powinnam cię przeprosić – mówię. – Wiedziałam, że coś się u was dzieje, a

nawet nie zapytałam. Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Lola... – Mars na jego czole się pogłębia. – Przechodzisz teraz trudny okres. Nawet nie przyszło mi do głowy, że miałabyś teraz czas martwić się o moją rodzinę. Co to w ogóle za pomysł.

Usprawiedliwia mnie, choć postępuję źle. Nie zasługuję na niego.

Waham się.

Więc... może mogę na niego zasłużyć.

– No, ale... co się dzieje? Chyba że nie chcesz mi powiedzieć, zrozumieć to.

Cricket opiera się o parapet i patrzy w nocne niebo. Gwiazda na jego lewej dłoni zmyła się, ale nadal jest widoczna. Zwleka z odpowiedzią tak długo, że zaczynam się już zastanawiać, czy w ogóle mnie słyszał. Gdzieś w oddali rozlega się syrena przeciwmgielna. Do pokoju wkrada się mgła i wilgoć pachnąca eukaliptusem.

– W zeszłym tygodniu mój brat oszedł od żony. Zabrał Abby i póki nie wymyśli, co dalej, zostanie u nas. Nie jest w najlepszej formie, więc musimy się nimi zająć. Obojgiem.

– A gdzie jego żona? Czemu to on zabrał małą?

– Nadal w ich mieszkaniu. Ona... przechodzi kryzys życiowy.

Splatam ręce na piersi.

– Co to znaczy? Jest lesbijką?

– Nie. – Cricket odrywa wzrok od nieba i patrzy na mnie. Widzę, że czuje się nieswojo. – Jest od niego o wiele młodsza. Pobrali się, zaszła w ciążę, a teraz jej się to nie podoba, to nowe życie. Chce wychodzić i balować. W zeszły weekend... Aleck dowiedział się, że go zdradzała.

– Tak mi przykro. – Myślę o Maksie. O Crickecie w moim pokoju. – To okropne.

Wzrusza ramionami i odwraca głowę.

– I dlatego w końcu przyjechałem. No wiesz, żeby im tu pomóc.

– To znaczy, że nadal gniewasz się na Calliope?

– Może, sam już nie wiem. – Przesuwa palcami przez ciemne włosy, aż sterczą jeszcze bardziej. – Czasami strasznie wszystko komplikuje, i to bez potrzeby. Ale chyba teraz robię dokładnie to samo.

Nie kończę tej myśli, wracam do Maksa. Przypominają mi się moje naiwne marzenia o wspólnej przyszłości.

– Myślisz... myślisz, że żona Alecka robi to wszystko, bo pobrali się za młodo?

– Nie. W ogóle nie powinni się pobierać. Jedynym, który wierzył, że im się uda, był Aleck, ale było jasne, że to nie jest kobieta dla niego.

Kobieta dla niego. Nie ona.

– Skąd wiedzieliście? Że to nie ona?

Teraz to on wbija wzrok w swoje dłonie. Zacierając powoli.

– Między nimi nie było... chemii. Rozumiesz? To nigdy nie było łatwe.

Mówię coraz ciszej.

– Zawsze musi być łatwo? Żeby się udało?

Gwałtownie podnosi głowę, przejęty, gdy dociera do niego, co chcę powiedzieć.

– Nie. To znaczy tak, ale... czasami są pewne... okoliczności łagodzące. Przez które łatwo nie jest. Przez pewien czas. Ale kiedy uda się pokonać te przeciwności, to...

– Więc wierzysz w drugą szansę? – Zagryzam usta.

– W drugą, trzecią, czwartą. Ile będzie trzeba. Pod warunkiem że walczysz o właściwą osobę – dodaje.

– A jeśli tą osobą jest... Lola?

– Tylko jeśli tą drugą osobą jest Cricket.

Rozdział 28

Nie tylko na Cricketa muszę zasłużyć. Muszę też odzyskać zaufanie rodziców.

Jestem dobrą córką, naprawdę. Owszem, mam mnóstwo wad, ale odrabiam lekcje, robię w domu to, co do mnie należy, rzadko pyskuję i bardzo ich lubię. Należę do nielicznych osób wśród moich rówieśników, których naprawdę interesuje zdanie rodziców. Ubieram się więc poważnie (na czarno, bardzo odpowiedzialnie) i uczę do egzaminów jak szalona, i robię wszystko, o co poproszą. Nawet jeśli to coś okropnego. Na przykład wychodzę z Betsy na wieczorny spacer, choć na dworze jest już przerażająco zimno. I to już od tygodnia.

Chcę, żeby widzieli, jaka jestem dobra, żeby dostrzegli, że Cricket też jest dobry. Lepszy. Przyszedł ich oficjalnie przeprosić, choć to raczej nie pomogło i nadal nie można w domu wymieniać jego imienia. Nawet kiedy pani Bell opowiedziała im o Alecku i przez całą kolację uzalali się nad nimi, mówili tylko o Calliope i... Hm.

Dobrze chociaż, że państwo Bell nie wiedzą, co się stało. Rodzice ich nie zawiadomili. Myślę, że to zasługa Andy'ego, a może nawet Norah. W całej tej sytuacji zachowuje się zadziwiająco w porządku.

– Daj im czas – powtarza. – Nie naciskaj.

Czyli sprowadza się do tego, co już wiem. Czas.

Wspomnienie Makska nadal nie daje mi spokoju. Nie wiedziałam, że zerwanie może być tak okropne, nawet jeśli człowiek sam tego chciał. Bo przecież to ja z nim zerwałam. Przynajmniej pierwsza to powiedziałam.

Ale potem mnie dobił.

Czuję się okropnie na wspomnienie naszego ostatniego spotkania i na myśl o tym, że byłam z nim nieszczerą, gdy jeszcze byliśmy razem. Muszę go przeprosić. Może gdy się z tym uporam, będę mogła przejść nad tym do porządku dziennego. Może wtedy przestanę cierpieć, ilekroć przypomni mi się jego imię. Nagrywam mu się na pocztce głosowej, ale nie oddzwania. I nadal nie ma go w mieście. Poszłam nawet do Amoeba Records, pogadać z Johnnym.

Ostatnie słowa Makska nie dają mi spokoju. Naprawdę nic dla niego nie znaczą? Tak szybko?

Nie jestem jeszcze gotowa na Cricketa, zresztą teraz nie ma dla mnie czasu. Aleck jest załamany i nie jest w stanie zajmować się Abigail i mała uznała, że zastąpi go Cricket. Jest w domu – też ma ferie – i właściwie cały czas towarzyszy mu Abby, wisi

mu na szyi, czepia się jego nóg. Znam to uczucie, tę potrzebę, głęboko w niej. Też chciałabym się kogoś uchwycić.

Lindsey bardzo mi pomaga. Dzwoni codziennie i rozmawiamy... nie o Maksie. Nie o Crickecie. Choć trochę speszona oznajmia, że jednak wybiera się na zimowy bal. Zaprosiła Charliego i oczywiście się zgodził. Bardzo się cieszę.

Dziwne, że można się zarazem cieszyć i smucić.

Suknia à la Maria Antonina, peruka i rogówka są w gabinecie Nathana, czyli, chwilowo, pokoju Norah. Nie chcę na nie patrzeć. Może kiedyś to skończę, na przykład na Halloween w przyszłym roku, dla Lindsey. Ale nadal nie chcę iść na bal – przynajmniej to była słuszna decyzja. Ostatnie tygodnie w szkole były koszarne.

– Ktoś zmarł, że nosisz żałobę? – zachnęła się Marta na widok mojej czarnej kreacji. Jej przyjaciółki, szkolne modnisie, zawtórowały jej i zaraz cała szkoła uznała, że jestem gotką. Choć to nieprawda, nie miałabym nic przeciwko temu, tylko że goci zarzucili mi pozerstwo.

– Nie jestem gotką i nie jestem w żałobie – tłumaczyłam.

Dobrze chociaż, że moje nowe ciuchy pozwalają mi wtopić się w tłum. W zimie Castro zalewa fala modnej czerni. Czerni pomaga mi zniknąć, bo teraz nie chcę rzucać się w oczy. Zdziwiająca, jak ubiór wpływa na to, jak inni cię postrzegają – albo nie. Zaledwie wczoraj czekałam na autobus obok Malcolma z piekarni Hot Cookie. Kupiłam u niego mnóstwo ciasteczek z cukierkami M&M, wiecznie dyskutujemy, która jest lepsza, Lady Gaga czy Madonna, ale teraz w ogóle mnie nie poznał.

Dziwne. Nikt nie poznaje prawdziwej mnie.

Nieliczni, którzy mnie rozpoznają, pytają, czy wszystko w porządku. No i dobra, fakt, nie jestem w najlepszej formie, ale dlaczego wszyscy od razu zakładają, że coś jest nie tak, bo nie mam na sobie przebrania? Nasz kasjer z banku posunął się do tego, że zwrócił się do Nathana, który wrócił z pracy zmartwiony, i musiałam po raz kolejny zapewniać go, że naprawdę wszystko jest w porządku.

Wszystko jest w porządku.

Nieprawda.

To jak w końcu?

Świąteczne lampki i menory w oknach domów, sklepów, barów, klubów, restauracji... wydają mi się sztuczne. Wymuszone. Nie wiadomo, czy dlatego denerwuje mnie seksowny Święty Mikołaj rozdający cukierki i zbierający pieniądze na cele dobroczynne.

W ferie zabijam czas pracą – biorę dodatkowe zmiany w kinie – i obserwuję Cricketa. Za dnia widzę go przez okna Bellów, jak bawi się z Abigail. Abby ma jasne

włosy, jak ojciec i dziadek, i słodki, niewinny uśmiech stryja. Ubiera ją ciepło i codziennie zabiera na spacer.

Czasami biorę kurtkę i biegnę za nimi. Byłam z nimi w parku na huśtawkach, w bibliotece nad kolorowankami i w Spike's na kawie (Cricket i ja) i ekologicznym pierniczku (Abby). Staram się im pomagać. Chcę na niego zasłużyć, być go godna. Na mój widok rozpromienia się, ale nie sposób nie wyczuć, że szacuje mnie bez słów. Jakby chciał ocenić, czy już doszłam do siebie. Czy to jest ten dzień? I widzę po nim, po jego smutnej, zagubionej minie, że wie, że jeszcze nie.

Wolałabym, żeby tak na mnie nie patrzył. To znowu ta mina trudnego równania.

Wieczorami, gdy Abby już śpi, krząta się w pokoju. Nie wiem, co robi, chyba coś małego, ale na biurku poniewierają się śrubki i inne elementy. I to mnie cieszy.

Boże Narodzenie mija, jak Święto Dziękczynienia, bez echa. Chodzę do pracy – w święta kina zawsze pękają w szwach. Anna i St. Clair też pracują. Usiłują mnie rozbawić naszą ulubioną zabawą – naliczamy sobie punkty, ilekroć ktoś narzeka na cenę biletu albo ochrzania nas za odwołany seans. Ten, kto po zamknięciu kina zdobędzie najwięcej punktów, dostaje nagrodę – nieotwartą paczkę żelek, którą St. Clair znalazł w sali nr 12. Kiepska nagroda, ale zawsze.

W tym roku zarząd zafundował nam mikołajowe czapki. Moja, jako jedyna, jest wściekle różowa. Doceniam zamysł, ale czuję się idiotycznie.

Na mnie krzyczy najwięcej klientów. Wygrywam żelki.

Nowy Rok. Jest zimno, ale słonecznie, więc idziemy z Betsy do parku Dolores. Obwąchuje krzaczki na wzgórzu, gdy słyszę ciche:

– Ola!

Abby. Cieszy mnie, że pamięta, jak mam na imię. Ma dopiero półtora roku i zna niewiele słów. Biegnie do mnie z placu zabaw. Ma na sobie fioletową spódniczkę baletową. Cricket idzie za nią z rękami w kieszeniach. Uśmiecha się.

Kłękam, obejmuję Abby, która rzuca mi się na szyję, tak jak robią to tylko naprawdę małe dzieci.

– Cześć, brzdącu – mówię. Wyciąga rączki do turkusowej spinki w moich włosach. Zapomniałam ją wyjąć. Norah – Norah, ze wszystkich ludzi na świecie – wpięła mi ją przy śniadaniu.

– Jest Nowy Rok, odrobina koloru cię nie zabije.

Cricket odciąga Abby, zanim dopadnie mojej spinki.

– No już, już. Abigail Bell, dosyć tego! – Ale uśmiecha się do niej, a ona do niego.

– Widzę, że masz nową przyjaciółkę – zauważam.

Smutnieje.

– Dzieci mają dziwne gusta.

Parskam śmiechem. Po raz pierwszy w tym tygodniu.

– Choć muszę przyznać, że ma gust, jeśli chodzi o fryzury – dodaje. Betsy przewraca się na grzbiet. Głaszcz je po brzuchu. Jego gumki i bransoletki muskają jej ciemną sierść. Cały grzbiet lewej dłoni pokrywają matematyczne wzory i symbole. Abby pochyla się nieśmiało i głaszcz mojego psa. – Fajnie, że znowu włożyłaś coś błyszczącego – dodaje.

Poważnieję. Rumienieję się.

– Och, wiem, że to idiotyczne, ale jest Nowy Rok i Norah pomyślała...

Cricket się prostuje. Ściąga brwi. Jego cień, długi i chudy, rozciąga się za nim w nieskończoność.

– Naprawdę. Fajnie jest dostrzec kawałek Loli. – Uśmiecha się miękko. – To mi daje nadzieję.

Nie potrafię tego wyjaśnić, ale nagle mam łzy w oczach.

– Przecież cały czas jestem sobą. Staram się być sobą. Lepszą wersją siebie.

Pytająco unosi brwi.

– Przepraszam bardzo, niby na jakiej planecie Lola Nolan nie ubiera się... kolorowo?

Wskazuje mój strój.

– Mam to samo w bieli, żeby wszystko było jasne.

Żart się nie udał. Cricket gryzie się w język. Abby zatacza się na jego lewą nogę i chwytą się jej rozpaczliwie. Bierze ją na rękę, sadza sobie na biodrze.

– No, powiedz to – proszę. – Bez względu na to, co to jest.

Cricket powoli kiwa głową.

– Dobrze. – Zastanawia się długo, zanim powie coś więcej. Starannie dobiera słowa. – To, że chcesz być dobra, lepsza, czy co tam sobie wymyśliłaś... to nie powinno zmieniać tego, kim jesteś. Masz być bardziej sobą. Ale... tej Loli nie znam.

Serce staje mi w piersi. Dokładnie to samo mówił Max.

– Tak? – Cricket jest zdenerwowany. – Kiedy to powiedział?

Znowu się rumienieję. Wbijam wzrok w trawę. Dlaczego w stresie zawsze mówię wszystko na głos?

– Nie, nie widziałam się z nim, jeśli o to ci chodzi. Ale dawniej... mówił, że ponieważ wiecznie się przebieram, nie wie, jaka jestem naprawdę.

Cricket zamyka oczy. Drży. Dopiero po chwili dociera do mnie, że dygocze ze złości. Abby wierci się niespokojnie. Jego nastrój udziela się jej.

– Lola, pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że mam talent?

Przełykam ślinę.

– Tak.

Unosi powieki, patrzy mi w oczy.

– Ty też masz. I choć niektórym może się wydawać, że przebranie oznacza, że chcesz ukryć prawdziwe ja, moim zdaniem czasami kostium mówi o kimś więcej niż zwykłe ciuchy. Mówi bardzo dużo o tym, kto go nosi. Znałem tamtą Lolę, bo otwarcie pokazywała całemu miastu swoje sny i marzenia. Ja w każdym razie je widziałem.

Serce dudni mu w uszach, płucach, gardle.

– Brakuje mi tej Loli – mówi.

Podchodzę do niego. Wstrzymuje oddech.

I robi krok w moją stronę.

– Och – sapie Abby.

Opuszczamy wzrok. Nadal siedzi mu na kolanach, ale wpatruje się w zimowe niebo. Znad parku Dolores wzbija się stadko słynnych papug z San Francisco. Powietrze wypełniają zielone pióra, trzepot skrzydeł i głośnie wrzaski. Cały park zamiera, wpatrzony w widowisko. Stado znika wśród budynków równie nagle, jak się zjawilo.

Wracam wzrokiem do Abby. Jest oszołomiona eksplozją koloru, hałasu i piękna.

Rozdział 29

Jest niedzielny wieczór, jutro znowu zaczyna się szkoła. Rodzice poszli na randkę, a ja siedzę w saloniku z Norah. Oglądamy w telewizji maraton programów wnętrzarskich i obie wznosimy oczy do nieba, choć z różnych powodów. Według Norah wszystkie te nowo urządzone domy są mieszczańskie, a co za tym idzie, nudne. Moim zdaniem też są nudne, ale tylko dlatego, że mam wrażenie, że ci wszyscy projektanci rządzą je według jednej, zużytej już sztancy.

– Fajnie, że znowu wyglądasz jak ty – rzuca w czasie przerwy na reklamy. Mam na sobie niebieską perukę, sukienkę z falbankami à la alpejska pasterka i rękawy ze złotego swetra z sieciówki. Obcięłam je i noszę jako getry. Prycham głośno.

– Jasne, bo wszyscy wiemy, jak bardzo podoba ci się mój styl.

Choć nie odrywa wzroku od telewizora, w jej głosie pojawia się znajomy ostry ton.

– Ja bym się tak nie ubrała, ale to nie znaczy, że tego nie doceniam. Że nie podoba mi się, kim jesteś.

Też gapię się w ekran, ale coś ściska mnie w piersi.

– Co z mieszkaniem? – pytam po chwili, gdy w programie powtarzają wydarzenia sprzed reklam. – Ronnie ustalił już, kiedy możesz się wprowadzić?

– Tak. Do końca tygodnia już mnie tu nie będzie.

– Och. To już... zaraz.

Teraz ona prycha. Zupełnie jak ja.

– Zaraz albo jeszcze szybciej. Przy Nathanie się duszę, od samego początku.

Oto ta niewdzięczna Norah, którą dobrze znam. Nagle cieszę się, że się wyprowadzi. Ale tylko kiwam głową i oglądamy odcinek do końca we wrogim milczeniu. Kolejne reklamy.

– Wiesz, na czym polega sztuka wrózenia? – pyta nagle.

Zapadam się w poduszki kanapy. No, to zaczynamy.

Norah odwraca się w moją stronę.

– Tak naprawdę wcale nie czytam z fusów. A inni nie czytają z kart ani z dłoni. Czytamy z ludzi. Dobry wróżbita czyta w kliencie jak w książce. Przyglądam się fusom, a potem mówię ludziom to, co chcą usłyszeć. – Pochyliła się bliżej. – Płacą chętniej, jeśli usłyszą to, czego chcą.

Krzywię się. Nie bardzo wiem, co będzie dalej.

– Założmy, że zwraca się do mnie klientka – ciągnie. – Bez obrączki na palcu, w

obcisłych ciuchach, z dekoltem do pępka. Chce poznać przyszłość. Chce wiedzieć, czy kogoś pozna. I zazwyczaj, jeśli dekolt jest dość głęboki, a pozytywna wróżba doda jej pewności siebie, pewnie pozna. Być może to nie będzie mężczyzna jej życia, ale moja wróżba i tak się spełni.

Mars na moim czole się pogłębia. Wpatruję się w ekran telewizora, ale krzykliwe reklamy utrudniają koncentrację.

– Więc... Kiedy na mnie patrzysz, widzisz kogoś, kto chce kłótni, rozstań i zamieszania? I to miało się spełnić?

– Nie. – Norah przysuwa się bliżej. – Z tobą było inaczej. Nie mam zbyt wielu okazji, by z tobą porozmawiać i mieć pewność, że mnie wysłuchasz. A wróżenie ci z fusów było idealną okazją. Nie powiedziałam ci tego, co chciałaś usłyszeć, tylko to, co musiałaś słyszeć.

Jestem już całkiem zagubiona.

– Same złe rzeczy?

Nakrywa moją dłoń swoją. Kościstą, ale jakimś cudem ciepłą. Odwracam się do niej i widzę współczucie w jej oczach.

– Twój związek z Maksem wypalał się – mówi tym swoim wróżbiarskim głosem. – Widziałam, że po nim czeka cię coś o wiele ważniejszego.

– Wiśnia. Już wtedy wiedziałaś, co czuję do Cricketa.

Cofa dłoń.

– Dziewczyno, cała okolica wiedziała, co czujesz do Cricketa. To fajny chłopak, Lola. Głupio, że daliście się przyłapać – wiesz, że rodzice są akurat pod tym względem cholernie drażliwi – ale to dobry chłopak. Oni też się do niego przekonają. I wiem, że ty też jesteś dobra.

Siedzę cicho. Uważa, że jestem dobra.

– Wiesz, czego żałuję najbardziej? – mówi. – Że wyrosłaś na wspaniałą, mądrą, piękną dziewczynę, a ja w żadnym stopniu się do tego nie przyczyniłam.

Mam gulę w gardle.

Norah splata ręce na piersi i ucieka wzrokiem.

– Twój rodzice mnie wkurzają, ale są wspaniałymi rodzicami. Mam szczęście, że jesteś ich córką.

– Na tobie też im zależy, wiesz o tym. Mi też.

Siedzi milcząca i sztywne. Zdobywam się na odwagę i po raz pierwszy od dzieciństwa przytulam się do niej. Rozluźnia się w moich objęciach.

– Odwiedzaj nas – proszę. – Jak się wyprowadzisz.

Na ekranie migają reklamy.

Błysk.

Błysk.

– Dobrze – mówi.

Później tego wieczoru jestem u siebie, gdy dzwoni telefon. Lindsey.

– Z drugiej strony – zaczyna – może jednak nie powinnam ci mówić.

– Czego? – Jej głos od razu sprawia, że zamieram. – Czego nie powinnaś mi mówić?

Głęboko nabiera tchu.

– Max wrócił.

Cała krew odpływa mi z twarzy.

– Jak to? Skąd wiesz?

– Widziałam go. Byłyśmy z mamą na zakupach w Mission i był tam, szedł ulicą.

– Widział cię? Rozmawiałaś z nim? Jak wyglądał?

– Nie. Skądże. Jak zawsze.

Jestem w szoku. Kiedy wrócił? Dlaczego nie dzwonił? To milczenie oznacza jedno – mówił prawdę, kiedy oznajmiał, że już nic dla niego nie znaczę.

Ostatnio zdarza mi się przez kilka godzin, raz nawet przez cały dzień, w ogóle o nim nie myśleć. Teraz rozdrapuję stare rany, ale... Ale nie bolą tak, jak się obawiałam. Może powoli godzę się z tym, że nic dla niego nie znaczę.

– Oddychasz? – dopytuje Lindsey. – Żyjesz?

– Oddycham. – I żyję. W mojej głowie szybko formuje się pomysł. – Słuchaj, muszę skończyć. Muszę coś zrobić. – Sięgam po płaszcz z ekologicznego futerka i portfel i już jestem w progu, gdy słyszę cichy trzask.

Zatrzymuję się w pół kroku.

Trzask. Trzask, trzask w moją szybę.

Serce staje mi w gardle. Otwieram okno i Cricket odkłada wykałaczki na bok. Ma czerwony szalik na szyi i granatową kurtkę o wojskowym kroju. I wtedy dostrzegam sfatygowaną brązową torbę na ramieniu. Co za cios. Ferie się skończyły. Wraca do Berkeley.

Zwiesza ramiona.

– Super wyglądasz.

Och. No tak. Od miesiąca widuje mnie tylko w czerni. Uśmiecham się nieśmiało.

– Dzięki.

Patrzy na mój płaszcz.

– Wychodzisz?

– Tak, spieszę się.

– Spotkamy się na zewnątrz? Twój rodzice będą mieli coś przeciwko temu?

– Nie ma ich.

– Dobrze. Za chwilę?

Kiwam głową i zbiegam na parter.

– Wracam za godzinę – mówię do Norah. – Muszę coś załatwić. I to dzisiaj.

Ścisza telewizor i pytająco unosi brew.

– Czy ta tajemnicza wyprawa ma coś wspólnego z pewnym młodym mężczyzną?

Nie wiem, którego ma na myśli, ale... w obu przypadkach ma rację.

– Tak.

Przygląda mi się przez kilka nieskończenie długich sekund, a potem ponownie podgłośnia telewizor.

– Tylko wróć przed nimi, wolałabym się nie tłumaczyć.

Cricket czeka przy schodach na ganek. W świetle księżyca wygląda cudownie. Patrzymy sobie w oczy, gdy pokonuję dwadzieścia jeden stopni dzielących mnie od ulicy.

– Wracam na studia – mówi.

Kiwam głową, widząc jego torbę.

– Domyśliłam się.

– Chciałem się tylko pożegnać, zanim wyjadę.

– Dziękuję. – Kiwam głową. Wszystko mi się płacze. – To znaczy... Cieszę się. Nie, że wyjeżdżasz, tylko że do mnie przyszedłeś.

Wbija ręce w kieszenie.

– Tak?

– Tak.

Milczymy przez dłuższą chwilę. I znowu wyczuwam ledwie wyczuwalny zapach mydła i smaru. Mój żołądek podskakuje nerwowo.

– Którędy? – Rozkłada ręce. – Dokąd się wybierasz?

– Tam. – Wskazuję kierunek przeciwny do tego, w którym jest stacja. – Muszę załatwić pewną starą sprawę.

Domyśla się, widząc moje wahanie, o czym mówię. Boję się, że poradzi, żebym tego nie robiła, albo, co gorsza, zaproponuje, że pójdzie ze mną, ale tylko milczy. A potem mówi:

– Dobrze.

Zaufanie.

– Niedługo przyjedziesz? – upewniam się.

Uśmiecha się, słysząc to pytanie.

– Nie zapomnisz mnie do tego czasu?

Teraz to ja się uśmiecham.

– Nie.

Odchodząc, uświadamiam sobie, że nie wiem, jak zdołam nie myśleć o nim przez cały ten czas.

Niepokój pojawia się dopiero, kiedy docieram do jego mieszkania i widzę znajomy brązowy budynek i różowe krzewy oleandrów. Zerkam w jego okno. Pali się światło, widzę ruch za firanką. Dopadają mnie wątpliwości. Może popełniłam błąd, przychodząc tutaj? Czy postępuję samolubnie, chcąc przeprosić? Może Max nie chce tego słyszeć?

Wbiegam po schodach w ciemnej klatce schodowej, podchodzę do drzwi. Kamień spada mi z serca, gdy to on, nie Johnny staje w progu, ale to trwa tylko chwilę. Mierzy mnie wrogim bursztynowym spojrzeniem. Otacza go zapach papierosów. Bez mięty.

– Ja... słyszałam, że wróciłeś.

Max cały czas milczy.

Zmuszam się, by odwzajemnić jego nieruchome spojrzenie.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro. Przepraszam, że cię okłamywałam, przepraszam za to, jak wszystko się między nami skończyło. Byłam wobec ciebie nie fair.

Cisza.

– No, dobra. Tyle ci chciałam powiedzieć. Cześć, Max.

Już jestem na schodach, gdy woła za mną:

– Spałaś z nim?

Zatrzymuję się.

– Kiedy byliśmy razem – dodaje.

Odwracam się i patrzę mu w oczy.

– Nie. Mówię prawdę. Nawet się z nim nie całowałam.

– A teraz? Sypiasz z nim?

Rumienię się.

– Jezu, Max.

– No to jak?

– Nie. Idę już. – Ale stoję jak wryta. To ostatnia okazja, żeby się dowiedzieć. – Gdzie byłeś przez ten miesiąc? Dzwoniłam. Chciałam porozmawiać.

- U przyjaciół.
- Gdzie?
- W Santa Monica. – Coś w tym, jak to mówi. Jakby chciał, żebyśmy zapytała.
- Z... dziewczyną?
- Z kobietą. I spałem z nią. – Zatrząskuje drzwi.

Rozdział 30

Max zawsze wiedział, co – i kiedy – powiedzieć, żeby najbardziej zaboląło. I zaboląło, ale już po chwili wiedziałam dlaczego. Nie dlatego, że obchodzi mnie, że spał z inną. Dlatego że już nie wierzę, że kiedykolwiek go kochałam. Widziałam go przez naiwne różowe okulary. Jak mogłam nie dostrzegać w nim tej mściwości? Jak mogłam zaangażować się w związek z kimś, kogo instynktowną reakcją są gniew i okrucieństwo?

Przeprosiłam. Zareagował po swoimemu. Poszłam do niego po rozgrzeszenie i je dostałam.

I dobrze.

Wraz z końcem ferii nadchodzi i koniec mojego szlabanu. Zaczyna się szkoła. Dziwi mnie, gdy kilka osób z klasy, których wcale dobrze nie znam, podchodzi do mnie pierwszego dnia i mówi, że cieszą się, że ubieram się jak ja, jak dawniej.

Dzięki temu czuję się... doceniona.

Nawet Lindsey prostuje się dumnie wśród Charliego i jego kumpli, którzy dosiedli się do nas w kafeterii, widząc, że znowu nabrałam kolorów. Fajnie jest znaleźć się wśród ludzi. Najgorsze jest czekanie na weekend. Brakuje mi nadziei, że zobaczę Cricketa lada chwila. Widok z mojego okna jest nudny, gdy nie ma go po drugiej stronie.

Piątek to najdłuższy dzień w historii. Tępym wzrokiem wpatruję się w zegar, doprowadzając Lindsey do szału.

– Cierpliwości, Ned – mruczy.

Mój telefon ożywa wraz z ostatnim dzwonkiem. Esemes od Nagiej Tygrysicy:

„W ten weekend nie przyjadę. Nagły projekt. I to w pierwszym tygodniu! Pech!”

Świat wali mi się na głowę. A potem dostaję drugą wiadomość.

„Tęsknię”.

I trzecią:

„Mam nadzieję, że teraz mogę to powiedzieć”.

Czuję, jak moje serce fika salto, gdy odpisuję:

„Ja też tęsknię. W ten weekend jeszcze bardziej”.

Cyknie świerszczy i dźwięk dzwoneczków.

Wymieniamy esemesy przez całą drogę do domu. Unoszę się na różowym obłoczku szczęścia. Kończę, żeby zajął się pracą, protestuje, śle kolejne wiadomości, a ja cieszę się coraz bardziej. Piszę przez całą noc – o koszmarnych kumplach jego współlokatora Dustina, o tym, że jest głodny, że nie może odczytać własnych notatek. A ja – o tym, że Norah się pakuje, że Andy wymyślił nowe ciasto sezonowe z mandarynkami, o tym, że przez roztargnienie zostawiłam w szkole podręcznik do matematyki.

Rano rodzice nie wierzą własnym oczom, gdy budzę się wcześniej i schodzę do kuchni, gdy jedzą śniadanie. Andy zerka w kalendarz.

– Myślałam, że zaczynasz pracę dopiero o czwartej.

– Chciałabym pojechać do Berkeley. Tylko na chwilę, przed pracą.

Rodzice wymieniają niespokojne spojrzenia. Za moimi plecami staje Norah.

– Na miłość boską, pozwólcie jej. I tak to zrobi.

I pozwalają. Mam się meldować co godzina. W porządku. Już jestem w drzwiach, gdy pod wpływem impulsem cofam się po coś do komódki. Wsuwam ten drobiazg do torebki.

Po drodze wstępuję do restauracji państwa Lim i Lindsey szykuje mi na wynos wałówkę – która roztacza smakowite zapachy na cały wagon, a właściwie dwa, bo muszę się przesiąść. O rany. Tym razem postanawiam być dzielna i zadzwonić, kiedy będę przy furcie, ale akurat ktoś wychodzi, więc nie muszę. Z łatwością pokonuję dziedziniec i kolejne drzwi.

A potem stoję pod jego drzwiami.

Już unoszę rękę, żeby zapukać, gdy słyszę kobiecy śmiech. Ręka mi drży. Jessica? Znowu?

Drzwi się otwierają i widzę... Annę.

– Czółem, gwiazdka kowbojko! – Od razu zauważa srebrzyste frędzle na sukience i czerwone kowbojki na nogach. Przez jedną koszmarną chwilę dopada mnie podejrzliwość, ale potem drzwi odchylają się i widzę St. Claira. No jasne. Siedzą z Cricketem na łóżku. A potem Cricket Bell dostrzega mnie i atmosfera się rozluźnia.

Promienieję.

– Cześć! – Zrywa się na równe nogi. – Cześć! – powtarza.

– Bałam się, że nic dzisiaj nie zjesz. – Podnoszę torbę z jedzeniem i widzę na podłodze puste opakowania po chińszczyźnie. – Och.

Anna uśmiecha się szeroko.

– Nie martw się, zje też to, co przyniosłaś.

– Ma wielki żołądek – dodaje St. Clair.

– A ty taki malutki – rzuca Anna. Kopie ją lekko. Odpowiada tym samym. Są jak

beztroskie szczeniaki.

Cricket wyciąga do mnie rękę.

– Wchodź, rozgość się.

Rozglądam się. W pokoju nie ma ani skrawka wolnej przestrzeni.

– Och, chwileczkę. – Jednym ruchem zgarnia z łóżka stertę notatek. – Proszę, siadaj.

– Na nas już czas – mówi Anna. – Wpadliśmy tylko po to, żeby nakarmić Cricketa i podpytać o olimpiadę. Wiesz, że w tym roku jest we Francji? – Wzdycha. – Oddałabym wszystko, żeby tam być.

Jej chłopak obgryza paznokcie na małym palcu.

– A ja usiłuję ją przekonać, że jeśli Calliope dostanie się do reprezentacji, powinniśmy uznać to za znak od losu i tam pojechać.

Uśmiecham się do niej.

– Fajnie macie.

St. Clair odwraca się do Cricketa i grozi mu palcem.

– Masz dopilnować, żeby twoja siostra zakwalifikowała się na olimpiadę, jasne?

Serce podchodzi mi do gardła. Przyszły weekend. Kolejne dni bez niego.

– Musi stanąć na podium – mówi Cricket. – Ale jeśli będzie trzeba, rozwalę kolano jej rywalce.

Anna szturcha St. Claira w ramię.

– No, chodź. Miałeś mi coś pokazać.

– Co?

Patrzy na niego znacząco. Odwzajemnia spojrzenie. Anna gestem wskazuje Cricketa i mnie.

– Ach, tak. – St. Clair wstaje. – To.

Wychodzą szybko. Drzwi zamykają się, St. Clair woła:

– Lola, Cricket też chce ci coś pokazać, ha, ha, ha! – Ich śmiech i ich kroki cichną w dali korytarza.

Cricket pospiesznie odwraca głowę i wstawia pudełko z jedzeniem do mikrofalówki.

– Dla ciebie mam coś mięsistego – zapewniam, bo wstawił danie wegetariańskie.

Wzrusza ramionami z uśmiechem.

– Wiem, widziałem.

Też się uśmiecham i siadam na skraju posłania.

– Więc co, wy we trójkę pojedziecie do Francji, a ja tu zostanę? I to ma być sprawiedliwość? – marudzę pół żartem, pół serio.

– Jedź z nami.

– Jasne, moi rodzice już się zgodzą. – Prycham pod nosem.

Cricket myśli intensywnie.

– No wiesz, Andy uwielbia łyżwiarstwo figurowe. Gdybyś miała darmowy bilet, może dałby się namówić.

– A skąd wezmę darmowy bilet?

Siada koło mnie.

– To już zostaw prapraprapradziadowi Aleksandrowi Bellowi, najbogatszemu oszustowi świata.

Poważnieję.

– Nie mogłabym tego przyjąć.

Trąca moją kowbojkę czubkiem swego buta.

– Pomyśl o tym.

Przeszywa mnie dreszcz od tego kontaktu, przez buty. Odpowiadam tym samym. On też. Mikrofalówka się wyłącza. Cricket waha się, nie wie, czy wstać. Wyciągam rękę, łapię go za nadgarstek, za gumki i bransoletki.

– Nie jestem aż taka głodna – mówię.

Patrzy na moją dłoń.

Wsuwam palec pod czerwoną bransoletkę. Muskam skórę po wewnętrznej stronie nadgarstka. Wstrzymuje oddech. Zamyka oczy. Wplatom palec między jego bransoletki. Też zamykam oczy. Opadamy na plecy, złączeni dłońmi, i przez kilkanaście minut leżymy obok siebie.

– Gdzie Dustin? – pytam w końcu.

– Zaraz wróci. Niestety.

Otwieram oczy. Patrzy na mnie. Ciekawe, od jak dawna.

– Nie szkodzi – zapewniam. – Chciałam ci dać zaległy prezent gwiazdkowy.

Pytająco unosi brwi.

Uśmiecham się.

– Nie, nie taki prezent. – Wsuwam palec z jego nadgarstka, przewracam się na bok, sięgam po torebkę leżącą na podłodze i buszuję w niej, aż znajduję drobiazg, który wyjęłam z szuflady w komodzie. – Właściwie to taki zaległy prezent urodzinowy.

– Jak... jak bardzo zaległy?

Odwracam się do niego.

– Daj rękę.

Robi to z uśmiechem.

– Pewnie już tego nie pamiętasz, ale dawno, dawno temu było ci to potrzebne. – Kładę mu w dłoni mikroskopijny klucz francuski. – Szukałyśmy go z Lindsey wszędzie,

a potem... nie mogłam ci go dać.

Poważnieje.

– Lola.

Zamykam jego dłoń na prezencie.

– Wyrzuciłam kapsel od ciebie, bo serce mi pękało, ilekroć na niego patrzyłam. Ale tego nie mogłam. Czekałam dwa i pół roku, żeby ci to dać.

– Nie wiem, co powiedzieć – szepcze.

– Już prawie skończyłam – dodaję. – Dziękuję, że ty też na mnie czekałeś.

Rozdział 31

W następną sobotę wczesnym rankiem rozlega się dzwonek do drzwi. Budzi mnie, ale zaraz znowu zasypiam i dziwię się, gdy po chwili ktoś szarpie mnie za ramię.

– Musisz zejść na dół – mówi Andy. – Natychmiast.

Podnoszę się gwałtownie.

– Norah? Znowu ją wyrzucili? Już?

– Calliope. Nagła sprawa.

Zrywam się z łóżka. Nagła sprawa z Calliope oznacza tylko jedno – Cricket. Wymienialiśmy esemesy, więc wiedziałam, że miał przyjechać do domu, zanim wyjadą na mistrzostwa kraju. Ale wczoraj w jego pokoju było ciemno i nie wiedziałam, czy jest w domu. A jeśli coś się stało po drodze?

– O Boże, Boże, Boże, Boże. – Wkładam kimono i biegnę na dół. Calliope nerwowo przechadza się po naszym saloniku. Zazwyczaj starannie uczesana, dzisiaj jest rozczochrana, zapuchnięta, zapłakana.

– Co z nim? Co się stało? Gdzie jest?

Zatrzymuje się. Przekrzywia głowę, zbita z tropu.

– Ale kto?

– Cricket!

– Nie. – Przytomnieje na moment. – Nie chodzi o Cricketa, tylko o mnie. O... to. – Drżącymi rękami podaje mi brązową papierową torbę.

Tak bardzo się cieszę, że to nie on, i tak bardzo jestem przerażona faktem, że w ogóle o tym pomyślałam, że biorę od niej paczkę nieco za szorstko. Zaglądam do środka. Pełno w niej strzępków czerwonego tiulu.

I nagle rozumiem. Głośno nabieram tchu.

– To twój kostium!

Calliope zalewa się łzami.

– Na program dowolny.

Przeglądam mieniające się strzępy.

– Co się stało?

– Abby. Można by pomyśleć, że to pies, nie dziecko. Mama zeszła na śniadanie i zobaczyła ją, jak się bawi... tym. Wieczorem zostawiłam kostium na dole, do prania. Nie przyszło mi do głowy, że go porwie. – Calliope panikuje coraz bardziej. – Nie miałam pojęcia, że ma tyle siły. A jutro wyjeżdżamy! A moja krawcowa jest poza

miastem! Wiem, że mnie nie znosisz, ale jesteś moją ostatnią nadzieją. Naprawisz to?

Choć pochlebia mi, że jestem jej ostatnią nadzieją, tu nie ma na co liczyć.

– Przykro mi – mówię. – Ale tego nie da się uratować. Nie ma szans.

– Musisz coś z tym zrobić! Dasz radę!

Biorę w dłonie garść strzępów.

– Zobacz, są tak małe, że nawet nosa w nie nie wytrzesz. Nawet gdybym je zszyła – choć to niemożliwe – kostium będzie wyglądał koszmarnie. Nie wystartujesz w nim.

– A nie możesz wystartować w jednym ze starych kostiumów? – wtrąca się Nathan.

Andy jest oburzony.

– O nie!

– Niby dlaczego? – dziwi się Nathan. – Nie kostium wygrywa zawody.

Calliope wzdryga się, a ja przypominam sobie jej klątwę drugiego miejsca. Pewnie i bez tej sytuacji ze strojem jest kłębkiem nerwów, a teraz jeszcze i to. Szkoda mi jej.

– Nie – mówi ledwie słyszalnym głosem. – Nie mogę. – Odwraca się do mnie całym ciałem. To dziwnie znajomy gest. – Proszę cię.

Jestem bezradna.

– Musiałabym uszyć ci nowy. Nie ma...

– A mogłabyś? – pyta desperacko.

– Nie – odpowiadam. – Mamy za mało czasu.

– Błagam! Błagam cię, Lola!

Sama już nie wiem, co robić. Chciałabym, żeby uznała, że jestem dobra, że nie jestem nikim, że zasługuję na jej brata.

– Dobrze... Dobrze... – mruczę. Czuję na sobie wzrok wszystkich, gdy gapię się na strzępy materiału. Szkoda, że są takie małe. Abby porwała je tak dokładnie, że nie sposób złożyć z nich kostiumu.

I nagle wpadam na pomysł.

– Jeśli chodzi o te stare kostiumy...

Calliope jęczy.

– Nie, nie – ciągnę. – Ile ich masz?

Kolejny znajomy gest, rozchylone usta i mars na czole. Twarz trudnego równania.

– Nie wiem. Dużo. Co najmniej tuzin.

– Przynieś je.

– Nie pasują mi! Nie mogę w nich wystąpić, nie...

– Nie będziesz musiała – zapewniam. – Uszyjemy z nich nowy strój.

Znowu jest na granicy hysterii.

– Jezu, chcesz zrobić ze mnie Frankensteina?

Teraz, gdy mam plan, odzyskuję spokój.

– Nie Frankensteina. Królową odzysku.

Wraca pięć minut później z Cricketem. Niosą naręcza kostiumów mieniących się cekinami i kryształkami. Cricket ma rozczochrane włosy. Na jego nadgarstkach nie ma bransoletek. Wydają się nagie. Patrzymy sobie w oczy. Jego myśli są równie widoczne jak skóra: jest mi wdzięczny za pomoc siostrze. Wyczuwam też pragnienie.

To samo, które i ja czuję.

Idziemy na piętro, do mego pokoju. Cricket waha się, nie wie, czy mu wolno. Andy klepie go po plecach. Oddycham z ulgą.

– Na pewno coś tu znajdziemy – mówię do Calliope.

Cały czas jest spięta.

– Nie mieści mi się w głowie, że moja cholerna bratanica zrobiła mi coś takiego.

Zaciskam usta, ale na jej miejscu powiedziałabym to samo.

– Rozłóż te kostiumy, zobaczmy, co tu mamy.

– Ale gdzie mam je rozłożyć?

Niemal tracę panowanie nad sobą, ale patrzę na podłogę i rozumiem, co mam na myśli.

– Och, no tak! – Upycham moje ciuchy i buty po kątach. Andy i Cricket pomagają mi. Nathan czeka w korytarzu, czujnie obserwując rozwój sytuacji, Cricketa i mnie. Kiedy na podłodze jest już dość miejsca, rozkładamy kostiumy.

Wszyscy przyglądają się im w napięciu. To denerwujące.

– Do czego jedziesz? – pyta Andy.

Wszystkie głowy odwracają się w jego stronę.

– No co? – Wzrusza ramionami. – Musimy wiedzieć, jaki ma akompaniament, zanim Lola wymyśli odpowiedni kostium. Co to jest?

Nathan mruga szybko.

Uśmiecham się.

– Fakt. Jaką masz muzykę, Calliope?

– Składankę z *Romeo i Julii* z 1968 roku.

– Nie mam pojęcia, co to jest. – Zerkam na komputer. – Możesz to ściągnąć?

– Mogę coś lepszego. – Siada na moim krześle i wpisuje swoje nazwisko w wyszukiwarce. Jeden z pierwszych wyników to filmowy zapis jej ostatniego występu. – Zobaczcie.

Stajemy dokoła. Muzyka jest smutna i romantyczna, nabrzmiała napięciem, dramatyczna, przechodzi w smutek, kończy się potężnym, oczyszczającym finałem. Piękna. I Calliope jest piękna. Od dawna nie widziałam jej na łyżwach i nie miałam

pojęcia, jaka jest dobra. Albo o tym zapomniałam.

Albo zmusiłam się, by zapomnieć.

Porusza się z pasją, wdziękiem i pewnością siebie. Jest prima baleriną. I nie chodzi tylko o to, jak porusza się na łyżwach – ale też o wyraz jej twarzy, o ruchy ramion, rąk, dłoni, palców. Odgrywa każdą emocję w muzyce. Czuje każdą emocję w muzyce. Nic dziwnego, że Cricket w nią wierzy. Nic dziwnego, że poświęcił tak wiele w imię jej sukcesu. Calliope jest wyjątkowa.

Nagranie dobiega końca. Wszyscy milczą. Nawet Nathan jest pod wrażeniem. A ja całą sobą czuję obecność Calliope, jej urody i siły, w moim pokoju.

I nagle... czuję obecność kogoś jeszcze.

Cricket stoi za mną. Delikatne muśnięcie palcem na moim kimonie. Zamykam oczy. Wiem, co czuje, rozumiem tę potrzebę kontaktu. Moi rodzice gratulują Calliope, a ja przesuвам dłoń za plecy. Cricket jest zaskoczony, gdy biorę go za rękę i przesuвам palcem po wrażliwej skórze wnętrza dłoni. Tylko raz.

Nie wydaje najmniejszego dźwięku. I jest nieruchomy, całkowicie nieruchomy.

Puszczam go i nagle moja dłoń znika w jego. Powtarza mój ruch. Jeden palec powoli sunie wnętrzem mojej dłoni.

Nie wytrzymuję. Głośno nabieram tchu.

W tej samej chwili do mego pokoju wpada pani Bell i na szczęście to ona, a nie ja, przyciąga uwagę wszystkich. Poza Cricketem. Czuję na sobie jego wzrok.

– Jak sytuacja? – pyta pani Bell.

Calliope wzdycha.

– Dopiero zaczynamy.

Podbiegam do niej, starając się opędzić od najbardziej niestosownych myśli, które mogą mi chodzić po głowie w obecności trójki z czworga rodziców.

– Dzień dobry – mówię. – Jak się pani miewa?

Zakłada ciemne włosy za ucho i wdaje się w ożywioną dyskusję z Calliope. Jakbym w ogóle nie istniała. Wstyd mi, że to takie przykre. Chciałabym, żeby mnie polubiła. Cricket odzywa się po raz pierwszy, odkąd wszedł do domu:

– Mamo, nie uważasz, że to super, że Lola nam pomaga? – Odruchowo szuka na nadgarstku gumek, których tam nie ma.

Pani Bell podnosi głowę, zaskoczona jego słowami, i mierzy mnie surowym wzrokiem. Przy mnie czuje się nieswojo. Wie, co czuję do jej syna, a może co on czuje do mnie, a może i jedno, i drugie. Wolałabym być lepiej ubrana. Dopiero co zerwałam się z łóżka i czuję się okropnie.

Nie tak chciałam się jej zaprezentować.

Pani Bell kiwa głową.

– Bardzo. Dziękuję. – I ponownie koncentruje się na Calliope.

Cricket zerka na mnie zawstydzony, ale uśmiecham się do niego z otuchą. Fakt, musimy popracować nad rodzicami, ale damy radę. Odwracam się w poszukiwaniu szkicownika i wtedy widzę, jak Nathan i Andy wymieniają znaczące spojrzenie. Nie do końca wiem, co ma znaczyć, ale być może widzę w ich oczach coś na kształt wyrzutów sumienia.

Czuję przypływ nadziei. I siły.

Biorę się do pracy i nagle wybucha piekło. Każdy ma swoje zdanie, a pani Bell jest jeszcze bardziej uparta niż jej córka. Przez kolejne pół godziny dokoła mnie toczą się kłótnie, ludzie depczą po materiałach, drą cienki tiul. Chcę zmierzyć Calliope, gdy Andy trąca mnie i boleśnie uderzam się o kant biurka.

– Wynocha! – krzyczę. – Wszyscy wynocha!

Nieruchomieją.

– Mówię poważnie, wszyscy poza Calliope. W takich warunkach nie mogę pracować.

– Idźcie – mówi Calliope – i wychodzą posłusznie. Tylko Cricket zostaje. Uśmiecham się do niego zalotnie.

– Ty też.

Odpowiada oszołomionym uśmiechem.

Nathan chrząka w progu.

– Technicznie rzecz biorąc, nie wolno ci nawet wchodzić do pokoju mojej córki.

– Bardzo przepraszam. – Cricket wsuwa rękę w kieszenie. – Wołajcie, gdybyście czegoś potrzebowały. – Zerka na Calliope i wraca spojrzeniem do mnie. – Obie.

Wychodzi, a ja uśmiecham się od ucha do ucha i ponownie zabieram się do mierzenia Calliope. Bierze z toaletki moją zalotkę do rzęs i bawi się nią nerwowo.

– Dlaczego nie wolno mu wchodzić do twojego pokoju?

– Och. Bo... nie wolno mi tu przyjmować chłopców.

– Litości. Nathan was na czymś przyłapał? Nie, fuj, nie chcę wiedzieć.

Odrobinę za mocno ściskam ją centymetrem.

– Au!

Nie przepraszam. W milczeniu kończę pracę. Calliope chrząka, gdy zapisuję jej wymiary.

– Przepraszam – mówi. – Bardzo ci dziękuję, że mi pomagasz. Wiem, że na to nie zasłużyłam.

Nieruchomieję w trakcie pisania.

Odkłada moją zalotkę do rzęs.

– Miałaś rację. Myślałam, że wie, ale nie.

Zbiła mnie z tropu.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że jest dla nas ważny. – Splata ręce na piersi. – Kiedy dostał się do Berkeley, zdecydowaliśmy, że wrócę do starego trenera. Chciałam być tutaj, żeby być blisko niego. Rodzice też.

Wygłąda na to, że chce powiedzieć coś jeszcze, więc czekam. Opada na krzesło przy biurku.

– Posłuchaj, to żadna tajemnica, że strasznie komplikuję życie mojej rodzinie. Jest mnóstwo rzeczy, których Cricket nie doświadczył, z których musiał zrezygnować – przeze mnie. Ja też, i bardzo mi się to nie podoba, ale to zawsze był mój wybór, nie jego. Znosił to wszystko z takim... entuzjazmem i uśmiechem. Nie dalibyśmy sobie rady, gdyby Cricket nie dokonywał najtrudniejszego – dzięki niemu byliśmy szczęśliwi. – Patrzy mi w oczy. – Chciałam, żebyś wiedziała, że czuję się okropnie na myśl o tym, co mu zrobiłam.

– Calliope... Cricket... On tak nie uważa. Wiesz o tym.

– Jesteś tego pewna? – Łamie jej się głos. – Skąd?

– Tak, jestem pewna. Kocha cię. I jest z ciebie dumny.

Milczy przez dłuższą chwilę. Serce się kroi, gdy widzisz, jak ktoś tak silny usiłuje wziąć się w garść.

– Powinniśmy częściej mu mówić, jaki jest wspaniały.

– Bo jest. I owszem, powinniście.

– On też uważa, że jesteś wspaniała. Zawsze tak myślał. – Znowu patrzy mi w oczy.

– Przepraszam, że miałam ci to za złe.

Jestem w takim szoku, że nie wiem, co odpowiedzieć.

Kładzie dłoń na kostiumie.

– Powiedz mi tylko jedno. On nigdy o tobie nie zapomniał. A ty o nim?

Z trudem przełykam ślinę.

– Niektórych ludzi nie sposób zapomnieć.

– Dobrze. – Wstaje, uśmiecha się ponuro. – Ale jeśli złamiesz mu serce... obedrę cię ze skóry.

Pracujemy razem przez pół godziny, wybieramy poszczególne kostiumy, przerzucamy się pomysłami. Calliope wie, czego chce, ale z przyjemnością stwierdzam, że szanuje

moje zdanie. W końcu decydujemy się na czerń – wykorzystam tylko czarne stroje, resztę ma zabrać do domu.

– A gdzie twoja suknia? – pyta nagle.

Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Jaka suknia?

– A la Maria Antonina. Widziałam segregator.

– Co?

– Podczas którychś zawodów Cricket wszędzie go ze sobą taszczył, niemal tulił do piersi. Oczywiście drwiłam z niego bezlitośnie, ale... to było interesujące. Włożyłaś w ten projekt mnóstwo pracy. Mówi, że w suknię też. – Rozgląda się po pokoju. – Nie sądziłam, że taki gigant można ukryć, ale najwyraźniej jednak tak.

– Och nie, nie ma jej tutaj. Dałam sobie z nią spokój. Nie idę na bal.

– Co? Dlaczego? Poświęciłaś jej pół roku.

– No tak, ale... to głupi pomysł. No wiesz, iść sama?

Patrzy na mnie jak na idiotkę.

– Idź z moim bratem.

Jestem zachwycona jej propozycją – jej zgodą – ale i o tym już myślałam.

– Bal jest za tydzień. Nadal będzie na drugim końcu kraju, na mistrzostwach.

Mistrzostwa kraju to pełny tydzień. Treningi, wywiady, dwa programy i pokaz galowy, jeśli Calliope zajmie miejsce na podium. A Cricket będzie z nią przez cały czas, żeby dodawać jej wsparcia.

– Och – mówi.

– Zresztą to naprawdę głupi pomysł. – Wpatruję się w szkice jej kostiumu, bawię się kosmykiem włosów. – No wiesz, wielki bal, wielka suknia. I po co?

– Lola – tłumaczy mi jak dziecku. – Nie ma nic głupiego w tym, że chcesz iść na bal, włożyć piękną suknię i przez jedną noc być księżniczką. A do tego nie potrzebujesz partnera.

Milczę.

Kręci głową.

– Jeśli nie pójdziesz, będziesz głupia. I chyba jednak nie zasługujesz na mojego brata.

Rozdział 32

Przez cały dzień pracuję nad kostiumem Calliope – pruję, zszywam, dodaję drobiazgi z moich zapasów i przerywam tylko na krótką przerwę przy oknie, koło północy. Cricket do mnie dołącza. Wychyla się, opiera łokcie na parapecie. W tej pozycji wygląda jak jakiś owad z tymi swoimi długimi kończynami. Słodko. Bardzo słodko.

– Dzięki, że pomagasz mojej siostrze – mówi.

Pochyliam się, przyjmuję tę samą pozycję, co on.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiadam.

Calliope wygląda ze swego pokoju.

– Nie flirtuj, tylko bierz się do roboty!

Tyle, jeśli chodzi o chwilę odpoczynku.

– Ej, Cal! – woła Cricket, a kiedy jego siostra się wychyla, zdejmuję zieloną gumkę z przegubu i strzela w nią. Trafia ją w nos i gumka spada na ziemię.

– Bardzo dojrzałe – prycha i zatrzaskuje okno.

Cricket uśmiecha się do mnie.

– Nigdy mi się to nie znudzi.

– Wiedziałam, że po coś je nosisz.

– Która ci się podoba?

Uśmiecham się.

– Niebieska, ale nie celuj w twarz, bardzo proszę.

– Nie śmiałybym. – I strzela w ciemność za moimi plecami.

Gumka upada na dywaniku. Zakładam ją na przegub.

– Masz zwinne palce – stwierdzam i patrzę znacząco. Nie gumki mam na myśli.

Łokieć zsuwa mu się z parapetu.

– Dobranoc, Cricket. – Z uśmiechem zamykam okno.

– Dobranoc, Lola – odpowiada.

Gumka jest ciągle ciepła od jego skóry. Pracuję do rana, kończę, gdy księżyc zachodzi. Osuwam się na łóżko, zasypiam, zaciskając dłoń na niebieskiej gumce. Śnią mi się niebieskie oczy, niebieskie paznokcie i pierwszy pocałunek w usta przysypane niebieskim lukrem.

– Gdzie jest?

– Hm? – Budzę się i wita mnie przerażający widok Calliope i jej mamy przy moim łóżku. Muszą przestać mi to robić.

– Skończyłaś? Gdzie jest? – dopytuje Calliope.

Zerkam na zegarek. Spałam dwie godziny. Zwlekam się z łóżka.

– W szafie – sapię, człapiąc w tamtą stronę. – Musiałam powiesić.

Pani Bell ubiega mnie w drodze do szafy. Otwiera drzwi i sapię głośno.

– Co? Co jest? – denerwuje się Calliope.

Pani Bell wyjmuje kostium i pokazuje córce.

– Lola, jest wspaniały.

Calliope ściąga go z wieszaka i rozbiera się tak, jak potrafią to tylko piękne, wysportowane dziewczyny – przy świadkach, bez cienia skrępowania. Speszona, odwracam wzrok.

– Och – mówi.

Patrzę na nią. Stoi przed wielkim lustrem. Czarny kostium ma długie, wąskie, cieniutkie rękawy, delikatne, połyskliwe, uwodzicielskie, które zarazem przypominają długie rękawiczki bez palców, bo kończą się u szczytu ramion, odsłaniając skrawek gołej skóry. Spódniczka jest taka sama, góra kończy się wiązaniem na szyi. Dodałam dodatkową warstwę poniżej. Cały kostium jest wielowarstwowy, błyszczący i seksowny.

Efekt końcowy jest... romantyczny i śmiały zarazem.

Calliope nie może wyjść z podziwu.

– Bałam się, że uszyczesz mi coś szalonego, coś w twoim stylu. A to... To jestem ja. Moja muzyka, mój układ.

Puszczam obelgę mimo uszu i promienieję.

– Lepszy niż oryginalny – orzeka pani Bell.

– Naprawdę? – podpytuję.

– Tak – odpowiadają i matka, i córka.

Wstaję z podłogi, oglądam moje dzieło.

– Przyda się jeszcze kilka poprawek, tu i tu – wskazuję za luźne miejsca – ale... Tak, powinno być dobrze.

Pani Bell uśmiecha się ciepło. Kamień spadł jej z serca.

– Lola, masz talent. Dziękujemy.

Lubi mnie! A przynajmniej to, że umiem szyć. To mi wystarczy.

Na razie.

Rozlega się pukanie do drzwi i wchodzi moi rodzice. Wydają okrzyki zachwytu, a Calliope i ja puchniemy z dumy. Zaznaczam miejsca, które muszą zwęzić. Zajmie mi to

godzinę. I tylko tyle mam, bo właśnie za godzinę jadą na lotnisko. Wyrzucam wszystkich z pokoju. Szyjąc, co chwila zerkam w okno Cricketa. Nie ma go. Modlę się do niewidocznego księżycy, żeby mogła go jeszcze zobaczyć przed wyjazdem.

Sześćdziesiąt pięć minut później wpadam na podjazd Bellów. Calliope i jej rodzice pakują ostatnie walizki. Aleck stoi na ganku z Abby na rękach. Jest chyba równie niewyspany jak ja, ale proponuje żartobliwie, żeby Abby pottrzymała nowy strój.

Calliope nie uważa, żeby to było śmieszne.

Aleck i Abby zostają, pozostali jadą. Mają nadzieję, że z konieczności weźmie się w garść, ale planujemy z Andym dyskretnie mieć na niego oko. Tak na wszelki wypadek. Już mam zapytać o Cricketa, gdy wybiega z domu.

– Jestem, jestem! – Zatrzymuje się kilka centymetrów ode mnie, gdy w końcu zauważa, że tam jestem.

Podnoszę głowę, aż patrzę mu w oczy.

– Wsiadaj! – woła Calliope. – Jedziemy!

– Nadal masz tę gumkę – mówi Cricket.

– Nadal mam na sobie te same ciuchy, w których mnie ostatnio widziałeś. – I zaraz najchętniej ugryzłabym się w język, bo przecież nie chcę, żeby pomyślał, że zapomniałam, że ją mam. Doskonale wiem, że noszę ją na ręce.

– Cricket! – Tym razem to pan Bell.

Mam mu tysiąc rzeczy do powiedzenia, ale zdaję sobie sprawę, że obserwuje nas cała jego rodzina. On też.

– Więc... do zobaczenia za tydzień? – pyta.

– Powodzenia. Dla Calliope. I ciebie. W... we wszystkim.

– Cricket! – Wszyscy w samochodzie.

– Cześć – mówimy jednocześnie. Wsiada już, wtedy Aleck pochyła się i szepcze mi coś na ucho. Cricket patrzy na mnie i rumieni się po uszy. Aleck śmieje się głośno. Cricket zatrzaskuje drzwi i pan Bell wciska pedał gazu. Macham. Cricket macha mi na pożegnanie, póki nie znikną za zakrętem.

– No proszę. – Aleck odsuwa się od zaborczych łapek Abby. – Ty i mój braciszek, co?

Czuję, że policzki mi płoną.

– Co mu powiedziałaś?

– Że cała jesteś w ogniu i że powinien wziąć się w garść i zrobić pierwszy krok.

– Nie!

– Ależ tak. A jeśli nie on, to ty. Jakbyś się jeszcze nie zorientowała, mój brat jest palantem, jeśli chodzi o te sprawy.

Cricket zostawił mi nową wiadomość w oknie – jak zwykle użył czarnego mazaka, ale moje imię to kolorowa kopia z szyldu na ulicy Dolores.

Czytam: „Dolores, idź na bal”.

Idę na bal.

Słyszałam o Calliope – zaczyna Norah w piątkowy wieczór. – Szóste miejsce?

– Tak. – Wzdycham głośno. – W wywiadzie po występie była spokojna i skupiona, bardzo profesjonalna. – Oczywiście, że to zawód, powiedziała, ale cieszę się, że mam jeszcze jedną szansę.

– Co za pech. – Znowu Norah.

– Jeszcze nie wszystko stracone – rzuca ostro. – Nadal ma szansę.

Norah spogląda na mnie z ukosa.

– Myślisz, że tego nie wiem? Nigdy nie jest za późno.

Moja rodzina, Lindsey i ja siedzimy w saloniku przy telewizorze. Wszyscy pracują nad moją suknią. Zostało już tylko kilka drobiazgów, jestem im wdzięczna za pomoc. Czekamy na program dowolny Calliope.

Program krótki pojechała dwa dni temu. Koniec był już na początku, gdy kamerzysta uchwycił wyraz jej twarzy. Wyczytaliśmy to z jej oczu, z uśmiechu. Strach. Od pierwszych taktów było wiadomo, że coś jest nie tak.

Wszystko stało się bardzo szybko.

Najtrudniejsze kombinacje są na początku jej układu – zazwyczaj tak jest, żeby zawodnik miał dość sił na ich wykonanie. Komentatorzy martwili się jej potrójnym skokiem, który na treningu ciągle się nie udawał.

Tym razem go wylądowała, za to upadła przy kombinacji.

Wyraz jej twarzy – tylko przez moment, bo zaraz wzięła się w garść – był przerażający. Komentatorzy cmokali ze współczuciem, gdy dzielnie jechała na drugi koniec lodowiska, ale w naszym salonie panowała cisza. Cały sezon treningów na nic.

I wtedy upadła po raz drugi.

– Nie chodzi tylko o talent, ale też o nerwy – tłumaczył komentator. – Calliope nie jest w stanie sprostać oczekiwaniom, i to ją wykańcza.

– Nic tak nie obciąża jak wielki potencjał – dodała komentatorka.

A Calliope jakby ich słyszała, jakby chciała powiedzieć: dość tego. Jej determinacja

rosła z każdym ruchem, z każdym skrętem. Dodatkowy skok i dodatkowe punkty. Kolejne dwa, bezbłędnie. Nadal ma szansę na olimpiadę, ale dzisiaj nie może popełnić żadnego błędu.

– Nie mogę na to patrzeć. – Andy odkłada skraj sukni. – A jeśli nie załapie się na podium? W kostiumie naszej Loli?

Ta sama myśl i mnie nie daje spokoju, ale nie chcę jeszcze bardziej denerwować Andy'ego, więc obejmuję go serdecznie.

– To nie będzie moja wina. Ja tylko uszyłam kostium, to ona w nim występuje.

Nikt nie zawraca sobie głowy moją suknią, gdy na ekranie pojawia się jej trener, Petro Petrov, starszy pan o pomarszczonej twarzy i siwej czuprynie. Rozmawia z Calliope na skraju tafl. Calliope raz po raz kiwa głową. Nie widać jej twarzy, za to jej kostium... wygląda super.

Jestem w telewizji! No, powiedzmy.

– Uszyłaś go w jeden dzień? – upewnia się Norah.

Nathan ściska mnie za ramię.

– Rewelacja. Jestem z ciebie bardzo dumny.

Lindsey uśmiecha się szeroko.

– Może jednak powinnaś była uszyć mi sukienkę.

Kilka dni temu wybrałyśmy się po jej kreację na bal. Oczywiście to ja ją wybrałam. Jest prosta, pięknie podkreśla jej drobną figurę – i czerwona. W tym samym odcieniu co jej trampki. Wymyślili z Charliem, że pójdą w identycznych butach.

– Idziesz na ten bal? – dziwi się Norah. – Wydawało mi się, że się z nikim nie umawiasz.

– Bo nie – tłumaczy Lindsey. – Charlie to tylko przyjaciel.

– Bardzo przystojny – dodaję. – Z którym spotka się regularnie.

Uśmiecha się.

– Dajemy sobie czas. Najważniejsza jest nauka.

Komentatorzy przypominają sportową karierę Calliope. Narzekają, że zawodniczka z tak wielkim talentem wiecznie ulega nerwom. Krytykują ją za ciągłe zmiany trenerów, kwestionują jej wieczne dążenie do perfekcji. Buczymy gniewnie. Znowu robi mi się jej żal, współczuję jej życia pod ciągłym ostrzałem krytyki. Ale i podziwiam ją za wytrwałość, za upór. Nic dziwnego, że jest taka twarda.

Czekam, aż kamery pokażą jej bliskich. Podczas krótkiego programu nie zrobili tego ani razu. A przecież brat bliźniak to taka... ciekawostka! Dzwoniłam wczoraj, bo on chyba jeszcze nie zdobył się na odwagę. Oczywiście był bardzo przejęty, ale udało mi się go rozweselić. A potem to on mówił, żebym na dzisiaj zaprosiła Norah.

– Jest częścią rodziny – tłumaczył. – Musisz ją wspierać. Człowiek stara się bardziej, kiedy wie, że komuś na nim zależy.

– Od kiedy to jesteś taki mądry, Crickecie Bell? – Uśmiecham się do słuchawki.

Znowu się śmieje.

– To skutek wielu godzin rodzinnych obserwacji.

Kamerzysta jakby mnie słyszał... Jest. To on! Cricket w szarej wełnianej marynarce i szaliku w paski luźno owiniętym wokół szyi. Ma włosy przysypane śniegiem i zaróżowione policzki; pewnie przed chwilą przyszedł. Wygląda jak uosobienie zimy. W życiu nie widziałam kogoś tak pięknego.

Kamera wraca do Calliope i muszę ugryźć się w język, by nie krzyknąć, że powinni wrócić do niego. Petro bierze ją za zaciśnięte dłonie, potrząsa nimi lekko i po chwili Calliope wyjeżdża na taflę przy akompaniamencie krzyków tysięcy kibiców. Na widowni kołuszają się transparenty. W naszym saloniku wszyscy wstrzymują oddech, gdy czekamy na zbliżenie jej twarzy.

– I proszę bardzo! – krzyczy komentator. – Calliope Bell nie podda się bez walki!

Widać to w jej oczach, w jej postawie, gdy czeka na pierwsze dźwięki muzyki. Błada cera, czerwone usta, ciemne włosy upięte w kok. Piękna i dzika. Rozlega się muzyka i Calliope płynie z jej lekkością. Jest muzyką. Jest Julią.

– Na początek potrójny lutz i podwójny toeloop – rozlega się głos komentatorki. – W zeszłym roku poległa właśnie na tej kombinacji...

Teraz ląduje czysto.

– Potrójny salchow... Proszę zwrócić uwagę, jak się wychyla, zobaczymy, czy zdoła zakończyć piruet...

Kończy bezbłędnie.

Komentatorzy milkną, zafascynowani. Calliope nie tylko wykonuje skoki; ona je odgrywa. Jej ciało kipi emocjami, intensywnością. Oczami wyobraźni widzę małe dziewczynki w całym kraju, marzące, jak ja kiedyś, by być nią. Fantastyczny piruet, kolejna olśniewająca kombinacja... I oto Calliope podnosi rękę w triumfalnym geście. I już po wszystkim.

Bezbłędny przejazd.

Kamerzysta przesuwa się po rozentuzjasmowanym tłumie. Zbliżenie na jej bliskich. Rodzice ściskają się, śmieją, płaczą. A obok nich jej brat bliźniak o niesfornych włosach wrzeszczy na całe gardło. Serce staje mi w gardle. Kamera ponownie wraca do Calliope, triumfalnie bodącej pięścią powietrze.

Nie! Dawajcie brata!

Komentatorzy śmieją się głośno.

– Wspaniale – zachwyca się mężczyzna. – Ta postawa, ten wdzięk. Jeśli jest w formie, Calliope Bell nie ma sobie równych.

– Owszem, ale czy to starczy po fatalnym krótkim programie?

– Cóż, klątwa nadal działa – przyznaje. – Nie udało jej się pojechać bezbłędnie dwa razy z rzędu, ale co za powrót! Calliope Bell może być z siebie dumna. Najlepszy występ w jej karierze.

Calliope zakłada osłony na ostrza łyżew i przechodzi do miejsca, w którym zawodnicy czekają na wynik. Ludzie rzucają jej kwiaty i pluszowe zwierzaki, ktoś przybija z nią piątkę. Petro obejmuje ją ramieniem. Śmieją się głośno, niecierpliwie czekając na wyniki.

Padają w końcu. Calliope szeroko otwiera oczy ze zdumienia.

Calliope Bell jest druga.

I bardzo ją to cieszy.

Rozdział 33

Wkładam perukę i jestem... prawie zadowolona.

Coś jest nie tak.

Nie chodzi o strój – Maria Antonina byłaby ze mnie dumna. Jasnoniebieska suknia jest dziewczęca, ogromna i niewiarygodna. Spódnice, halki, koronki, wstążki, koraliki i kryształki. Cudowny gorset opina mnie ciasno, w odpowiednich miejscach spłaszcza i uwypukla. Na szyi mam kolbę z cyrkonii, w uszach kolczyki lśniące jak kandelabry. Cała lśnię.

Chodzi o makijaż?

Biały puder, czerwony róż, jasnoczerwony błyszczek. Maria Antonina nie używała tuszu do rzęs, więc tu trochę oszukałam. Podmalowałam trochę długie sztuczne rzęsy. Podnoszę wzrok. Peruka ma prawie pół metra wysokości. Zdobia ją niebieskie wstążki, różowe róże i pióra, i nawet niebieski ptaszek. Cudowna. Istne dzieło sztuki. Włożyłam w nią mnóstwo pracy.

I... Coś jest nie tak.

– Nie widzę siebie – marudzę. – Nie ma tu mnie.

Andy rozwiązuje moje wysokie sznurowane glany, pomoże mi je włożyć. Zatacza łuk ręką.

– O co ci chodzi? Wszędzie wokół widzę tylko siebie.

– Nie. – Przełykam ślinę. – Za dużo Marii Antoniny, za mało Loli.

Andy ściąga brwi.

– Myślałem, że właśnie w tym rzecz.

– Ja też, ale... ginę w tym. Znikam. Jestem jak przebranie na Halloween.

– A to coś nowego?

– Tato! Mówię poważnie! – Czuję, jak panika narasta. – Nie mogę tak iść na ten bal, to za wiele. Zdecydowanie za wiele.

– Hej, musisz tu podejść! – woła Andy do Nathana. – Nasza Lola uczy się nowych słów!

Nathan staje w progu i uśmiecha się na mój widok.

– Nasza córka powiedziała... – Andy dramatycznie zawiesza głos: – Za wiele!

Obaj parskają śmiechem.

– To wcale nie jest śmieszne. – Nagle głęboko nabieram tchu. Gorset niemiłosiernie ściska mi żebra, oddycham z trudem, boleśnie.

– Co jest? – Nathan zaraz jest przy mnie, kładzie mi dłoń na plecach. – Oddychaj, oddychaj!

Wystarczająco denerwowałam się na myśl o balu i reakcjach rówieśników. Co prawda nie będę sama, bo umówiłam się z Lindsey i Charliem, ale tak nie pójdę. Co za obciach. Potrzebna mi Lindsey, ona umiałaby nad tym zapanować. Tylko że teraz jest na imprezie kryminalnej, a założyła się z Charliem o kasę na lunch przez cały miesiąc, że zrobi to przed nim. Bardzo jej na tym zależy.

– Telefon – sapię. – Dajcie mi telefon.

Andy wciska mi go w dłoń. Wybieram numer Cricketa. Przekierowuje mnie od razu do poczty głosowej, i tak już od kilku godzin. Rano dzwonił, żeby się upewnić, że wybieram się na bal, ale od tego czasu nie rozmawialiśmy. Wyobrażam sobie, że nie odbiera, bo jest w samolocie, chce zrobić mi niespodziankę, nieoczekiwanie wkraczając na bal i porywając mnie w ramiona przy pierwszej wolnej piosence, choć tak naprawdę to pewnie wszystko przez pogodę. Dzisiaj jest pokaz galowy, Calliope oczywiście występuje i Cricket musi tam być.

Ale jutro... wróci do domu.

Uspokajam się na tę myśl. A potem dostrzegam w lustrze swoje odbicie i dociera do mnie, że jutro będzie jutro, ale teraz jest dzisiaj.

– No dobrze. – Andy wyjmuję mi telefon z zaciśniętej dłoni. – Jaki jest plan?

– Zaraz wam powiem, jaki jest plan. – Ciągnę za szpilki mocujące perukę na moich włosach. – Demontuję to wszystko. Wystąpię w nowoczesnej wariacji własnych włosów. – Ciskam szpilki na podłogę jak rzutki do tarczy. Rodzice cofają się niespokojnie.

– Brzmi... – zaczyna Nathan.

– Interesująco – dokańcza Andy.

Zrywam perukę z głowy i ciskam na toaletkę.

– Czy na pewno chcesz... – Nathan milknie, widząc, jak wyrywam różowe róże spomiędzy loków. Delikatne płatki rwą się pod moimi palcami. Andy zasłania usta dłonią. Następnie przychodzi kolej na ptaszka.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniam. – Upnę je w moich włosach, zobaczycie. – Zrzucam perukę na podłogę, zerkam w lustro i sapię głośno. Moje włosy są przyklepane i nastroszone zarazem. Na mojej głowie dzieje się wszystko to, co złego może dziać się z włosami.

Andy nieśmiało wyjmuję mi z włosów zapomnianą szpilkę. Sięgam po szczotkę.

– Uważaj! – prosi.

– Przecież uważam! – Szczotka wplątuje mi się we włosy. Wybucham płaczem.

Andy odwraca się do Nathana.

– Do kogo zadzwonimy? Kto z naszych znajomych umie czesać?

– Nie wiem! – Nathan panikuje. – Ten trans, który w zeszłym tygodniu zamówił kilka placków?

– Nie, pewnie dzisiaj pracuje. Luis?

– Nie znosisz Luisa. Może...

– Włożę perukę! Po prostu włożę tę cholerną perukę! – Czuję, jak czarny tusz spływa mi po upudrowanych na biało policzkach. Potykam się, zataczam w tył, zahaczam prawą stopą o perukę. Misterna konstrukcja z drutu zapada się żałośnie.

Rodzice jęczą głośno i ostatnia szansa, bym wkroczyła na bal jako Maria Antonina przepada z kretesem.

Szarpię za gorset, luzuję fiszbiny, oddycham swobodniej.

– To już koniec.

Za oknem słuchać głuchy odgłos. Ktoś wskakuje do pokoju.

– Tylko peruki.

Instynktownie rzucam się w jego stronę, ale suknia jest tak ciężka, że jak długa padam twarzą na podłogę. Suknia układa się wokół mnie jak popsuty akordeon. Nie myślałam, że można umrzeć ze wstydu, ale zdaje się, że zaraz to nastąpi.

– Wszystko w porządku? Jesteś cała i zdrowa? – Cricket osuwa się na kolana. Pomaga mi usiąść. Najchętniej wtuliłabym się w niego, ale odsuwa się zaraz.

– Co... co ty tu...?

– Wróciłem wcześniej z mistrzostw. Wiem, jak ważny jest dla ciebie ten bal, i chciałem zrobić ci niespodziankę. Nie wyobrażałem sobie, że wkraczasz tam sama. Nie, żebym wątpił, że dałabyś radę – zastrzega szybko. Bardzo to miłe z jego strony, zwłaszcza biorąc pod uwagę mój obecny stan. – Po prostu chciałem tam być. Z tobą, w takiej chwili.

Ścieram z policzków rozmazany makijaż.

– Jasne. W takiej chwili.

Nathan i Andy nie wiedzą, co myśleć o takim rozwoju sytuacji. Cricket patrzy na nich ze skruchą.

– Przepraszam, wszedłbym drzwiami, ale bałem się, że nikt mnie nie usłyszy, a okno było otwarte.

– Zawsze byłeś... nieprzewidywalny – mówi Andy.

Cricket uśmiecha się do niego i zaraz znowu koncertuje się na mnie.

– No, dalej, szykuj się na bal.

Odwracam głowę.

– Nie idę.

– Musisz. – Szturcha mnie łokciem. – Wróciłem po to, żeby cię tam zabrać, zapomniałaś już?

Nie mogę spojrzeć mu w oczy.

– Wyglądam idiotycznie.

– Ejże. Nie – zapewnia miękko. – Wyglądasz pięknie.

– Kłamiesz. – Unoszę wzrok, zagryzam wargi, żeby nie drżały. – Mam twarz klauna i włosy czarownicy.

Uśmiecha się.

– Cóż... doprowadzimy cię do porządku – zapewnia.

Chwyta mnie za ramiona i pomaga wstać. Nathan robi krok w naszą stronę, ale Andy kładzie mu dłoń na ramieniu. Obaj patrzą, jak Cricket walczy z moją suknią i pomaga mi dźwignąć się na nogi. Prowadzi mnie do mojej łazienki. Andy i Nathan idą za nami w bezpieczniej odległości. Cricket odkręca kran i przegląda buteleczki i słoiczki w łazience, aż znajduje to, czego szukał.

– Jest!

Płyn do demakijażu.

– Calliope ma taki sam – wyjaśnia. – Zapamiętałem po szczególnie przykrych występach. Z... cóż, z tego samego powodu. – Macha ręką w kierunku mojej twarzy.

– O Boże. – Zerkam w lustro. – Wyglądam, jakby obrzygał mnie kałamarz.

Cricket się uśmiecha.

– Trochę tak. No, dalej, ciepła woda.

Wiercimy się niezdarnie, aż stoję przy umywalce. Cricket zasłania mi przód sukni ręcznikiem. Pochylam się z trudem. Wsuwa mi palce we włosy i trzyma, gdy doprowadzam twarz do porządku. Uspokajam się, czując go przy sobie. Puder, tusz do rzęs, róż – wszystko znika. Wycieram buzię, odnajduję w lustrze jego wzrok. Rumienię się lekko.

Patrzy na mnie z jawnym pożądaniem.

Nathan chrząka znacząco w drzwiach. Poruszamy się nerwowo.

– Co zrobimy z włosami? – pyta Nathan.

Pochmurnieję.

– Po prostu włożę inną perukę – mówię. – Coś prostego.

– Może... może ja pomogę – wtrąca się Cricket. – Mam pewną wprawę. W czesaniu.

Krzywię się.

– Cricket, od dziecka masz tę samą fryzurę. Nie mów mi, że to celowy zabieg.

– Nie, ale... – Drapie się w kark. – Czasami pomagam Calliope przed zawodami.

Pytająco unoszę brwi.

– Gdybyś wczoraj mnie o to zapytała, wyznałbym, że to krępująca umiejętność w przypadku faceta hetero.

– Jesteś boski – mówię.

– Tylko twoim zdaniem – dodaje.

W tym momencie zauważam w końcu, co ma na sobie. Elegancki czarny garnitur z połyskiem. Spodnie są za krótkie – oczywiście celowo, odsłaniając, jak zawsze buty z czubami i jasnoniebieskie skarpetki – w identycznym kolorze jak moja suknia.

Najchętniej rzuciłabym się na niego.

– Czas – mruczy Nathan.

Przeciskam się obok Cricketa i wracam do pokoju. Każe mi usiąść, więc zbieram fałdy sukni i tak długo manewruję, aż udaje mi się klapnąć na krześle. A potem rozczesuje mi włosy palcami, szybko, delikatnie, pewnymi, zwinnymi ruchami. Zamykam oczy. Dokoła panuje cisza. Rozczesuje długie pasma od nasady po końcu. Wtulam się w niego. Czuję, jak moje ciało rozkwita.

Pochyla się i szepcze mi do ucha.

– Poszli sobie.

Podnoszę głowę i rzeczywiście, drzwi są uchylone, nie zamknięte, ale rodzice wyszli. Uśmiechamy się do siebie. Cricket ponownie zajmuje się pracą. Wtulam się w jego dłoń, zamykam oczy. Po kilku minutach chrząka głośno.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Nie otwieram oczu, tylko ciekawie unoszę brwi.

– Co?

– Pewną historię.

Mówi powoli, hipnotycznie, jakby opowiadał to już setki razy.

– Dawno, dawno temu była dziewczyna, która rozmawiała z księżycem. Była tajemnicza i doskonała tak, jak to potrafią tylko dziewczyny, które rozmawiają z księżycem. W sąsiednim domu mieszkał pewien chłopiec. Patrzył, jak dziewczyna staje się coraz bardziej doskonała, coraz piękniejsza, z każdym rokiem. Patrzył, jak wpatruje się w księżyc. I zaczął się zastanawiać, czy właśnie księżyc nie pomógłby mu rozwikłać tajemnicy tej pięknej dziewczyny. Więc chłopiec spojrział w niebo. Nie mógł jednak skupić się na księżycu, za bardzo rozpraszały go gwiazdy.

Słyszę, jak Cricket zdejmuje gumkę z nadgarstka i zbiera nią moje włosy.

– Mów dalej – proszę.

Słyszę uśmiech w jego głosie.

– Nieważne, ile już napisano o nich wierszy i piosenek, ilekroć myślał o dziewczynie, gwiazdy świeciły jaśniej. Jakby lśniły dzięki niej. Aż kiedyś chłopiec musiał wyjechać. Nie mógł zabrać jej ze sobą, zabrał więc gwiazdy. Co wieczór patrzył w niebo ze swego okna. Zaczynał od jednej. Jednej gwiazdy. I myślał życzenie, a życzeniem było jej imię. A gdy padało jej imię, zapalała się druga gwiazda. I wtedy znowu myślał jej imię i z dwóch gwiazd robiły się cztery, z czterech osiem, z ośmiu szesnaście i tak dalej, w najwspanialszym matematycznym ciągu na świecie. A po godzinie na niebie było już tyle gwiazd, że budziły jego sąsiadów. Zastanawiali się, kto włączył światło.

– Ten chłopiec. Myśląc o dziewczynie. – Otwieram oczy. Serce podchodzi mi do gardła. – Cricket... Ja taka nie jestem.

Przestaje upinać mi włosy.

– Jak to?

– Wymyśliłeś sobie nierzeczywisty ideał, nie mnie. Nie jestem idealna. Daleko mi do tego. Nie jestem warta tej historii.

– Lola, ty jesteś tą historią.

– No właśnie, historią. Opowieścią. To nie jest prawda.

Cricket ponownie zajmuje się pracą. Dodaje do fryzury różowe róże.

– Wiem, że nie jesteś doskonała. Ale czasami właśnie niedoskonałości sprawiają, że ktoś jest w naszych oczach doskonały.

Wsuwa kolejną spinę w moje włosy, gdy dostrzegam rysunek na grzbiecie jego dłoni. Gwiazda. Te wszystkie gwiazdy, które rysował, były dla mnie. Zerkam na drzwi, upewniam się, że nadal jesteśmy sami, i chwytam go za rękę.

Patrzy na nią.

Obrysowuję gwiazdę kciukiem.

Patrzy na mnie. Ma tak boleśnie, cudownie błękitne oczy.

Przyciągam go do siebie i całuję w usta. W ogóle się tego nie spodziewał. Całuję go całą sobą, wkładam w ten pocałunek wszystko, co czułam, odkąd wrócił, od tamtego lata, od naszego dzieciństwa. Całuję go tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie całowałam.

A on ani drgnie. Jego usta są nieruchome.

Odkakuję przerażona. Zadziałałam impulsywnie, za szybko...

Osuwa się na kolana i przyciąga mnie do siebie.

To wcale nie jest niewinny pocałunek. Jest w im namiętność, ale też pospiech graniczący z paniką. Przyciąga mnie do siebie na tyle, na ile to możliwe w tej sukni, na

tym krześle, obejmuje tak mocno, że czuję jego palce przez fiszbiny gorsetu.

Odrywam się od niego, zdyszana. Kręci mi się w głowie. Cricket oddycha ciężko. Kładę mu kojącą dłoń na policzku.

– W porządku? – szepczę. – W porządku?

Odpowiada rozpaczliwie. Szczerze.

– Kocham cię.

Rozdział 34

Mój pokój zlewa księżycowe światło, obnaża jego kruchość.

– Nie powiedziałem tego po to, żebyś odpowiedziała tym samym – zapewnia. – Nie mów, jeśli nie chcesz. Poczekam.

Wstaję, unoszę suknię nad krzesło. Pomagam i jemu wstać, kładę sobie jego ręce na biodrach, wspinam się na palce, obejmuję go za szyję i całuję go powoli. Czule. Odnajduje mój język. Nasze serca biją coraz szybciej, pocałunki są coraz bardziej namiętne, aż odrywamy się od siebie bez tchu.

Uśmiecham się z rozmarzeniem i dotykam opuchniętych warg. Tak nie całuje miły chłopak z sąsiedztwa. Przyciągam go do siebie za krawat i szepczę mu do ucha:

– Crickecie Bellu, kocham się w tobie od dziecka.

Nic nie mówi, ale zaciska palce na moim gorsecie. Chciałabym się do niego przytulić, ale suknia na to nie pozwala. Wiercę się i kręcę, zajmuję wygodniejszą pozycję. Opuszcza wzrok, zauważa, że nadal mam na sobie jeszcze coś niebieskiego i tym razem to jego palce wsuwają się pod moją gumkę na przegubie.

Przeszywa mnie rozkoszny dreszcz.

– Nigdy jej nie zdejmuję.

Cricket muska palcami delikatną skórę nadgarstka.

– Przetrze się.

– Wtedy poproszę o nową.

– Dam ci nową. – Z uśmiechem dotyka mnie czubkiem nosa.

A potem wzdryga się i odskakuje ode mnie.

Ktoś idzie na górę. Cricket porywa ostatnią ozdobę z toaletki i wpina mi we włosy. Do pokoju zagląda Andy. Spogląda na mnie znacząco.

– Chciałem się upewnić, że wszystko jest w porządku. Późno już. Musicie iść.

– Zaraz zejdziemy – obiecuję.

– Jesteś jeszcze bez butów. I bez makijażu.

– Daj mi pięć minut.

– Mierzę czas – zastrzega Andy. – A za drugim razem na górę przyjdzie Nathan – uprzedza.

– I co ty na to? – pyta Cricket.

– Jesteś dobry, bardzo dobry. – Szturcham go w pierś, upajam się świadomością, że teraz mogę go dotykać, gdy tylko zechcę. – Kiedy się tego nauczyłeś?

– Cóż, mógłbym powiedzieć, że to twoja zasługa, ale chodziło mi o twoją fryzurę. –
Szturcha mnie w brzuch.

Rozpromieniona, odwracam się do lustra i...

– O rany.

Fantastyczne upięcie. Misterne, wyrafinowane, a jednocześnie nieprzytłaczające.
Uzupełnia mnie.

– Super.

– Zabiję cię, jeśli piśniesz choćby słowo, że to moje dzieło. – Ale uśmiecha się szeroko.

– Dziękuję. – Waham się i wbijam wzrok w jasnoniebieskie paznokcie. – Pamiętasz, co kiedyś powiedziałaś o tym, że ktoś jest doskonały w czyichś oczach?

– Tak.

Podnoszę na niego wzrok.

– Ty też jesteś doskonała. Dla mnie. I... fantastycznie dzisiaj wyglądasz. Nie tylko dzisiaj zresztą.

Cricket trzepoce powiekami.

– Czy ja zemdlałem? Bo tysiące razy wyobrażałem sobie, że to mówisz, ale nie sądziłem, że naprawdę usłyszę coś takiego z twoich ust.

– Trzy minuty! – woła Andy z dołu.

Śmiejemy się nerwowo. Cricket kręci głową, żeby wrócić na ziemię.

– Buty – mówi. – Skarpetki.

Pokazuję mu, gdzie co jest, i podczas gdy on wszystko szykuje, maluję rzęsy, pudruję się, muskam usta błyszczkiem i chowam kosmetyczkę do torebki. Coś mi mówi, że zanim wrócę po balu, będę musiała poprawić makijaż. Cricket obejmuje mnie w talii i niesie na łóżko. Sadza mnie na skraju, a ja metodycznie unoszę kolejne warstwy. Wytrzeszcza oczy, widząc, co kryje się pod suknią.

Uśmiecham się.

– O tak, to coś więcej niż rogówka.

– Podnieś nogę.

Z dołu:

– Minuta!

Cricket klęka, ujmuję moją lewą stopę. Zbyt szybko wsuwa skarpetkę. Cholewka skrzypi cicho, gdy naciąga but. Ostrożnie, szybko sznuruje ją zwinnymi palcami, aż do kolan i tam na moment nieruchomieje. Zamykam oczy i modlę się, żeby czas stanął w miejscu. Zaciska klamrę. I powtarza wszystko od początku na drugiej nodze.

Jakimś cudem to najbardziej erotyczne doświadczenie w moim życiu.

– Szkoda, że nie mam więcej nóg – mówię.

– Zawsze możemy to powtórzyć. – Zapina ostatnią klamerkę. – Zawsze.

Rozlega się pukanie we framugę, Betsy radośnie kłusuje w naszą stronę, a obaj moi ojcowie stają w progu. Cricket pomaga mi wstać.

Na twarzy Nathana maluje się zdumienie.

– O rany.

Nie wiem, co o tym sądzić.

– O rany: dobrze?

– O rany: bosko – ocenia Cricket.

Pod ich spojrzeniami znowu się denerwuję. Odwracam się do lustra i widzę... fantastyczną suknię, piękną fryzurę, promienną twarz. Ze szklanej tafli uśmiecha się do mnie Lola.

– Jeszcze jedno – decyduje Andy. – Z profilu, żeby było widać tego ptaszka we włosach.

Przechylam głowę i pozuję do kolejnej fotografii.

– Ale to już ostatnie.

– Zrobiłeś z glanami? – upewnia się Andy. – Pokaż glany.

Z uśmiechem unoszę skraj sukni.

– Czas – mruczę.

– Bardzo, ale to bardzo staram się nie popaść teraz w przesadę – rzuca Andy.

Czuję się cudownie. Rodzice robią jeszcze dwa zdjęcia – nas obojga razem i samego Cricketa – i w końcu wychodzimy w nocną mgłę. Żeby dotrzeć na chodnik, muszę unieść rogówkę i schodzić bokiem ze schodów. Idziemy na piechotę, szkoła nie jest daleko.

A także dlatego, że nie zmieszczę się do samochodu.

– No! Wreszcie są!

Na sąsiedni ganek wychodzi Aleck z Abby na biodrze. Macham do nich. Malutka otwiera szeroko oczy, jak wtedy, gdy w parku zobaczyła dzikie zielone papugi.

– Och – mówi.

– Super wyglądacie! – woła Aleck. – Po wariacku, ale super.

Uśmiechamy się z wdzięcznością i się żegnamy. Co było do przewidzenia, w sukni niełatwo idzie się po chodniku – co chwila muszę iść bokiem, a o trzymaniu się za rękę nie ma co mówić – ale pokonujemy pierwszą przecnicę.

– Cały czas patrzą? – pytam.

Cricket zerka za siebie.

– Cała czwórka.

Mam motyle w brzuch, ale to radosne motyle oczekiwania. Oboje czekamy na tę samą chwilę. W końcu znikamy za zakrętem i Cricket zaciąga mnie w fioletowo-czarny cień pierwszego domku. Rzucamy się na siebie. Wplatam mu palce we włosy, przyciągam bliżej. Chce mnie oprzeć o ścianę, ale suknia na to nie pozwala. Całujemy się i śmiejemy jednocześnie.

– Poczekaj. – Unoszę rusztowanie sukni, przesuвам tak, że mam za plecami płaską, spiętrzoną część. – Dobrze, teraz.

Tym razem robi to powoli, przywiera do mnie całym ciałem, napiera na mnie biodrami. Nieważne, że dzielą nas niezliczone warstwy ubrania, bliskość jego ciała jest elektryzująca. Upajająca. A potem obejmujemy się, splatamy dłonie, łączymy usta, wtulamy się w siebie.

I jeśli ja jestem gwiazdami, Cricket Bell to cała galaktyka.

Dokoła nas wiruje zima, wietrzna i zimna, ale między nami jest gorąco i słodko. Od jego zapachu kręci mi się w głowie. Całuję go w szyję, zsuwam usta coraz niżej na jego szyi i choć wiatr wszystko zagłusza, czuję, jak wzdycha. Wsuwa palce pod ciasno zasnurowany gorset i koszulkę, znajduje skrawek gołego ciała na karku i od razu przesywa mnie dreszcz.

Znowu się całujemy, z całej siły przywieramy do siebie. Cofa dłoń z mojego karku, przesuwa ją do przodu i po raz pierwszy w życiu żałuję, że moja suknia jest wyrafinowana. Następna będzie o wiele skromniejsza, jedna warstwa jedwabiu, przez który wszystko pocuję.

Cricket odrywa się ode mnie z obłędem w oczach.

– Musimy przestać, bo jeśli nie...

– Wiem. – Choć tak naprawdę wcale nie chcę przestawać.

Obejmuje mnie i tuli do siebie, jakby się bał, że zaraz porwie nas wiatr. Stoimy tak i czekamy, aż nasze tętno wróci do normy. Aż znowu będziemy mogli oddychać.

Otacza nas gęsta mgła, na ulicach jest sporo przechodniów, ale na nasz widok rozstępują się i biją brawo. Uśmiechamy się od ucha do ucha. Idziemy przez rozświetloną dzielnicę Castro i czuję się jak w teledysku. Kobieta z muszką na policzku przybija z Cricketem żółwika, a facet z wytatuowany niedźwiedziem, właściciel pralni ekologicznej, gwizdże z podziwem na nasz widok.

Zresztą może tylko na widok Cricketa. Naprawdę wygląda super.

Pokonujemy ostatni zakręt w drodze do szkoły i Cricket ciągnie mnie w ciasny zaułek między domami. Rozbawiona spoglądam na niego spod rzęs.

– Wiesz, akurat poprawiłam makijaż.

Ale Cricket jest nagle bardzo niespokojny. Spięty.

Zaczynam się bać.

– Czy wszystko... w porządku? – pytam.

Sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Chciałem ci to dać na Gwiazdkę, potem na Nowy Rok. Ale ciągle nie mogłem skończyć. A później pomyślałem, że to będzie idealny prezent na dzisiaj, oczywiście zakładając optymistycznie, że zechcesz pójść ze mną na ten bal. Potem nie mogłem dać ci tego u ciebie w pokoju, bo było za jasno, więc musiałem poczekać, aż będziemy na dworze, gdzie jest ciemno i...

– Cricket! Co to jest?

– Proszę bardzo, mam nadzieję, że ci się podoba. – Z trudem przełyka ślinę.

I w końcu wyjmuję rękę z kieszeni i wciska mi w dłoń mały złoty przedmiot, ciepły od bliskości jego ciała. Okrągły, przypomina wysoką puderniczkę, widzę nawet guziczek otwierający puzderko.

I wieczko z wygrawerowanymi gwiazdami.

Krew dudni mi w uszach.

– Boję się otworzyć. Jest doskonałe.

Cricket unosi je na wysokość moich oczu.

– Naciśnij o tu.

Wyciągam drżący palec.

Cichy trzask.

I wtedy... dzieje się coś niewiarygodnego. Wieczko unosi się i na moich oczach powstaje mikroskopijny rozjaśniony wszechświat. Pośrodku błyszczy malutki księżyc, otaczają go lśniące gwiazdy. Wstrzymuję oddech. Misterne i pełne życia. Cricket umieszcza to cudenka w mojej dłoni. Wpatruję się zachwycona. Gwiazdy mrugają do mnie leniwie.

– Trwało tak długo przez księżyc. Biedziłem się nad długością cyklu.

Zaskoczona podnoszę głowę.

– Cyklu?

Zerka na prawdziwy księżyc. Jest w czwartej kwadrze, tylko lewa strona niknie w ciemności. Opuszczam głowę i widzę, że lewy skrawek mojego księżyca też jest niewidoczny. Zamurowało mnie z wrażenia.

– Żebyś mnie nie zapomniała, kiedy mnie nie będzie – dodaje.

Przerażona podnoszę głowę.

Cricket poprawia się szybko.

– Nie: na zawsze. No wiesz, w tygodniu, gdy jestem w Berkeley. Koniec z przeprowadzkami. Jestem tu, gdzie ty.

Oddycham z ulgą. Zaciskam doń na gorsecie.

– Nic nie mówisz. – Nerwowo bawi się gumką. – Podoba ci się?

– Cricket... To najcudowniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

Oddycha z ulgą. Bierze mnie w ramiona. Wspinam się na palce, żeby sięgnąć jego ust. Najchętniej całowałabym go przez całą noc, przez całe życie. Ten jeden jedyny. Smakuje słono, jak morska mgła. Ale też słodko, jak...

– Wiśnie – mówi.

Tak. Chwileczkę, znowu mówię na głos?

– Smakujesz wiśniami. Pachniesz wiśniami. Zawsze tak pachniałaś. – Wtula nos w moje włosy, wzdycha głęboko. – Nie do wiary, że teraz mogę to robić. Nie masz pojęcia, jak długo na to czekałem.

Ukrywam twarz na jego piersi i uśmiecham się lekko. Któregoś dnia powiem mu o fusach w filizance.

Powietrze przesycają śmiechy i dźwięki muzyki, wirują wokół nas, ulotne i zwiewne. Kuszą nas. Zaglądam mu głęboko w oczy.

– Na pewno tego chcesz? Szkolny bal? No wiesz, to trochę... słabe.

– Oczywiście, ale czy nie takie są wszystkie szkolne imprezy? – Uśmiecha się. – Zresztą, nie wiem, nigdy nie byłem na takim balu, i jestem szczęśliwy, bardzo...

Przerywam mu kolejnym namiętym pocałunkiem.

– Dziękuję.

– Gotowa? – pyta.

– Tak.

– Przerażona?

– Nie.

Ściska mnie za rękę. Drugą dłonią unoszę skraj sukni. Prowadzą nas moje glany. Z dumnie uniesioną głową czekam na wielkie, triumfalne wejście u boku chłopca, który dał mi księżyc i gwiazdy.

Podziękowania

W tej książce powinny się znaleźć dwa podziękowania – osobne dla Kiersten White i osobne dla wszystkich pozostałych.

Och Kiersten! Dzięki za podwórkowe zabawy w piratów, angielskie wybrzeże, ogrodowe tajemnice, tańce islandzkie, francuskie kafejki i za wszystkie inne atrakcje, których mi dostarczyłaś podczas pisania tej książki. Dziękuję, że pomogłaś mi zachować zdrowy rozsądek, choć po poprzednim zdaniu trudno w to uwierzyć. Za to, że cierpliwie, uparcie i delikatnie prowadziłaś mnie do końca (i to raz za razem). I przede wszystkim za to, że jesteś moją przyjaciółką. Bardzo się cieszę, że jesteś częścią mojego życia.

Kate Schafer Testerman: Pamiętasz, co mówiłam o tym, że jesteś Agentką z Moich Marzeń? Powiem więcej; rzeczywistość przerosła wyobrażenia. Dzięki za to, że jesteś zarazem delikatna i surowa.

Julie Strauss-Gabel: najchętniej wzięłabym twoje imię w brokatowe serduszko. Moje powieści są o wiele lepsze – i to dzięki tobie. Dzięki za wsparcie, cierpliwość i za to, że pomogłaś mi odnaleźć historię, którą zawsze chciałam opowiedzieć. Współpraca z tobą to zaszczyt i przyjemność.

Wszystkim w Penguin Young Reader Group, a na owację na stojąco zasłużyli: Scottie Bowditch, Kristina DUEWELL, Ashley Fedor, Jeanine Henderson, Lauri Hornik, Anna Jarzab, Liza Kaplan, Doni Kay, Elieen Kreit, Katie Kurtzman, Rosanne Lauer, Linda McCarthy, Irene Vandervoort, Lisa Yoskowitz.

Dziękuję mojej rodzinie, moim największym fanom: mamie, tacie, Karze, Chrisowi, Beckhamowi, J.D. Fay i Rogerowi. Szczęściara ze mnie, że was mam. Bardzo was kocham.

Za przyjaźń, krytykę i za wyrozumiałość pod dosłownie każdym względem dziękuję autorkom: Pauli Davis, Gayle Forman, Lisie Madigan, Laini Taylor, Natalie Whipple i Daisy Woodbury. Jesteście boskie.

Dziękuję też wspaniałym czytelnikom mojego bloga. John Green, Nerdfighteria, Wizard Rock – dzięki za to, że zawsze jesteście super. Lauren Biehl, Natalie Paye, Lisa Pressley, Michelle Wolf – ten szalony wegański lunch był niezmierny. Manning Krull i Marjorie Mesnis – za transkontynentalną gościnność, kiepskie horrory i wyborne wino. Chris Lane – za to, że mieszkasz we właściwym mieście, we właściwej dzielnicy, przy właściwej ulicy, a Annie Pfaff za to, że pozwoliła mi posłużyć się

imieniem jej przyszłego psa. Dziękuję też wszystkim zaangażowanym w walkę o równouprawnienie środowisk LGBT.

I wreszcie podziękowania dla Jarroda Perkinsa. Który rozumiał, jak ważny jest szkolny bal. Który przejechał cały kraj, porwał mnie na bal w takich samych trampkach. Który zawsze sprawia, że czuję się piękna. Ty też jesteś piękny. Dzięki za dziesięć wspaniałych lat małżeństwa i za wiele kolejnych, które dopiero nadejdą. Odnowimy przysięgę przed Elvisem, dobrze? I to w trampkach.